

Mam nadzieję, że to dopiero
początek tej przygody!

ANETA JADOWSKA

JOANNA W. GAJZLER

NECROVET

USŁUGI WETERYNARYJNO-NEKROMANTYCZNE

SON
imaginatio

Spis treści

Strony tytułowe

Dedykacja

Słowem wstępu...

Prolog

Rozdział I Fantastyczne zwierzęta i jak im pobrać krew

Rozdział II Gdzie trawa jest bardziej zielona

Rozdział III Lew, czarownica i ciężka nerwica

Rozdział IV Szacunek do odpadów medycznych

Rozdział V Problemy parzysto- i nieparzystokopytnych

Rozdział VI Niecnota w Cnotnicach

Rozdział VII Misja potencjalnie niemożliwa

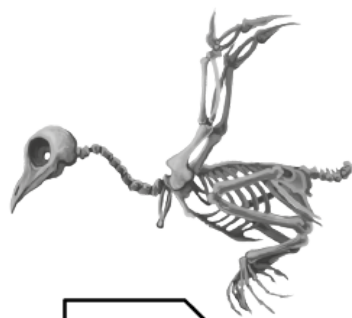
Rozdział VIII Kłopoty są jak króliki

Rozdział IX Wszystko się kończy (i to nawet nie najgorzej)

Epilog

Strona redakcyjna

NECROVET



Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce

JOANNA W. GAJZLER

NECROVET

USŁUGI WETERYNARYJNO-NEKROMANTYCZNE

KRAKÓW 2023

Księciuniowi – Toldi

SŁOWEM WSTĘPU...

W dzieciństwie miałam dwa największe marzenia (trzy, jeśli wliczyć pragnienie zamieszkania w Narnii): pisać książki fantastyczne oraz zostać weterynarką. Jedno się spełniło, drugie tak połowicznie, bo zostałam techniczką weterynarii, ale tak czy inaczej – mogę dotykać ładnych zwierzątek i dostawać za to pieniądze, więc uznaję to za sukces. *Necrovet* to efekt połączenia moich pasji: fantastyki i zwierząt. Pomysł na opowieść o lekarzu od magicznych stworzeń chodził mi po głowie od bardzo dawna, ale dopiero kilka lat doświadczenia zawodowego pomogło mi odnaleźć inspirację i ukształtować tę historię do obecnej postaci.

Weterynaria to branża pełna sprzeczności: łatwo ją kochać, jeszcze łatwiej nienawidzić, niezależnie od tego, czy wiąże cię z nią zawód, czy nie. Niestety, nasza praca nie polega wyłącznie na głaskaniu piesków i całowaniu króliczych czółek i choć *Necrovet* to z założenia powieść z rodzaju tych lżejszych, to nie lukruję w niej weterynaryjnej rzeczywistości. Pojawiają się opisy procedur medycznych, zabiegów chirurgicznych i objawów chorobowych, dotkniemy tematyki śmierci, zaniedbań i okrucieństwa wobec zwierząt. Na szczęście nasza praca nie ogranicza się tylko do tego: wciąż pozostaje ogromna radość i satysfakcja, kiedy zwierzaki wracają do zdrowia – i to również znajduje swoje odzwierciedlenie w powieści.

Mam nadzieję, że *Necrovet* będzie dla was tak przyjemny w lekturze, jak dla mnie był w tworzeniu!

PROLOG

„Zrębki to urocza miejscowość”, mawiała ciocia Laura. „W odpowiednich okolicznościach nawet pająki mogą wydawać się urocze”, dopowiadała zwykle ciocia Teresa. Trudno było odmówić prawdy któremukolwiek z tych stwierdzeń, choć Florka nie знаła przyczyny niechęci starszej z ciotek mieszkających w Zrębkach. Na dobrą sprawę nic nie wyróżniało tej wsi na tle innych: tu pole, tu las, tam jeszcze większe pole, remiza, szkoła, do której uczęszczali wszyscy mieszkańcy od pięciu pokoleń. Życie tutaj było proste i spokojne... a przynajmniej tak się Florce wydawało, gdy szła poboczem pod wskazany adres.

Minęła małą chatkę z pomalowanego na zielono drewna, z uginającym się dachem i widocznymi w oknach białymi koronkowymi firankami. Otaczały ją chwasty wyższe od niej. Obok stał pachnący PRL-em kwadratowy dom z elewacją ozdobioną tłuczoną ceramiką i szkłem. Nieco dalej zaś znajdowała się posesja z widocznymi na tyłach budynkami gospodarskimi; od ich strony dobiegało pochrząkiwanie świń, a przy furtce wisiała tabliczka z napisem KASZANKI, KIEŁBASY. Każdy krzak i żywopłot aż buzował od buszujących w nim wróbli, ćwierkających radośnie, jakby był to najpiękniejszy dzień ich życia.

Florka odetchnęła głęboko świeżym powietrzem. Rozglądała się po okolicy, szukając tablic z nazwami ulic. W dłoni ścisnęła teczkę ze swoim CV, która nie zmieściła się do starego skórzanego plecaka.

Wyjęła z kieszeni telefon – według nawigacji była już prawie na miejscu.

W końcu stanęła przed dużą posesją sąsiadującą z lasem. Na końcu działki, na wzniesieniu, znajdował się piękny dom o szarym, przydymionym murze, dachu z brązowymi dachówkami pokrytymi mchem i z białymi okiennicami. Ściany porastały pnącza winorośli. Po lewej znajdował się staw, przy którego brzegu kołysały się bukiety pałki wodnej. Całość otaczał stary, murowano-żelazny płot. Na prawo od bramy dwóch mężczyzn montowało właśnie elegancki sztyld.

Florka zerknęła niepewnie na mapkę w telefonie, na dom, potem znów na mapkę. Podeszła nieśmiało do robotników.

– Hm, przepraszam – zagadnęła. – To tutaj jest weterynarz?

– Taa! – zakrzyknął wesoło jeden z nich. – Pani wchodzi, otwarte. Tam na lewo, o.

Machnął ręką w stronę betonowego chodnika. Dziewczyna podziękowała i przeszła przez furtkę.

Ucieszyła się na myśl, że mogłaby tu pracować.

Kierując się wskazówkami mężczyzny oraz tabliczki na ścianie domu ze strzałką i napisem „Lecznica”, dotarła do bocznego wejścia. Poczekalnia prezentowała się dość skromnie. Na białych ścianach wisiały plakaty informujące o rasach psów i kotów oraz z wykresami prawidłowej wagi najpopularniejszych zwierząt domowych, a także tablica korkowa z ogłoszeniami. Pachniało tu starą szafą – to pierwsze skojarzenie, jakie przyszło Florce do głowy. Obok drzwi do jednego z gabinetów siedziała wysoka kobieta z długim, złocistym warkoczem przerzuconym przez ramię. Miała spiczaste uszy, a jej strój – zwiewna lniana sukienka, wszechobecne koraliki i runiczne symbole na biżuterii z kamieni półszlachetnych – wskazywał na zainteresowanie druidyzmem.

Uśmiechnęła się.

– Dzień dobry – powiedziała elfka rozmarzonym tonem. – Pani też na rekrutację?

– Tak.

– Pierwsza praca? – spytała, przyglądając się Florce.

– Nie, do tej pory pracowałam w mieście.

– Och, to musi być spora odmiana.

– Przynajmniej o tyle, że tu jest ładniej. – Florcka wzruszyła ramionami.

– Tak, to bardzo urokliwa wioska. Szukam nowego miejsca na świecie, dokładnie takiego jak to, blisko natury... Ostatnie dwadzieścia lat pracowałam w całodobówce na przedmieściach i chciałabym przenieść się gdzieś, gdzie jest spokojniej.

Wtedy drzwi gabinetu uchyliły się i ze środka dobiegł kobiecy głos:

– Zapraszam.

Szpiczastoucha dama wstała, przyglądziła sukienkę i lekkim krokiem weszła do środka.

Florcka zapatrzyła się na zamknięte drzwi. Elfka, na dokładkę druidka, z dwudziestoletnim stażem w zawodzie, a może i dłuższym, biorąc pod uwagę długowieczność elfów. Jak miała konkurować z kimś takim? Nabrała ochoty, by poddać się walkowerem. Pomyślała jednak o swoich ciociach i ich entuzjazmie, gdy zaczęły snuć plany o tym, że siostrzenica Laury zacznie pracę w Zrębkach i zamieszka z nimi, i jak świetnie będą się wszystkie bawić w swoim towarzystwie. Westchnęła cicho i przytuliła teczkę do piersi.

Wyjęła telefon i starając się nie słuchać przytłumionej rozmowy dobiegającej z gabinetu, zaczęła przeglądać zdjęcia. Niemal wszystkie przedstawiały pacjentów lecznicy, w której do tej pory pracowała – tych najładniejszych, najśmieszniejszych, a także najbardziej zaniedbanych, uwiecznionych po to, by pokazywać zszokowanemu znajomemu, do jakiego stanu można doprowadzić swojego domowego pupila. Nie brakowało też fotek otwartych brzuchów, wyciętych guzów i macic oraz zdjęć rentgenowskich skomplikowanych złamań i zmienionych narządów. Typowa

zawartość galerii w telefonie technika weterynarii, pomyślała. Uśmiechnęła się, wspominając te miłsze przygody z pracy.

Po jakimś czasie elfka wypadła do poczekalni. Drżała z oburzenia, a twarz wykrzywiał jej grymas dogłębnego zniesmaczenia. Spojrzała na zdziwioną Florkę. Przez chwilę wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale prychnęła tylko i wyszła pośpiesznie.

Dziewczyna zamrugała zdezorientowana.

Drzwi gabinetu otworzyły się jakby samoistnie, skrzypiąc ponuro.

– Zapraszam.

Florcka wstała. Obejrzała się niepewnie za elfką. Zacisnęła usta i weszła do środka.

Pomieszczenie nie wyróżniało się na tle innych gabinetów weterynaryjnych. Były tu szafki z lekami i stół z matą antypoślizgową, na ścianie wisiały małe narzędzia przyczepione do wieszaka magnetycznego oraz dwa stetoskopy. Dziewczynę uderzył jednak zapach. W powietrzu unosił się aromat środka dezynfekującego połączony z osobliwym zapachem trzewi, dobrze jej znanym z zabiegów chirurgicznych, przy których asystowała.

Za biurkiem siedziała pani doktor: Izabela Pokot, kobieta niewysoka, szczupła, o dziewczęcej urodzie. Miała blady, szarawy odcień skóry, nieco zamglone oczy i ciemne włosy związane w kucyk. Na jej ramieniu, tyłem do świata, siedział szczur zajęty myciem pyszczka. Podniosła wzrok na Florkę.

– Proszę usiąść.

Dziewczyna zajęła miejsce po drugiej stronie biurka, wyjęła swoje CV z teczki i podała je kobiecie.

– Dzień dobry – powiedziała uprzejmie. – Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać.

– Cóż, w końcu po to umieściłam ogłoszenie – odparła weterynarka tonem, jakby chciała zabrzmieć wesoło, ale nie do końca rozumiała koncept humoru. Wzięła do ręki CV. – Dobrze, spójrzmy, co my tu mamy, pani... Florentyno Kuno.

– Wystarczy Florka – uściśliła dziewczyna, krzywiąc się mimowolnie na dźwięk swojego imienia. Zapatrzyła się na szczura, wciąż niezwracającego uwagi na nic wokół.

– Mhm... Proszę mi powiedzieć, czym się pani zajmowała w poprzedniej pracy.

– W zasadzie to wszystkim. Asysta, opieka nad pacjentami na szpitalu, dbanie o zaopatrzenie i czystość...

– Czy jest coś, co panią obrzydza?

Bezpośredniość tego pytania sprawiła, że Florka zaśmiała się krótko.

– Zupa grzybowa. A przy zwierzętach nic, przynajmniej nie na tyle, bym nie mogła zająć się pacjentem w potrzebie.

– Ma pani ulubione gatunki?

– Lubię koty i króliki. I konie, ale niestety nie miałam z nimi do czynienia jako pacjentami, ogólnie nie pracowałam ze zwierzętami gospodarskimi.

– Czy zetknęła się pani z magicznymi stworzeniami?

Florka uniosła brwi.

– W mojej starej pracy pojawiały się bardzo rzadko i były odsyłane, bo żaden z lekarzy nie chciał się podjąć leczenia – odparła powoli.

Izabela pokiwała w zamyśleniu głową. Odłożyła CV, jakby jego zawartość umiarkowanie ją interesowała.

– To pacjenci, na których skupia się moja praktyka. Jest pani gotowa z nimi pracować?

– Oczywiście – zapewniła entuzjastycznie dziewczyna. Na myśl o bliskim kontakcie z magicznymi zwierzętami zapragnęła zdobyć tę pracę za wszelką cenę. – Może nie mam doświadczenia w tej materii, ale chętnie nauczę się wszystkiego, co będzie potrzebne.

– Mhm. Dobrze – powiedziała kobieta. Florka zauważyła, że zapach wnętrzości nasilał się, gdy tamta otwierała usta. – Chciałabym jeszcze zapytać o pani stosunek do nieumarłych.

Dziewczyna zamrugła skonfundowana. Szczur na ramieniu doktor Izabeli zakończył toaletę pyszczka i odwrócił się, wężąc w kierunku Florki. Miał zupełnie białe oczy o pustym spojrzeniu, szarą, wyliniałą sierść i zapadnięte boki, a jego głowa była dziwnie wykręcona na bok. Gdyby nie to, że się ruszał, pomyślałaby, że jest...

Nagle coś w jej umyśle kliknęło.

Szczur był martwy, podobnie jak kobieta, na której ramieniu siedział. Doktor Izabela Pokot była liczem.

Florka poruszyła bezgłośnie ustami. Odchrząknęła.

– Hm... Nie mam nic przeciwko? – powiedziała niepewnie.

– Dobrze. Jakie są pani wymagania względem wynagrodzenia?

Nie do końca wierząc w to, co się dzieje, Florka odbyła bardziej formalną część rozmowy rekrutacyjnej. Po ustaleniu daty rozpoczęcia pracy i wysokości wypłaty – nie zawrotnie wysokiej, ale wyższej niż dziewczyna spodziewała się wynegocjować – stanęła naprzeciw lekarki i ucisnęła jej dłoń. Była lodowata.

– Mam nadzieję, że się tu pani odnajdzie – powiedziała Izabela.

– Ja też – odparła oszołomiona Florka. Spojrzała na szczura. Była pewna, że pokiwał przekrzywionym łebkiem.

Wyszła na zewnątrz. Wciąż pogrążona w stuporze, ruszyła w kierunku furtki. Wiatr poruszył strzelistymi sosnami, niosąc rzeński zapach lasu. Pnącze kwitnącej winorośli połaskotało dziewczynę w dłoń. W stawie plusnęła żaba. Gdzieś z oddali dobiegł ryk znudzonej krowy. Florka miała wrażenie, że świat na terenie posesji jest zupełnie inny od tego poza nim.

Na ulicy obejrzała się jeszcze raz na uroczy dom. Potem przeniosła spojrzenie na biały szyld, który robotnicy zdążyli już zamontować.

„Lek. wet. Izabela Pokot. Usługi weterynaryjno-nekromantyczne”. Pod jadowicie zielonym napisem widniała równie zielona sylwetka szczura z widocznym wewnątrz szkieletem.



ROZDZIAŁ I
**FANTASTYCZNE ZWIERZĘTA
I JAK IM POBRAĆ KREW**

– Ja tam się nie znam, ale wydawało mi się, że nekromancja nie jest dziedziną weterynarii.

– Cóż, nie jest nielegalna – odparła Florka, stojąc przed szafą i próbując się zdecydować, który T-shirt założyć. Przełożyła telefon do drugiego ucha, przytrzymała go ramieniem i wzięła jedną z koszulek. – Przynajmniej dopóki nikogo nie zabijasz albo nie zmieniasz w zombie.

– Nie boisz się pracować dla nekromanty? – spytała mama.

– Nie wiem. Może trochę?

– Jakby co, pamiętaj: nikt cię tam nie trzyma na siłę. Jeśli nie będzie ci się podobało, to wracaj do Warszawy i nawet się nie oglądaj.

– Nie demonizuj, jak tam byłam, to wyglądało fajnie. Zresztą – mruknęła dziewczyna – gorzej niż u Pierza nie będzie.

– Oj... No nie wiem, czy Pierzyński był taki zły w porównaniu z nekromantami – zmartwiła się Filomena. – Bóg wie, co ona w ogóle robi w tej lecznicy. Może to jakaś psychopatka?

Florka odłożyła telefon i ubrała się, by dać sobie sekundę na wymyślenie nonszalanckiej odpowiedzi. Wzięła go z powrotem.

– Jak będzie źle, to nie przedłużę umowy i tyle. Ale mam wrażenie, że będzie super.

– Ale naprawdę, ta nekromancja... Co ona robi tym zwierzakom? Zombifikuje? Jak to się niby ma do weterynarii?

– Dowiem się. Dobra, kończę, zaraz muszę lecieć.

– Hm, powodzenia – powiedziała bez przekonania mama. – Buziaczki!

Florka wcisnęła telefon do kieszeni i zamknęła szafę. Przed mamą odgrywała dużo pewniejszą siebie niż faktycznie była – w głębi zżerał ją stres. Słowa byłego szefa wciąż krążyły jej po głowie: to, jaka jest beznadziejna, jak niczego nie umie zrobić dobrze, jak nigdzie nie zagrzeje na długo miejsca i że powinna mu być wdzięczna za to, że jeszcze jej nie wyrzucił. Mimo wsparcia, jakie otrzymała od rodziny, przyjaciół i terapeuty, wciąż paraliżowało ją pytanie: a jeśli to prawda? Jeśli rzeczywiście nie poradzi sobie w nowej pracy?

Spojrzała w stronę okna. We wpadającym do środka świetle słońca tańczyły drobinki kurzu. Na zewnątrz krowy dzwoniły długimi łańcuchami. Sąsiad, przygarbiony starszy mężczyzna, prowadził je ulicą na pastwisko. Dziewczyna zastanawiała się w myślach, czy to kiedyś mogą być pacjentki doktor Izabeli. I moje, dodała po sekundzie.

Uśmiechnęła się, złapała plecak i zeszła na parter.

W niewielkiej kuchni unosił się słodki, apetyczny zapach. Obie ciocie już tu były. Wysoka i piękna niczym elfka Laura pracowała nad czymś przy blacie. Podobnie jak Florka i wszystkie kobiety

z rodziny Kunów miała bardzo jasne, płowe włosy. Rozczochrana Teresa zaś siedziała nad wielkim kubkiem kawy i z podbródkiem opartym na dłoni wpatrywała się w mały telewizor. Spiker porannych wiadomości mówił:

– Czy Ethan Trust znów wywróci świat do góry nogami? Miliarder i wynalazca w swoim ostatnim wpisie na portalu społecznościowym zdradził, że pracuje nad projektem, który „podważy prawa fizyki, jakie wpajano nam całe życie”. Wywołało to lawinę komentarzy. Internauci w mniej lub bardziej dosadnych słowach wypominają Trustowi katastrofę projektu Multiverse i wyrazili oburzenie faktem, że miliardera nie spotkały za to żadne konsekwencje. – Na planszy pojawiły się zrzuty ekranu poszczególnych komentarzy. – „Właśnie dlatego bajki ostrzegały nas przed szalonymi naukowcami”. „Ściągnięcie istot z innego wymiaru to był dopiero początek planu dotyczącego zagłady świata”. „Ethan Trust już raz udowodnił, że nie można mu ufać”. W środowisku naukowym...

– Florka! – zakrzyknęła Teresa na widok dziewczyny i ściszyła telewizor. – Jak się spało?

– Krótko. Nie mogłam zasnąć. – Powachlowała się obiema dłońmi.

– Chodź, zjedz coś, żebyś tam z głodu nie padła – poprosiła Laura, odwróciła się i położyła na stole wielki talerz z piramidą gorących gofrów.

– Łał!

– Nie przyzwyczajaj się, nie chce mi się codziennie wstawać tak wcześnie, żeby je robić. Jak tam, przejęta?

– No raczej – odparła i sięgnęła po słoik dżemu. – Ciekawe, czy będzie dużo ludzi.

– Tłumów to raczej nie – powiedziała Teresa między jednym łykiem kawy a drugim. Worki pod oczami mogłyby wskazywać, że również się nie wyspała, ale taka była po prostu jej uroda. – Pewnie jeszcze mało kto wie, że tu jest weterynarz. Ten dom długo stał pusty, zanim ta Pokot się wprowadziła.

– Coś o niej wiecie?

Laura wyciągnęła wtyczkę gofrownicy, wytarła dłonie w ścierkę, po czym usiadła przy stole i nalała sobie soku.

– Na oczy jej nie widziałam, chyba mało kto w Zrębkach ją spotkał. Nawet plotkować nie bardzo jest o czym.

– Już Woroniowa coś wymyśli. – Teresa machnęła ręką.

– Mówiła, że specjalizuje się w magicznych zwierzętach – powiedziała Florka z pełnymi ustami. – Dużo ich tu jest?

– No, coś tam się kręci – odparła Laura. – Nie znam się za bardzo, ale ludzie mówią, że widują jakieś dziwne stwory tu i ówdzie. Jest sporo wróżek, leśniczy ostatnio przed węzami ostrzegał... A podobno w lasach żyje jednorożec.

– Jednorożec! – westchnęła dziewczyna. Na myśl o możliwości opiekowania się chorym jednorożcem serce zabiło jej mocniej.

– Aa, guzik tam – prychnęła Teresa. – Co chwilę ktoś widzi jednorożca, a potem się okazuje, że Felcowi znowu koza uciekła. Do której pracujesz?

Florka spędziła jeszcze kilkanaście minut na rozmowie z ciociami, przekonana, że nigdy nie jadła niczego pyszniejszego od gofrów Laury, po czym pożegnała się i wyszła z domu. Wsiadła na stary, lecz wciąż sprawny rower i z mocno bijącym sercem ruszyła w drogę na Podleśną trzy.

Na miejscu dość niepewnie przeszła przez furtkę, zapatrzona na dom. Choć teraz wiedziała, że mieszka w nim nekromantka, wciąż postrzegała go jako niezwykle uroczy.

No właśnie, czego może się spodziewać po weterynarzu, który jest jednocześnie nekromantą? Szkielet w postrzępionej pelerynie z kosturem w dłoni mogła już wykluczyć – przestarzałe wyobrażenia ludzi o liczach były dalekie od prawdy. Słyszała o zasymilowanych w społeczeństwie osobnikach – z których najsłynniejszym był wynalazca i miliarder Ethan Trust – ale nigdy żadnego nie spotkała i nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić, czym mogły się zajmować na co dzień. Najwyraźniej weterynarią, odpowiedziała sobie w myślach.

Prowadzona świergotem ptaków podeszła pod drzwi lecznicy. Odetchnęła głęboko i z mocnym postanowieniem pokazania się od jak najlepszej strony weszła do środka.

Z gabinetu wyjrzała doktor Izabela ze szczurem na dłoni. Czy Florce tylko się wydawało, czy naprawdę kolor jej skóry był bardziej szary niż tydzień temu?

– Wejź – powiedziała. – Pokażę ci, co i jak, i przejdziemy do konkretów. Tylko daj mi chwilę.

Położyła szczura na stole diagnostycznym, wyjęła z kieszeni na piersi strzykawkę – ze sporą dawką płynu jak na tak małego gryzonia – i zabrała się do ostrzykiwania go podskórnie w różnych miejscach na ciele. Zwierzak nie zwrócił na to najmniejszej uwagi i zawiesił spojrzenie na Florce. Poczuli się nieswojo.

– Uroczy szczurek – powiedziała.

– To samica. Nazywa się Przekręt. Mam ją od trzynastu lat.

– Łał. To, eee, dziesięć lat więcej niż się spodziewałam, że ma.

– Jest kiepsko zakonserwowana. Tak to się kończy, gdy za wskrzeszanie biorą się partacze. Utrzymywanie jej w tym stanie wymaga sporo wysiłku.

– Mhm – mruknęła Florca, starając się przyjmować te rewelacje tak, jakby traktowały o pogodzie. – Była... uśpiona?

– Nie. Środki do eutanazji na bazie pentobarbitalu, jak Morbital czy Euthasol, znacznie zmniejszają skuteczność działań nekromantycznych.

– A czy ona ma, no, rozum?

– Jest dokładnie taka, jaka była przed śmiercią. Przynajmniej umysłowo. – Wzięła szczura na rękę, pogłaskała go i posadziła sobie na ramieniu. Spojrzała na techniczkę. – Coś nie tak?

Florca zdała sobie sprawę, że się gapi. Odwróciła wzrok i podrapała się po policzku. Czy pytanie o nieumarłość było równie nie na miejscu co wypytywanie o rasę i narodowość?

– Eee, nie, po prostu zastanawiam się... Hm...

– Czy ja też jestem martwa? Tak, jestem – odparła neutralnym tonem. – Nieumarłym można być na wiele sposobów. W przypadku ożywieńców czy też zombie, jak lubicie ich nazywać – powiedziała z przekąsem – ciało jest pozbawione świadomości i nie pamięta niczego ze swojego życia. Z kolei licze, takie jak Przekręt czy ja, są duszą zamieszkującą martwe ciało.

– Ciekawe. Nie wiedziałam. Przepraszam, jeśli to było nieuprzejme...

– W porządku. To jedna z rzeczy, których powinnaś się tu nauczyć.

– Wskrzeszania?

Kąciki ust Izabeli uniosły się, ale nie wyglądało to na uśmiech.

– Nie. Chyba że chcesz.

– Rozważę to – powiedziała Florka, zastanawiając się, czy istnieją jakieś kursy albo szkoły dla nekromantów.

Kobieta wskazała drzwi w głębi gabinetu.

– Przebierz się i zaczynajmy.

Florka, cała przejęta, kiwnęła głową i pozwoliła się zaprowadzić do pomieszczenia socjalnego. Po drodze zauważyła, że w całej lecznicy na płytkach rozmieszczone są strategicznie gumowe maty antypoślizgowe. Zastanowiła się przelotnie, czy to środki bezpieczeństwa wprowadzone z uwagi na jakiś konkretny typ pacjentów albo zabiegów.

Przez długi czas Izabela opowiadała technicznie o specyfice pracy w swojej lecznicy, pokazywała wszystkie pomieszczenia i sprzęty, zapasy leków i przyborów medycznych oraz gdzie ich szukać, zaznajomiła ją z hurtowniami i laboratoriami, z którymi współpracowała, a także wyjaśniła plan dnia. Do południa chirurgia, po południu interna. Dla techników praca na dwie zmiany: poranną i wieczorną.

– Niedługo przyjdzie drugi technik – powiedziała Izabela, wyglądając przez okno, z którego miała widok na bramę wjazdową. – Poznacie się i ustalicie grafik między sobą.

– Jasne – odparła przejęta Florka, skrobiąc zapamiętane w notesie. – Jest pani jedynym lekarzem?

– Mów mi Iza. I tak, jestem tu tylko ja.

– Nie wiem, czy się przyzwyczaję do tego, że nie woła mnie w jednej chwili pięć osób – zażartowała Florka. Speszył ją zupełny brak reakcji. – A czy przewiduje pani... znaczy, przewidujesz pracę w terenie?

– Zapewne zdarzą się pacjenci, do których trzeba będzie pojechać, również w nocy.

Szły powoli przez pomieszczenie, w którym znajdowały się sprzęty laboratoryjne: aparaty do badania krwi i moczu oraz mikroskop. Jak na tak niewielką i położoną na wsi, lecznica była bardzo dobrze wyposażona. Techniczka przestała notować i zapatrzyła się na półkę pełną preparatów dydaktycznych. Była tu zatopiona w akrylu, wypreparowana po sekcji jaszczurka z ponumerowanymi narządami, płuca, serca i mózgi różnych gatunków zwierząt, a także kompletne szkielety królika, szczura i kota. Choć Florka przez kilka lat nauki naoglądała się podobnych eksponatów i ogólnie nie robiły na niej żadnego wrażenia, teraz ciarki przeszły jej po plecach.

– Właściwie... jak nekromancja łączy się z weterynarią? – spytała.

– Medycyna i nekromancja mają ze sobą wiele wspólnego. Jedno i drugie to naprawianie tego, co zepsute, w ten czy inny sposób. Zresztą, przekonasz się.

Wtedy zza ściany dobiegł odgłos otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych, a po nim stukot kopyt lub racic. Florce przebiegło przez myśl, że ktoś mógł przyprowadzić na wizytę kozę, i momentalnie się podekscytowała. Nigdy nie miała do czynienia z kozami i ciekawość pchała ją do czynu.

– Chodź, poznacie się – powiedziała Izabela.

Techniczka poszła za nią, zastanawiając się, czy właściciel kozy jest stałym klientem.

Na widok osoby w poczekalni przystanęła zaskoczona.

Próg gabinetu przestąpił średniego wzrostu mężczyzna o bladej skórze i dyskusyjnej urodzie. Miał płaski nos, wąską twarz obsypaną ciemnymi piegami i całkiem elegancko przystrzyżoną rudą brodę. Ubrany był w zieloną koszulę z podwiniętymi rękawami, a z nogawek szortów wylaniały się kosmate, koźle nogi z racicami.

Uśmiechnął się szeroko.

– Siema – przywitał się wesoło i podał rękę Florce. – Jestem Bastian.

Dziewczyna zerknęła na jego kozie uszy, a także rogi wyrastające z czoła. Odwzajemniła uśmiech.

– Ha – wykrztusiła. Zmitygowała się po chwili. – A ja Florka. Pewnie jesteś drugim technikiem?

– Tak wyszło. – Zdjął plecak i ruszył w kierunku pomieszczenia socjalnego. – Sakowska tu idzie, nie zaczynajcie beze mnie.

Florka odprowadziła go wzrokiem. Nigdy nie spotkała fauna – jak większość magicznych ras nie lubili miast. Zrozumiała obecność mat antypoślizgowych w całej lecznicy. To miłe ze strony szefowej, że zadbała o taki drobiazg.

Po chwili Bastian wrócił do gabinetu ubrany w ciemnoczerwony fartuch lekarski. Strój w dziwny sposób do niego pasował. Dziewczyna nie miała jednak czasu kontemplować jego osoby – faun od razu zajął się pomocą pani Sakowskiej, kobiecie w średnim wieku, która przytaszczyła do lecznicy sporą klatkę przykrytą kocem. Techniczka stała z boku, starając się zamaskować palącą ją ciekawość dotyczącą tego, co znajduje się w środku.

– Uff, dziękuję – powiedziała zasapana właścicielka. – Może dajmy mu chwilę, Rysiek stresuje się jazdą w samochodzie... Pani doktor, bo Rysiek od wczoraj coś jeść nie chce. Po południu jeszcze coś tam zjadł, ale kolacji już nie ruszył i taki zgęziały siedzi...

Pod kocem rozległ się trzepot skrzydeł i odgłos uderzenia czegoś twardego o pręty klatki. Florka schyliła się dyskretnie, próbując podejrzeć, kim jest Rysiek. Zauważyła, że Bastian patrzy na nią rozbawiony, więc natychmiast się wyprostowała.

Izabela spokojnie zapisała na laptopie wszystkie uwagi dostarczone przez właścicielkę. Potem wstała.

– Dobrze, zobaczmy go – powiedziała i spojrzała na Bastiana. Ten podszedł do Sakowskiej, bez większego trudu dźwignął klatkę, postawił ją na końcu stołu diagnostycznego i ściągnął koc.

Florka nie zdołała powstrzymać westchnienia zachwytu.

Rysiek był wolpertingerem. Zajac z imponującym porożem łypnął na nią złotym okiem. W obronnym geście rozłożył pokryte białymi plamkami skrzydła. Sakowska otworzyła klatkę i wyciągnęła go na blat.

– No i właśnie taki jest, o – powiedziała, szturchając go w zadek. – Siedzi nabzdyczony, biegać nie chce, no i nie je.

– A robi bobki? – Lekarka ustawiła wolpertingera tyłem do siebie i zaczęła dokładnie obmacywać mu brzuch. Spiął się zauważalnie.

– Nie wiem, trudno powiedzieć, na zewnątrz siedział...

Izabela osłuchiwała go w skupieniu. Potem przewiesiła stetoskop przez szyję.

– Zobaczymy na USG, co tam się dzieje. Kiedy ostatnio miał badaną krew?

– Nigdy...

– To pobierzemy. Przytrzymajcie mi go – zwróciła się do techników.

Florka lekko spanikowała. Wiedziała, jak trzymać królika, ale nie takiego, który miał skrzydła i poroże. Bastian, widząc jej minę, uprzejmym tonem poinstruował ją, jak chwycić Ryśka. Ujął zajaca pod przednie łapy i zad, przycisnął go grzbietem i złożonymi skrzydłami do swojej piersi, a poroże wpasowało się w jego ramiona jak wieniec. Izabela zapaliła lampę i skierowała światło na pacjenta. Zdjęła z magnetycznej listwy rozwieracz stosownej wielkości, nałożyła go na siekacze Ryśka i otworzyła mu pysk, drugim zaś rozchyliła jego policzki. Florka wyciągnęła ciekawsko szyję. Wolpertinger miał typowe uzębienie zajęczaka – przedtrzonowce, trzonowce, dwie pary siekaczy w górnej szczęce, jedna w żuchwie –

jednak od swojskiego królika i zająca różniły go dwa bardzo długie, wystające poza dolną wargę kły, nadające mu wygląd wampira. Rysiek memlał językiem niezadowolony.

– Zęby w porządku – powiedziała Izabela. – Daj go do USG.

Bastian płynnym ruchem położył zwierzaka brzuchem do góry w pozycjonerze – na sztywnej poduszce w kształcie rynny. Poroże stuknęło o blat stołu. Florka przytrzymała skoki wolpertingera, długie i szczupłe jak u sarny. Rozczuliły ją puchate od spodu łapy z rozcapierzonymi palcami, drżące w tej nienaturalnej dla zwierzęcia pozycji.

Izabela przysunęła sobie aparat ultrasonograficzny i zabrała się do golenia Ryśka. Zaczął głośno świszczec przez nos, coraz bardziej zdenerwowany. Szarpnął się, gdy lekarka wycisnęła na niego zimny żel, ale Bastian przytrzymał go w miejscu. W milczeniu ślizgała sondą po brzuchu wolpertingera, zapatrzona w ekran. Florka również na niego zerkała, ale obraz nic jej nie mówił – całe życie nie mogła wyjść z podziwu, że lekarze widzą tam cokolwiek innego niż czarno-biały galimatias.

– Strasznie wypchany żołądek – oceniła Izabela.

– Ojej – jęknęła Sakowska. – Wczoraj dostał nowego granulatu...

– Od razu, bez stopniowej zmiany na nowy?

– No, tak, bo stary się skończył.

– To może być przyczyna takiego zatkania. Dodatkowo granulatu w przewodzie pokarmowym pęcznieje... Weźcie Ryśka na szpital i pobierzcie mu krew – zwróciła się do techników, po czym wróciła do rozmowy z opiekunką.

Florka wytarła wolpertingerowi brzuch, a Bastian skłonił go do wejścia do klatki, po czym zaniósł na zaplecze. Gdy tylko dziewczyna zamknęła drzwi, nie wytrzymała i powiedziała:

– Jaki on jest piękny!

– Uch, weź, ma straszne oczy – odparł faun, zajęty wyciąganiem przyborów z szuflad.

Techniczka przypadła do kennela. Ogromne zajęcze uszy były poprzetykane pajęczyną naczyń krwionośnych. Pod światło wyglądały jak gotycki witraż.

– A jakie on ma żyły! – westchnęła z zachwytu.

– Chcesz pobrać?

– Chcę!

Bastian zaśmiał się i wręczył jej kilka zapakowanych igieł i probówki. Przygotowała sobie stanowisko pracy tak, jak lubiła. Faun otworzył klatkę, ale wolpertinger nie miał najmniejszego zamiaru wyjść.

– Chyba zwietrył pismo nosem – stwierdził technik. – No wyłaź!

Florka przytrzymała kennel, Bastian zaś złapał Ryśka i spróbował wyciągnąć. Zając zaparł się wszystkimi łapami. Gdy znalazł się na zewnątrz i dziewczyna pochyliła się, by go podnieść, zaczął trzepać skrzydłami, bijąc ją dotkliwie po rękach. Prychnął głośno, co brzmiało jak oranie pazurami po grubej tkaninie, odwrócił się gwałtownie i wystartował naprzód z zębami. Dziewczyna szybko cofnęła dłonie poza ich zasięg.

– A niby taki biedny i chory – zażartowała.

Wolpertinger patrzył na nią, emanując nienawiścią. Jego wielkie żółte oczy przywodziły na myśl pradawnego proroka, który ujrzawszy wszystkie tajemnice kosmosu. Aż ciarki przeszły jej po plecach.

Bastian chwycił go stanowczo i posadził na stole. Florka pochyliła się nad pacjentem i sięgnęła po jedno z długich uszu – było przyjemnie gorące, a naczynia krwionośne pulsowały łagodnie pod skórą. Zgoliła sierść na zewnętrznym brzegu ucha i przetarła miejsce alkoholem.

Do pomieszczenia zajrzała Izabela. Bastian podniósł głowę.

– Możecie od razu założyć mu wenflon – powiedziała. – Zostanie na kroplówce.

– Jasne – odparł faun. – Co mu puścić?

– Jeszcze nic, zobaczymy, jakie ma wyniki krwi.

Florka nawet nie zwróciła uwagi na wymianę zdań. Wzięła igłę i probówkę i dokładnie wycelowała w żyłę.

– Dobra. – Bastian spojrział w dół. – Czekaj, przytrzymam go za...

Samiuteńki koniuszek igły nakłuł skórę.

Rysiek szarpnął się jak koń i zamachnął rozłożystym porożem. Zakrzywiony oczniak wbił się w prawe oko Florki niczym osinowy kołek w serce wampira.

Dziewczyna wrzasnęła i zatoczyła się do tyłu. Upuściła probówkę i przycisnęła obie dłonie do twarzy. Zamroczone bólem ledwo odnotowała, co się wokół niej dzieje. Wolpertinger próbował się wyrwać Bastianowi, warcząc jak cerber. Faun kłął jak marynarz i jedną ręką trzymał gałąź poroża, drugą zalane krwią ucho Ryśka. Drzwi otworzyły się gwałtownie, pani Sakowska krzyknęła z przyganą: „Ryszard, bój się Boga!”, a Iza powiedziała najspokojniejszym tonem na świecie: „To ja wezwę pogotowie”.

Minęło pół godziny, gdy przed lecznicę zajechał ambulans. Ratownicy z nieskrywanym zdziwieniem spoglądali na zamkniętego w klatce wolpertingera, który łykał na nich spode łba. Zabezpieczyli ranę Florki i zabrali dziewczynę do karetki. Odprowadzały ich przerażone spojrzenie Bastiana i zupełnie niewzruszone doktor Izabeli.

Całą drogę, czując rwący ból w głowie, dziewczyna ledwo przytomnie powtarzała w myślach: wyleje mnie. Wyleje mnie.

Florce udało się przespać pierwsze pół nocy tylko dlatego, że była ociężała po znieczuleniu. Później jednak nie zdołała już zmrużyć oka. Jednego – bo drugie zostało usunięte.

Pomacała zawinięty na głowie opatrunek uciskowy. Ból zapulsował leniwie w prawym oczodole. Próbowwała sobie wyobrazić, jak teraz będzie wyglądać jej życie, jak brak oka wpłynie na funkcjonowanie, ale im dłużej się nad tym zastanawiała, tym gorzej się czuła. Przeklinała się w myślach za to, że popisała się taką głupotą.

Chciała sprawdzić godzinę na telefonie, ale nie miała siły nawet przetoczyć się na bok. Leżała zatem na szpitalnym łóżku wpatrzona tępo w biały sufit.

Wkrótce pojawiła się salowa. Przy rozdawaniu śniadania z każdym ucinała krótką pogawędkę. Florka zacisnęła usta.

– Dzień dobry! – rzuciła wesoło starsza kobieta, zbliżając się do jej łóżka. Florka niechętnie podniosła się na łokciach. – Jak się pani czuje?

– Szału nie ma – mruknęła dziewczyna.

– Spokojna głowa, zaraz lekarz przyjdzie i wszystkim się zajmie. Proszę, śniadanko, pyszne i pożywne.

Florka zerknęła na talerz, na którym leżały dwie kromki chleba, turystycznej wielkości kosteczka masła, jajko na twardo i dwa plastry mortadeli. Zastanowiła się, czy salowa żartuje, czy faktycznie uważa to za pełnowartościowy posiłek.

– Dziękuję – powiedziała i sięgnęła po plastikowy nóż, by przekroić jajko na pół.

– Co tak panią urządziło? Jakiś zwierz podobno? – zagadywała salowa. Miała aparycję przywodzącą na myśl na słowo „babcia”: niewysoka, nie za chuda, włosy jeszcze nie siwe, ale już nie w pełni koloru, i nade wszystko przesympatyczny uśmiech, na widok którego miało się ochotę poprosić o dokładkę wszystkiego, co proponowała.

– Ach, to był, hm, wolpertinger – odparła niechętnie Florka, skupiona na jajku.

– A co to takiego? Jakiś magiczny potwór, nie?

– Taki zajęc z porożem...

– Rety, rety. – Kobieta poprawiła poduszki. – W lesie tak na panią napadł?

– Nie, to był wypadek w pracy. – Nie miała ochoty ciągnąć tematu, ale zauważyła, że salowa jej się przygląda. – Opiekunka przyniosła go do lecznicy.

– Do lecznicy? A gdzie tu zaczarowane zajęce leczą?

– W Zrębках...

Uroczą twarz salowej momentalnie wykrzywiła się w grymasie zniesmaczenia.

– W Zrębках? Czyli u tej całej Pokot? – wypluła pogardliwie.

– Zna ją pani? – spytała Florka, zdziwiona taką reakcją.

– To rzeźnik – wycedziła kobieta. – Zanim tu przyjechała z tym swoim czarnoksięstwem, to robiła w Łodzi. Moja córka ma przychodnię w Cnotnicach i na okrągło ludzie jej przynosili zwierzęta, które tamta prawie wykończyła swoim „leczeniem”. Wszystko by usypiała i ciężkie pieniądze za to brała! Koledze szwagra tak psa leczyła, że prawie się przekręcił, pół roku ciągnęła z niego kasę, a z psem coraz gorzej. Przyszedł w końcu do mojej Honoratki i od razu go postawiła na nogi!

Florcka słuchała tego z rosnącym niepokojem. Z jednej strony zawsze znajdowali się opiekunowie, którzy ubliżali nawet najlepszym lekarzom i oskarżali ich o zdzierstwo i niekompetencję. Mieli też w zwyczaju wychwalać pod niebiosa kompletnych konowałów, jeśli tylko było u nich taniej. Nie należało zatem wierzyć pierwszej lepszej opinii i tylko na niej budować sobie obrazu sytuacji.

Z drugiej strony jednak... Izabela Pokot nie była zwykłą weterynarką.

Salowa obruszyła się ostatni raz.

– Od tej Pokot radzę trzymać swoje zwierzaki z daleka. Tylko większą krzywdę im zrobi! – fuknęła, po czym odeszła do kolejnego pacjenta.

Dziewczyna zamyśliła się, żując powoli chleb z masłem. Gryzienie wzmagало ból, więc nie zjadła wiele. Głównie jednak apetyt odebrało jej to, co usłyszała o swojej pracodawczyni.

Po południu została wypisana ze szpitala. Przyjechały po nią zmartwione ciocie, a także kompletnie roztrzęsiona mama. Zapakowały ją do samochodu i ruszyły w drogę do Zrębek.

– Mówiłam, że to mi się nie podoba! – utyskiwała Filomena Kuna, która nie odrywała wzroku od córki i nieustannie poprawiała jej opatrunek na głowie. – Tam jest zbyt niebezpiecznie! Jeśli to był tylko królik, to co dopiero może się wydarzyć z jakimiś innymi potworami?!

Florka nie miała siły odpowiadać. Laura obejrzała się na siostrzenicę.

– Bardzo cię boli? – spytała.

– No raczej, że boli – odpowiedziała zamiast Florki siedząca za kierownicą Teresa. – Też by cię bolało, jakby ci wydlubali oko porożem. Na twoim miejscu pozwałabym ją i sprocesowałam do ostatniej złotówki! – rzuciła groźnie, patrząc na dziewczynę przez lustro wsteczne. – Co to za miejsce, w którym pierwszego dnia przytrafia się taki wypadek?

– Miałam znajomego, co robił na pół etatu w magazynie i pierwszego dnia zmiął sobie stopę wózkami widłowymi – powiedziała Laura, próbując rozładować atmosferę.

Fila cmoknęła z przyganą.

– Co innego złamać palec, a co innego wyłupić oko. Przecież to skandal! Tereska ma rację, idź z tym do sądu pracy, samo odszkodowanie to za mało.

– Nie przejmuj się. – Ciocia posłała siostrzenicy spojrzenie pełne troski i miłości. – Poradzisz sobie.

Florka odpowiedziała wymuszonym uśmiechem, nie mając siły ani ochoty wyrazić wdzięczności słowami. Oparła czoło o zimną szybę i zapatrzyła się na widoczny za oknem krajobraz. Świat wyglądał dziwnie, kiedy oglądało się go jednym okiem.

Podniosła wzrok, gdy samochód minął tablicę z napisem „Cnotnice”. Miejscowość była większa od Zrębków, przynajmniej o tyle, że znajdował się w niej supermarket, ale wciąż miała wiejski urok. Florka wypatrywała lecznicy weterynaryjnej, ale najwyraźniej nie znajdowała się na ich trasie.

– Do kiedy masz zwolnienie? – spytała mama.

– Do czwartku.

– Serio? Nie lepiej, żebyś dłużej posiedziała w domu? Może pojedziesz ze mną do Warszawy?

– Nie, nie chcę od razu po zaczęciu nowej pracy iść na zwolnienie.

– Miałaś operację – zauważyła z naciskiem Teresa. – Każdy by się spodziewał, że po czymś takim pójdzie się na el-cztery.

– No wiem, ale... nie chcę.

– Nikt ci za to orderu nie da. – Ciocia zabębniła niecierpliwie palcami o kierownicę, wpatrzona w czerwone światło. – Tylko się umęczysz. Każdy pracodawca jest taki sam: wymaga od ciebie wyrabiania trzystu procent normy i każe sobie za to dziękować na kolanach. A jak się nie podoba, to za drzwiami jest kolejka ludzi na twoje miejsce!

– No już, już. – Laura pogłaskała Teresę po ramieniu. – Jeszcze tylko dziesięć lat do emerytury, dasz radę, spokojnie.

– Jestem spokojna! – warknęła głośno ciocia.

Florka zaśmiała się słabo pod nosem.

Wkrótce dotarły do Zrębek. Słońce wydawało się tu świecić jaśniej, jakby przekroczyły magiczną granicę krainy szczęścia.

– O, montują paczkomat! – zawołała Laura.

– To prawie jak nadanie praw miejskich – zdobyła się na żart jej siostrzenica.

Zajechały pod dom cioteczek – prosty, ceglany, o powojennym uroku. Florka zauważyła brudnego kota, białego w łaty, który czmychnął przez podwórko i prześlizgnął się pod płotem.

– Dogadalibyście się z Topielcem. – Laura skinęła głową w jego stronę. – On też nie ma oka.

Fila szturchnęła ją łokciem.

– Och, Boże święty, miej trochę taktu.

– Czemu nazywa się Topielec? – spytała Florka.

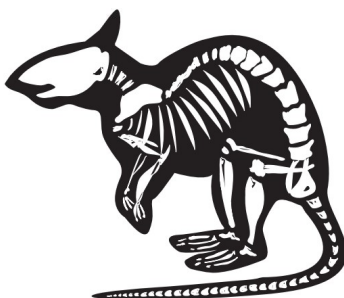
– Tereska wyłowiła go ze stawu, ktoś wyrzucił cały miot w worku. Przychodzi tylko na jedzenie i znowu go nie ma. Próbowaliśmy go oswoić, ale straszny z niego dzikus.

– No cóż, po czymś takim też bym miała ograniczone zaufanie do ludzi – stwierdziła ponuro dziewczyna.

Ciocia Laura objęła ją ramieniem.

– Chodź, zrobimy sobie placki ziemniaczane.

Florka obejrzała się na ulicę w stronę, która prowadziła na Podleśną, do lecznicy. Westchnęła ciężko i pozwoliła zaprowadzić się do domu.



ROZDZIAŁ II

GDZIE TRAWA JEST BARDZIEJ ZIELONA

Dwa dni później Florka obudziła się bardzo wcześnie. Sięgnęła po leżący na stoliku telefon i ledwo przytomnie wyłączyła budzik, zanim zdążył zaburzyć spokój poranka irytującym brzęczeniem. Jęcząc pod nosem, z trudem dźwignęła się do pionu. Opuściła stopy na drewnianą podłogę. Wciąż miała obie nogi, obie ręce, a mimo to czuła się przepołowiona jak jabłko, którego zgniłą część wyrzucono do kosza.

Wsunęła stopy w kapcie i poczłapała do łazienki.

Unikała lustra tak długo, jak tylko mogła. Ubrała się i uczesała odwrócona ostentacyjnie, jakby miała do niego głęboki uraz. W końcu sięgnęła po niewielkie plastikowe pudełeczko i ampułkę z solą fizjologiczną. Położyła je na czystym, miękkim ręczniczku przed lustrem i podniosła wzrok.

Jej twarz była połowicznie taka jak zwykle: kwadratowa, okolona jasnymi włosami. Lewe oko duże, z piwną tęczówką. Drugie

przesłonięte zmechanizowanym po nocy opatrunkiem. Zdjęła go, krzywiąc się i marudząc w myślach na producenta plastrów, który na opakowaniu zapewniał, że są delikatne i łatwe do odklejenia. Miała wrażenie, że razem z plasterem odrywa sobie płyty skóry.

Dotknęła powieki i skrzywiła się, zarówno z bólu, jak i wstrętu. Dłuższą chwilę zastanawiała się, jak podejść do wyjęcia protezy. Kiedyś, w ramach przebrania na halloweenową imprezę, Florka kupiła sobie kolorowe soczewki kontaktowe. Założenie ich zajęło jej kilka minut, a zdjęcie pół godziny. Miała wtedy poczucie, że łatwiej byłoby wyciągnąć całe oko.

Dam radę, postanowiła stanowczo w myślach. Postukała paznokciem w szklaną powierzchnię, nie mogąc się nadziwić, jakie dziwne to uczucie. Przysunęła sobie lusterko, obejrzała wszystko uważnie w tym oraz w dużym, wiszącym nad umywalką. Proteza zamiast źrenicy miała otwór do podawania leków. W środku straszyl widok opuchniętego oczodołu. Starając się długo nad tym nie zastanawiać, zabrała się do dzieła.

Po kilku minutach syczenia, warczenia i pojękiwania z bólu wreszcie udało jej się wyjąć protezę i umieścić w kąpieli z soli fizjologicznej. Zapatrzyła się na nią, potem na to, co pozostało po enukleacji oka. Wygląda dużo ładniej niż u Sissi, pomyślała w próbie pocieszenia samej siebie. Była to kotka, która w lecznicy Pierzyńskiego została legendą. Księżniczka Sissi przez tydzień chodziła z makabrycznie opuchniętym okiem, które dosłownie wypływało z oczodołu, nim jej opiekun – naciskający na to, by „uratować” gałkę leczeniem farmakologicznym – wreszcie zgodził się na zabieg. Kiedy zobaczył zaszyte powieki, wpadł w szal i zaczął grozić sądem i nagłośnieniem sprawy w mediach, bo spodziewał się, że jego cenna, rodowodowa neva masquerade dostanie szklane oko.

Florka zapatrzyła się na opuchnięty, zionący pustką oczodoł. Dotknęła palcem okolicy kości policzkowej i skrzywiła się – cały czas czuła pulsujący w głębi ból, promieniujący na całą głowę. Wytknęła

język i wypuściła powietrze z parsknięciem, zastanawiając się ponuro, jak bardzo brak oka wpłynie na jej życie.

Po paru minutach z nieco mniejszym trudem wsunęła pod powiekę nieprzyjemnie zimną protezę, przykleiła nowy opatrunek i wyszła z łazienki.

W kuchni zastała ciocię Laureę, która stała przy kuchence i pilnowała czajnika. Nawet w koszuli nocnej i z twarzą zmęczoną po nocy wyglądała jak królowa elfów. Na widok siostrzenicy spojrzała na zegar ścienny.

– Co tak wcześnie? – spytała. – Myślałam, że masz na dwunastą.

– Jakoś kiepsko mi się spało – mruknęła Florka. Wyjęła kubek z szafki i wrzuciła do niego torebkę herbaty.

– To tak jak mnie – powiedziała Teresa, która właśnie weszła do kuchni. Zawiązała ciasniej szlafrok, sięgnęła po pilota i włączyła niewielki telewizor. – Babcia miała rację, że jak się człowiek obezre na noc, to mu się czarownice śnią.

– Opowiedz jej, opowiedz – odezwała się Laura, a w jej oczach błysnęły wesołe ogniki. Zwróciła się do siostrzenicy: – Tereska ma dar.

– Nie mam żadnego daru. – Ciocia pokręciła głową i przeczesła palcami czarne włosy. – Moja babcia od strony taty, Józefina, była... oryginalna. Połowa rodziny była przekonana, że umie przepowiadać przyszłość, druga połowa twierdziła, że to dyrdymały. Podobno przewidziała śmierć swojego ojca. Przyśniła jej się stara jabłoń, którą on posadził, jak był dzieckiem. W tym śnie straciła wszystkie liście i uschła, ale jabłka zostały na gałęziach. To niby miało oznaczać, że on niedługo umrze, ale jego potomkowie będą zdrowi.

– No to miała rację. Ciebie to się żadne choroby nie imają – zauważyła Laura, rozlewając wrzątek do kubków.

– Taa... Ojciec do końca życia mi wypominał, że marnuję dobre geny – mruknęła Tereska. – Babcia Józia miała mnóstwo takich historyjek. Stąd te jej przesady. Podobno raz się objadła i przyśnił jej się koszmar o jakichś... nie pamiętam, martwych psach w wiadrach

czy coś. I niby jakiś czas później ich pies umarł, bo sąsiad mu podrzucił trutkę do miski z wodą.

– Uch, okropne. Nie przewiduj mi takich rzeczy.

– A co, jakby jej się to nie przyśniło, to psa by nie otruli? – prychnęła Teresa. Zgarnęła swój kubek i usiadła przy stole. – Zresztą jedno nie ma żadnego związku z drugim.

Laura nachyliła się konspiracyjnie ku Florce.

– Przewidziała, że znajdzie Topielca, bo śniła jej się rzeka i tego dnia poszliśmy tam na spacer.

– Niczego nie przewidziałam! – warknęła ciocia, wznosząc ręce ku niebu. – Sny tak nie działają!

– To co ci się dzisiaj śniło? – spytała Laura, siadając naprzeciw niej przy stole.

– Że ci wszystkie zęby wyleciały. Naprawdę, więc lepiej dobrze szczotkuj – odparła złośliwie. – Karmiłaś już kota?

– Jeszcze nie. Florka, będziesz tak dobra? Tam jest puszka.

Dziewczyna przytaknęła i wyjęła karmę z szafki. Nakładając porcję, zapatrzyła się na telewizor. Spiker porannych wiadomości mówił o karambolu spowodowanym przez – jak twierdził jeden z kierowców – jednorozca, który przebiegł mu drogę. Policja podała tę historyjkę w wątpliwość, mówiąc o promilu alkoholu we krwi sprawcy wypadku.

Florcka wyszła na zewnątrz. Rozejrzała się wokół. Podniosła pustą miskę i postawiła na jej miejscu nową. Wtedy zauważyła czającego się pod krzewem forsycji kota.

Kucnęła w pewnej odległości od miski.

– Kici, kici – szepnęła. – Chodź, kitku.

Topielec wychynął nieufnie z kryjówki. Łypnął na nią jednym okiem.

– Chodź, nie bój się – wabiła go, jakby mógł ją zrozumieć. Ukryła się za węglem.

Kot wyszedł spod krzewu, wciąż zerkając na nią czujnie. Zakradł się do miski, obwąchał uważnie jej zawartość, potem zaczął jeść.

Florka oparła podbródek na dłoni. Zastanowiła się, czy nie spróbować go złapać, by zanieść do pracy i dać do zbadania Izabeli. Potem zaczęła dumać nad tym, jak zdziżały kot radził sobie z jednym okiem. Ciekawe, w jakich okolicznościach je stracił. W walce z innym kotem? A może też urządziło go tak jakieś magiczne stworzenie? Czy było mu trudno polować i żyć bez opieki?

Westchnęła cicho. Cofnęła się za róg domu, by go nie wystraszyć, po czym wstała i wróciła do domu.

Wkrótce ciocia Teresa pojechała do pracy, Laura zaś zamknęła się w pracowni, z której dochodził niemal nieustanny odgłos maszyny do szycia. Florka nie chciała przeszkadzać, więc zajęła się swoimi sprawami do czasu rozpoczęcia zmiany o dwunastej. Nie mogła się przyzwyczaić do widzenia jednym okiem – bała się, jak sobie poradzi z precyzyjnymi zadaniami, takimi jak zakładanie wenflonów czy pobieranie krwi... Jeśli w ogóle pozwolą jej wykonywać te czynności po tym, jaki dała popis z Ryśkiem.

W końcu zaczęła szykować się do pracy. Kiedy założyła buty, krzyknęła:

– Wychodzę!

– Baw się dobrze! – odpowiedziała z pracowni Laura.

Florka stanęła na ganku. Zapatrzyła się na ulicę. Wczorajszego dnia, kiedy ciocie nie patrzyły, zrobiła kilka rundek rowerem przed garażem i udało jej się na nic nie wpaść – jeśli nie liczyć otarcia się o pierzaste gałęzie forsycji. Podwórko było małe i ciasne, a droga długa i prosta. Samochodów też nie jeździło tu przesadnie dużo. Nie odważyłaby się na to w mieście, ale na wsi? Nie powinna mieć większych problemów z jazdą, prawda?

Dam radę, powtarzała w myślach, wyprowadzając rower ze składziku. Nagle podskoczyła, gdy usłyszała nad sobą Laurę:

– Chyba nie zamierzasz jechać do pracy rowerem?

Florka popatrzyła na wychylającą się z kuchennego okna ciocię.

– To niedaleko – powiedziała.

– Oj... Florcia, nie wiem, czy to taki dobry pomysł.

– Nie panikuj, nic mi nie będzie.

– Może daj sobie czas, żeby się oswoić z sytuacją? Przespaceruj się teraz, a jak będziesz mieć na rano, to Tereska może cię podwozić...

– Mówię ci, że nic mi nie będzie – powtórzyła stanowczo dziewczyna. Po sekundzie pomyślała, że mogła zabrzmieć niegrzecznie. – Nie martw się, będę ostrożna.

– Hm – mruknęła Laura, przyglądając się siostrzenicy z troską. – No dobrze, śmigaj. Daj znać, jak dojedziesz.

– Jasne. To pa!

Florka wyprowadziła rower za furtkę. Wsiadła na niego, rozejrzała się w obie strony, po czym ruszyła w drogę.

Przemieszczała się ostrożnie i nie bez obaw, wciąż obracając głowę w prawo, by niczego nie przeoczyć. Choć nabrała nieprzyjemnego wrażenia, że zaraz sobie od tego skręci kark, doszła do wniosku, że przy spokojnej jeździe nie ponosi dużego ryzyka. Przecież nie straciła wzroku kompletnie – czego tu się bać?

W pewnej chwili sapnęła głośno, gdy przypadkiem najechała na krawężnik i koło nieprzyjemnie zgrzytnęło o beton. W panice zrobiła zygzak. Chwilę później tuż obok niej przejechał z dużą prędkością samochód.

Zahamowała. Obejrzała się za siebie, potem znów zwróciła w stronę, w którą zmierzała. Westchnęła ciężko, wprowadziła rower na chodnik i dalszą drogę pokonała pieszo.

Wreszcie dotarła przed dom na Podleśnej trzy. W środku przywitała się z siedzącym w poczekalni staruszką, równie uśmiechniętą co kundelek, którego miał na smyczy. Zaraz za progiem gabinetu wpadła na Bastiana.

– Żyjesz! – zakrzyknął radośnie. Zauważył opatrunek i wciągnął z sykiem powietrze. – Udało się uratować?

– Nie – odparła, kręcąc głową. – Całe usunęli.

– Enukleacja to bardzo satysfakcjonujący zabieg – odezwała się Izabela zza laptopa.

Florka zaśmiała się nerwowo.

– A z ciekawości, dałoby się coś takiego uratować nekromancją? – spytał faun.

Lekarka spojrzała na Florę tymi dziwnymi, zamglonymi oczami. Dziewczyna aż poczuła dreszcze.

– Na ile widziałam obrażenia, to nie sądzę. Poproś pacjenta do gabinetu.

Faun zasalutował i odwrócił się do drzwi prowadzących do poczekalni. Flora umknęła do pomieszczenia socjalnego.

Odłożyła plecak na krzesło i włączyła czajnik, żeby zaparzyć sobie herbatę. Otworzyła swoją szafkę i podskoczyła. Na złożonych fartuchach siedziała Przekręt. Szczurzyca wyciągnęła przekrzywiony łebek w stronę dziewczyny, wytrzeszczając podobne do pereł białe oczka.

Czy ona ją w ogóle widziała? Cóż, Izabela też była nieumarła, a zdawała się funkcjonować jak żywa osoba. Wokół zwierzaka, podobnie jak wokół jego właścicielki, unosił się zapach świeżych trzewi – nie przesadnie nieprzyjemny, ale na dłuższą metę mdlący.

– Ee... cześć – powiedziała Flora. – Mogłabyś, no, iść sobie?

Przekręt stanęła na tylnych łapkach. Nie oddychała, ale kiedy dziewczyna ostrożnie wyciągnęła ku niej dłoń, zaczęła węszyć.

– Sio.

Szczur zignorował ją i zabrał się do mycia brzuszka. Flora zacisnęła usta. Nie miała ochoty go dotykać. Nie że się brzydziła – niejednokrotnie nosiła w gołych rękach martwe zwierzęta. Przy żadnym trupie jednak nie ryzykowała, że ją ugryzie. Kto wie, czym mogła się zarazić od nieumarłego szczura? Czy miała aktualne szczepienie przeciwko tężcowi...?

– Pardąsik, wezmę tylko picie – powiedział Bastian, który właśnie wszedł do socjalu. Zauważył minę Florę, potem szczura w jej szafce. – O, znalazła się.

– Wspaniale. Jak ją przekonać do ewakuacji?

Faun odstawił wodę na blat, zbliżył się i sięgnął po Przekręt. Szczurzyca zrobiła niewinną minę.

– Nie bój się, jest miła. Lubi czyste ubrania. Chcesz ją potrzymać?

Nie czekając na odpowiedź, wręczył szczura Florce. Zwierzak w dotyku przypominał oblepioną sierścią porcelanową figurkę. Oparł zimne łapki na jej dłoni i wyciągnął ku niej ruchomy nosek.

– W sumie jest całkiem urocza – stwierdziła dziewczyna.

– Kumplujemy się, nie, Przekręt?

Podał szczurzynce palec, a ona dotknęła go, jakby przybijała piątkę. Faun pogłaskał ją po łebku.

– Długo się znacie?

Bastian się zaśmiał.

– Od dwóch tygodni. – Otworzył butelkę i pociągnął zdrowy łyk. – No dobra, przedwczoraj nie bardzo było kiedy się socjalizować, to poznamy się, póki Iza szczepi Krokieta. Skąd żeś przyfrunęła?

– Z Warszawy.

– Pewnie nie było tam za dużo wolpertingerów? – spytał i wyszczerzył się złośliwie. Florka posmutniała. Próbowwała to zamaskować, ale najwyraźniej nie udało jej się, bo faun powiedział od razu: – Hm, sorry, to było niemiłe. I... przepraszam za cały ten ambaras, bo to w sumie moja wina. – Podrapał się za uchem zakłopotany. – Trza było go od razu mocno za rogi złapać.

– Nie, w porządku – powiedziała dziewczyna, choć nie bez żalu. Westchnęła. – Mam tylko nadzieję, że nam się nie oberwie od, hm, szefowej.

– Co ty, Iza jest spoko. Najwyżej żałuje, że nie znalazłaś się na skraju śmierci, bo nie mogła cię wskrzesić. – Zachichotał.

Florcka zapatrzyła się na szczura w swoich dłoniach.

– To co się stało z Ryśkiem?

– A, został na kroplówce do końca dnia, rano przyszedł na kontrolę i był jak młody bóg. Nie wykazał skruchy.

Florcka pokiwała głową.

– To stały pacjent? Jakich przypadków było najwięcej do tej pory?

– Psy z kleszczami i koty na pazurki. – Bastian uśmiechnął się półgębkiem. – Wydaje mi się, że nie za dużo ludzi w okolicy ma magiczne zwierzęta, a poza okolicą jeszcze nikt nie ogarnął, że jest tu specjalistka.

– A co z nekromancją?

– Chyba trochę to ludzi nie przekonuje. – Zakołysał butelką w dłoni. – W sumie trudno się dziwić... No, ale zobaczymy, jak będzie. Dobra, młoda, idę, a ty się przebieraj.

Wyszedł, stukając racicami. Florka odprowadziła go wzrokiem. Potem znów spojrzała na szcurzynkę w swoich dłoniach. Położyła ją na krześle, wciąż niepewna, czy się jej brzydzi, czy nie.

Kiedy wróciła do gabinetu, przy stole diagnostycznym zobaczyła wysokiego mężczyznę, który trzymał dłoń na grubej zielonej torbie. Miał na sobie mundur moro. Na widok Florki uśmiechnął się szeroko.

– Dobry – przywitał się. – Więc to pani Rysiek rzucił się do gardła?

– Nie da się ukryć – przyznała ze wzruszeniem ramion.

– Skurczybyk, ja wiedziałem, że w końcu zbierze żniwo. Odchowałem go, wie pani? Jak był małym oseskiem. Matkę zagryzły psy i z całego gniazda tylko on wyżył. Na wolność już go nie można było wypuścić, bo za bardzo przywykł do ludzi, ale Maryśka powiedziała, że go weźmie. Sakowska, moja kuzynka – wyjaśnił. – Jest zakochana w tym diable.

– Mimo wszystko nie dziwię się – powiedziała Florka z krzywym uśmiechem.

– Kurde, maniery – zreflektował się mężczyzna i wyciągnął rękę, silną i szorstką. – Tomek jestem, z fundacji Faunastyczni. Pomagamy tym wszystkim magicznym bidom, co się tu odnaleźć nie mogą.

– Co dziś mamy? – spytała Iza.

Tomasz wyjął z torby przezroczysty transporter na gady. Wewnątrz wiło się coś białego.

– Aa, trusia. Popierdółka jeszcze, pewnie dopiero co się wykluła. Ludzie ją próbowali zabić, bo się czaiła na krowy.

Zaintrygowana Florka, nie dbając o pozory, przytruchtała do mężczyzny i zajrzała do transportera. Leżał w nim mlecznobiały wąż, cienki jak ołówek, za to bardzo długi. Łypnął na techniczkę niebieskimi oczami, gdy przyglądała mu się w zachwycie. Sama знаła to stworzenie pod innymi nazwami: kocmełuch lub po prostu żmij mlekowy.

Izabela również podeszła.

– Coś jej dolega?

– Na oko nie, ale dobrze, żebyś na nią spojrzała, zanim ją wypuścimy.

Położył transporter na stole i go otworzył. Wąż wyciągnął trójkątny łebek ku Florce. Był przepiękny; jego drobne białe łuski wyglądały jak perełki. Podsunęła mu rękę i od razu tego pożałowała, bo żmij błyskawicznie wślizgnął się w krótki rękaw jej fartucha i zaczął pełzać po ciele dziewczyny. Wzdrygnęła się, gdy poczuła jego wijące się, zimne, gładkie ciało.

– Ej, spadowa! – fuknęła na niego.

Tomasz się zaśmiał.

– No co? Ciepło jej.

Trusia wystawiła głowę z drugiego rękawa i zamajtała różowym językiem. Izabela wyciągnęła ku niej dłoń. Gadzina zaczęła na nią wpełzać, ale po sekundzie zde gustowana zwinęła szyję w eskę i wycofała się w głąb fartucha.

– Przyniosę mleko – powiedziała lekarka i wyszła z gabinetu.

Florcka zmieszała się, myśląc intensywnie, jak wyciągnąć węza z ubrania bez rozbierania się przy obcym facecie. Zadowolony żmij owinął jej się wokół szyi niczym naszyjnik i spoczął na ciepłych plecach. Pociągnęła go delikatnie, nie chcąc zrobić mu krzywdy, ale tylko zacieśnił splot.

– Nie bój się, nie udusi cię. – Tomek przyglądał się temu z rozbawioną miną. – To w ogóle nie ma mięśni, tyle tylko, żeby się przemieszczać.

– Naprawdę piją mleko? – spytała zaciekawiona.

– Taa. Kręcą się koło dzieciatych zwierząt i wysysają prosto z cyca, mówiąc wprost. Żadnej krzywdy przy tym nie robią, nawet zębów nie mają, ale wiadomo, gospodarzom się to nie podoba. Z baniaków też potrafią pić.

Florka pokiwała głową i zerknęła z niepokojem na okolice swojego biustu. Żmij jednak o wiele bardziej upodobał sobie jej plecy.

– Jak duże rosną? – spytała, ciągnąc go delikatnie za dogłowową część ciała.

– Największa ponoć miała kilkanaście metrów. Ale nie są takie grube jak jakieś anakondy czy inne boa, wbrew temu, co mówią legendy.

– Łał... Ale w zasadzie są niegroźne?

– Zupełnie. Ludzie się ich boją, bo to węże – powiedział Tomasz z przekąsem. – Tępią je, zamiast wystawić miseczkę z mlekiem i mieć spokój. To najmilszy gatunek żmija, jaki istnieje.

Florka już chciała zarzucić męczyznę pytaniami o inne gatunki żmijów, ale wtedy Izabela wróciła do gabinetu z butelką mleka i metalową miską. Napełniła ją i postawiła na blacie. Trusia wychynęła z rękawa techniczki, węsząc językiem. Powoli wyciągnęła się w kierunku miseczki, a gdy wyczuła zapach mleka, dopadła do niej i zaczęła pić. Florka przyglądała się temu z zafascynowaniem. Nigdy nie widziała pijącego węża, na dokładkę pijącego mleko. Wyglądał, jakby coś z ukontentowaniem przeżuwał.

Iza ostrożnie wyciągnęła go z fartucha Florki i zaczęła mu się przyglądać. Nawet nie oderwał się od miski. Przesunęła kciukiem po gładkich łuskach. Pozwoliła mu wziąć jeszcze kilka łyków, po czym złapała go tuż za głowę, otworzyła pysk malutkim metalowym rozwieraczem dla gadów i zajrzała do środka. Uważnie obejrzała jasnorożowe podniebienie i dziąsła. Techniczka zauważyła, że żmij naprawdę nie ma zębów.

– Żywią się tylko mlekiem? – spytała.

– Czasem chapną jakąś mysz – odparł Tomasz.

– Wygląda na zdrowego – stwierdziła Iza. – Możesz go wypuścić.

– Bomba. Machniesz opis?

W czasie gdy lekarka wystawiała fakturę, Florka z brodą opartą na blacie obserwowała najedzonego żmija, który zwinął się na ciepłym termoforze w transporterze. Tomasz zaś bawił się scyzorykiem.

– Weronika mówiła, że znowu widziała jednoroźca – rzucił mimochodem.

Techniczka poderwała głowę.

– Jednoroźca?

– No. Kręci się tu od dłuższego czasu, coraz bliżej zabudowań. Boimy się, że w końcu coś mu się stanie. Może go potrafić samochód, jakiś kłusownik może go upolować... Ludzie mają hyzia na punkcie jednoroźców, zwłaszcza ci, którzy chcą im zrobić krzywdę – powiedział gorzko.

– Rozkładacie wabiki w lesie? – spytała Izabela, nie odrywając wzroku od ekranu laptopa.

– Tak, ale chyba bardziej działają na sarny niż jednoroźce. – Na widok zaciekawionego spojrzenia Florki wyjaśnił: – Lubią kwiaty. Zwłaszcza hibiskus. Zostawiamy takie bukietki w głębi lasu, żeby chętniej szły tam niż do ludzi... ale kłusownicy już się na tym poznali i też je próbują w ten sposób wywabić. Jakbyś znalazła w lesie taki bukiet, to rozejrzyj się za wnykami i się ich pozbądź. Tylko wiesz, uważaj.

Na myśl o możliwości spotkania jednoroźca Florka nabrała natychmiastowej ochoty na spacer po głuszy.

– Widzieliście więcej niż jednego? – spytała.

– Trudno powiedzieć. Może to ten sam, może za każdym razem inny. Rozstawiamy kamerki, ale do tej pory nie udało nam się żadnego nagrać.

– Rety – westchnęła dziewczyna.

Tomasz się uśmiechnął.

– Lubisz magiczne zwierzaki? – spytał.

– Bardzo. Dlatego tu jestem.

– Będę ich dostarczał całkiem sporo, choć pewnie nie tak dużo jak jeży. Wszędzie ich pełno. Może chciałabyś dołączyć do fundacji?

Florka spojrzała na lekarkę, wciąż zajętą robieniem wypisu.

– Raczej nie będę mieć czasu, ale chętnie się zajmę wszystkim, co pan przyniesie.

Przez chwilę rozmawiali o zwierzętach, które Faunastycznym zdarza się ratować, i o tym, jakie fantastyczne stwory można spotkać w mieście i na wsi. Potem Tomasz uchylił czapki na pożegnanie i wyszedł. W tym samym momencie z zaplecza wyłonił się Bastian. Na widok Florki uśmiechnął się szelmowsko.

– Co tam? – spytał. – Widzę po twojej minie, że coś fajnego.

Techniczka zakołysała się na piętach.

– Żmij mleczny. Był prześliczny. Nie wiem, jak można chcieć coś takiego zabić.

– Aa, no, sporo ich się ostatnio zrobiło. Słyszałem, jak mój sąsiad na nie narzeka, że mu prześladują kozy. Wystawiam im mleko, żeby dały mu spokój, a on się piekli, że tylko je zwabiam.

– A słyszałeś o jednoroźcu? – spytała.

– No, coś tam ludzie gadają. A co, znaleźli go? – Spojrzał na drzwi, za którymi chwilę wcześniej zniknął Tomasz.

– Nie, ale podobno zaczyna mu brakować instynktu samozachowawczego.

Faun pokręcił głową.

– Oby nic mu się nie stało. Jednoroźca róg zło wypędza za próg – wyrecytował. – Tak się mówi w mojej rodzinie. Coś w tym jest, bo gdzie one są, tam natura rozkwita.

– Na czarnym rynku ich rogi kosztują majątek – odezwała się Iza. – W przeciwieństwie do łusek pangolina i rogu nosoroźca naprawdę mają potencjał magiczny. W nieodpowiednich rękach mogą zostać użyte do bardzo niebezpiecznych celów. Dlatego jednoroźce trzeba szczególnie chronić.

– Tiaa... Żeby to było takie proste.

Machnął ręką i poszedł do laboratorium.

Popołudniowa zmiana minęła dość spokojnie. Bastian skończył pracę o szesnastej i zostawił dziewczynę samą z lekarką. Za każdym razem, gdy ktoś przychodził na wizytę, Florę ogarniała ulga, bo przy Izabeli czuła się bardzo nieswojo. Długo nie pojawiali się żadni magiczni pacjenci, a niemagiczni nie dostarczali przygód. Przyjęła to z ulgą, choć było jej trochę szkoda, że nie ma czym się wykazać i udowodnić, że nie jest skończoną pierdołą.

W przerwie między wizytami Florka zajęła się inwentaryzacją. Przekręt przyglądała się jej z wytrwałością godną gargulca. Usiadła na krawędzi blatu, przy którym dziewczyna liczyła leki w szufladach, i ze swoim przekrzywionym łebkiem wyglądała na dogłębnie zaintrygowaną. Techniczka zerknęła na nią, czując się coraz bardziej nieswojo.

Usłyszała ruch w poczekalni. Wstała i udała się do gabinetu, mając nadzieję na pojawienie się ciekawego pacjenta.

W środku zastała nową klientkę. Młodą kobietę, na oko w wieku zbliżonym do Florki. Ubrana cała na czarno, z kapeluszem z szerokim rondem i wyrazistym makijażem wyglądała jak postać z filmu Tima Burtona. Trzymała spore pudełko po butach.

– Proszę pani, chciałam się dowiedzieć... Bo pani jest nekromantką, prawda?

– Zgadza się – odparła Izabela.

– Hm, bo ja... mam taki problem... Moja króliczka umarła – uniosła nieco pudełko, a głos jej zadrżał – ale... czuję, że ona wciąż przy mnie jest.

Florka spojrzała z ukosa na lekarkę. Ta nie wydawała się zdziwiona.

– Jak to się objawia?

– Wiem, że to pewnie brzmi dziwnie – mówiła dziewczyna bardzo niepewnym tonem – ale ja ją prostu czuję. Mam wrażenie, że jest ze mną, cały czas. Czuję zapach jej futerka albo taki dotyk, jakby mnie trącała nosem... i martwię się o nią. Bo mówi się, że duchy chodzą po świecie, jak mają niedokończone sprawy... i może ona cierpi.

Jej oczy wypełniły się łzami. Otarła je ostrożnie, by nie naruszyć makijażu, i pociągnęła nosem. Florka popatrzyła na nią ze współczuciem. Wiedziała, co to znaczy stracić najlepszego zwierzęcego przyjaciela. Nie była jednak pewna, czy wierzy w obecność ducha obok klientki. Oczywiście nie wątpiła w ich istnienie – był to powszechnie znany, choć owiany nutką tajemniczy fenomen – ale czy naprawdę ta kobieta miała do czynienia z duchem?

Izabela pokiwała poważnie głową.

– Czy ona jest teraz z panią?

Opiekunka rozejrzała się po podłodze. Znów pociągnęła nosem.

– Nie wiem... Tak mi się wydaje. Była w samochodzie. To znaczy, jeśli to w ogóle prawda... Ale zawsze tupiała na tylnym siedzeniu i teraz też słyszałam tupanie.

– Rozumiem. Proszę stanąć tam – poleciła lekarka, wskazując poblizze stołu diagnostycznego.

Dziewczyna posłusznie stanęła obok i położyła na nim pudełko. Iza wstała od biurka i zamknęła na klucz drzwi zarówno do poczekalni, jak i na zaplecze. Zasuwała ciemne rolety, wyjęła coś z jednej z szuflad, po czym zgasiła światło. W pomieszczeniu zrobiło się niemal całkiem ciemno.

– Teraz proszę zachować spokój.

Włączyła latarkę UV. Gabinet wypełniła niebieskofioletowa poświata.

– Dusze są widoczne w świetle ultrafioletowym – wyjaśniła. – Jeśli pani królik tu jest...

Skierowała światło na stół diagnostyczny.

Florka i dziewczyna w czerni jednocześnie wciągnęły głośno powietrze. W błękitnym blasku wyraźnie zarysowała się przejrzysta, biała sylwetka miniaturowego baranka. Duch – czy też dusza, jak nazwała go Iza – wyglądał niczym ukształtowany obłok kadzidłowego dymu.

– Shubi! – zawołała klientka.

Króliczek stanął słupka i wyciągnął nos ku właścicielce. Ta kucnęła przy stole, zapatrzona w swoją pupilkę, śmiejąc się przez łyzy.

– Mogę jej dotknąć? – spytała.

– Tak.

Shubi podstawiała łebek do głaskania. Dziewczyna ostrożnie ją pogładziła. Jej palce przepłynęły przez królika, jakby dotykała powierzchni wody.

– Shubi, Shubi-dubi-du – zanuciła właścicielka, łkając cicho. – Co ty tu jeszcze robisz? Może ją pani zapytać?

– W jakich okolicznościach umarła?

Klientka pociągnęła nosem i wytarła łyzy ramieniem, ale zaraz na policzki spłynęły następne.

– Znalazłam ją, jak wróciłam z... Nie była już młoda...

Lekarka pokiwała głową.

– Wygląda na to, że chce się pożegnać.

– Nie, nie, Shubi, nie zostawiaj mnie – jęknęła. – Dokąd pójdziesz? Jest jakieś... królicze niebo?

– Niebo to nie jest dobre określenie. Istnieje inny plan rzeczywistości – doprecyzowała Iza. – Tam przebywają dusze, tam odchodzą i stamtąd wracają.

– Więc możemy jeszcze kiedyś się spotkać? – spytała właścicielka z nadzieją w głosie.

– Dusze wracają na nasz plan tylko wtedy, gdy mają zamieszkać w nowym ciele. Bardzo rzadko zachowują wspomnienia i nie zawsze wracają w tej samej postaci. Spotkanie jest możliwe, ale żadna z was może nie być tego świadoma.

Dziewczyna pokiwała głową, wciąż głaszcząc królika po łebku. Florka z trudem trzymała emocje na wodzy – sama miała ochotę wybuchnąć płaczem.

– Zostawimy was same – powiedziała po chwili Izabela i położyła latarkę na blacie tak, by jej blask padał na duszę. – Proszę nas zawołać, kiedy będziecie gotowe.

Kiwnęła na Florkę i razem wyszły na zaplecze.

Pomieszczenie wydało się technicznie o wiele za jasne. Iza udała się na salę chirurgiczną, Florka zaś skrzyżowała ręce na piersiach i zaczęła oglądać wypreparowane zwierzęta i ich narządy, udając obojętność. Myślała o wszystkich zwierzakach, które jej towarzyszyły przez całe życie i które odeszły, i o duszach nawiedzających świat. Czy zawsze tak było, czy dopiero po tym, jak wynalazek Ethana Trusta doprowadził do kolizji dwóch rzeczywistości? Czy istniał sposób na porozumienie się z duszami zmarłych, które odeszły?

Ruszyła w stronę chirurgii, by zapytać o to Izę. Zatrzymała się w progu. Nekromantka stała odwrócona tyłem do wejścia i trzymała Przekręt w dłoniach. Głaskała ją czule, a szczurzyca wyciągała ku niej nosek. Potem Izabela przytuliła ją do policzka.

Florka wycofała się na palcach.

Wzięła puszkę coli i wyszła na zewnątrz. Usiadła na ławce i spędziła tak kolejnych kilkanaście minut, zapatrzona na drzewa i zamyślona.

Zachrząścił żwir na podjeździe. Przez otwartą bramę wjechał biały dostawczak z logo krematorium. Florka pociągnęła ostatni łyk, wyrzuciła puszkę do kosza i wyszła naprzeciw kierowcy.

– Dzień dobry! – przywitał się wesoło brodac, po czym otworzył boczne drzwi samochodu. W środku widoczna była duża waga i rzędy czerwonych kubłów w różnych rozmiarach. – Pani tu chyba nowa?

– Nówka funkiel nieśmigana – odparła i podała mu rękę. – Florka.

– Włodek. – Uścisnął dłoń. – Jakies prezenty podobno dla mnie macie.

We dwójkę ruszyli ku niewielkiej szopie, którą Izabela przerobiła na chłodnię. W środku mężczyzna dźwignął duży czerwony kubeł z odpadami medycznymi, Florka wzięła drugi, mniejszy.

– Jakies zwierzaczkę też? – spytał.

– Też, ale niech pan chwilę poczeka. Przyszła właśnie klientka, może będzie chciała indywidualną...

– Jasne. Nie ma co poganiać.

– Hm, panie Włodku – zagadnęła Florka, gdy postawili kubły na wadze – tam u was w krematorium kręcą się jakieś duchy?

– Duchy? Nieee. – Ruszył z powrotem ku szopce. – Pokotka mówiła, że jakby co, to pomoże się ich pozbyć, ale jak na razie żadne psy żadne zemsty nas nie nawiedzają.

– A słyszał pan jakieś historie?

– Coś tam, gdzieś tam, ale głównie o duchach ludzi. Moja teściowa całe życie twierdzi, że w piwnicy duch jej starego wyjada grzybki ze słoików.

Zarechotał wesoło i sięgnął po jeden z małych woreczków.

– Pan uważa, bo tam jest...

– Ała! – wydarł się i podskoczył.

– ...jeż – dokończyła Florka.

– O skurwesyn! Ale mnie urządził pośmiertnie. – Popatrzył na krew rozplywającą się na jego palcach pod nitrylową rękawiczką.

– Może pójdę po jakiś alkohol...

– Nie mogę, prowadzę. – Rzucił jej szelmowski uśmiech. – Mam coś w samochodzie, odkażę sobie.

Florka zauważyła przez otwarte drzwi, jak dziewczyna w czerni idzie do swojego samochodu, a potem odjeżdża. Przeprosiła pana Włodka i poszła do lecznicy.

Izabelę znalazła w szpitalu. Nekromantka wskazała na pudełko i położyła na nim karteczkę z wypisanymi danymi.

– Pani prosi o kremację indywidualną i urnę z prochami – powiedziała.

– Jasne. – Florka wyciągnęła kilka płacht ligniny i podeszła do stołu. – Hm, co się stało z duchem, to znaczy duszą?

– Wróciła na plan niematerialny.

– Aha. I już nie wróci?

– Osiągnęła swoje cele.

Techniczka przytaknęła zaintrygowana. Choć Iza trochę ją przerażała, ciekawość pchała ją do dalszych pytań.

– Często się zdarza, żeby zwierzęta nawiedzały ludzi?

– Nie. Zwykle wtedy, gdy przez swoje życie zdążyły się do czegoś lub kogoś przywiązać.

– Och, rozumiem. – Po chwili coś innego wpadło Florce do głowy. – A takie zamordowane? W rzeźni czy coś? Przychodzą szukać zemsty?

– Zwierzęta nie są mściwe – stwierdziła stanowczo Iza. Uwolnione od bólu dusze chcą jak najszybciej odejść na inny plan. Choć, oczywiście, zdarza się, że szukają na Ziemi sprawiedliwości. Dlatego czasami rzeźnie muszą wzywać egzorcystów, choć nie mówi się o tym głośno. – Po kilku sekundach dodała: – To barbarzyńskie.

Poszła do gabinetu. Florka zamyśliła się nad tym, co usłyszała. Potem rozłożyła ligninę na stole i otworzyła pudełko.

Wewnątrz na małym ręczniku leżało ciało Shubi. Biały baranek w rudo-brązowe łaty, wbrew wszelkim romantycznym opisom śmierci znanym z literatury, zupełnie nie wyglądał, jakby spał. Leżał na boku z rozrzuconymi bezładnie łapkami i z otwartymi, wysuszonymi oczami. Do tego, które było na dole, poprzyklejały się drobinki siana. Sierść przy ogonie i nogach była zażółcona i mokra od oddanego pośmiertnie moczu. Króliczka wyglądała na bardzo zadbaną: miała prawidłową sylwetkę ciała, gładkie futerko, czysty nos i łapy.

Florka wyjęła ją z pudełka. Shubi była kompletnie sztywna, jak wypchany okaz. Dziewczynę tknęło dziwne uczucie. W swoim zawodzie bez przerwy miała do czynienia ze zwłokami, ani się ich nie brzydziła, ani jej nie poruszały. Kiedy jednak wspomniała ducha tego samego królika, widocznego w świetle ultrafioletowym niemal tak dobrze, jakby wciąż był żywy, czuła pewien dysonans i coś ścisnęło jej gardło.

Starając się już nie roztrząsać tej kwestii, owinęła ciało w ligninę, włożyła do plastikowego worka i zaniósła pracownikowi

krematorium.

Pod koniec dnia pracy do lecznicy przyszedł pan ze szczeniakiem na obcięcie pazurów. Florka zawahała się z ciężkimi w dłoni nad uroczym kundelkiem. Izabela mocno trzymała mu łapki, gdy techniczka starała się nie naruszyć rdzeni w czarnych, nieprzejrzystych pazurach. Po skończeniu doszła do wniosku, że niektóre mogła spróbować przyciąć krócej, ale nie zamierzała do nich wracać, by nie ryzykować rozlewu krwi. Więc teraz nawet takie rzeczy będą za trudne, pomyślała, słysząc w głowie głos Pierzyńskiego: „Zamiatanie podłogi też cię przerasta?”. Przełknęła łyżę, mając nadzieję, że nikt ich nie zauważył.

Po tym, jak pożegnały klienta, doktor Izabela zagadnęła ją zza biurka:

– Jak wrażenia? Podoba ci się tu?

Florka oblała się potem.

– Bardzo. – Po chwili pomyślała o tym, co mówiła ciocia Teresa. Nie miała najmniejszego zamiaru iść do sądu pracy... Co, jeśli szefowa myśli, że jej nowa pracownica mogłaby to zrobić? Dotknęła opatrunku na twarzy i dodała: – Przepraszam za ten wypadek.

Iza przekrzywiła głowę.

– Dlaczego przepraszasz?

– Hm, no... bo to głównie moja wina – wyjąkała Florka, nieco zbita z tropu.

– Wypadki się zdarzają – odparła lekarka spokojnym tonem. – To ty na tym ucierpiałaś, nie ja. Nie masz mnie za co przepraszać.

– Tak, ale pewnie narobiłam sporych problemów...

– Problemy nie istnieją, są tylko sprawy, którymi trzeba się zająć.

Iza rozejrzała się po blacie. Po chwili zza laptopa wyszła ku niej Przekręt z długopisem w zębach. Lekarka wzięła ją i zabrała się do wypełniania jakichś dokumentów.

Florka sprawdziła godzinę. Już miała zacząć szykować lecznicę do zamknięcia, gdy w poczekalni dało się słyszeć otwierane drzwi wejściowe i coś, co przypominało chrząkanie świni. Po chwili ktoś

zapukał. Dziewczyna otworzyła i do gabinetu wparował wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna z psem pod pachą.

– Dobry – rzucił gromkim głosem. – Proszpani, ja z taką sprawą, że Rambo mi się chyba pochorował.

Posadził na stole diagnostycznym młodego czarnego buldoga francuskiego. Psiak zaczął się kręcić i węszyć na blacie, chrząkając głośno. Właściciel nie zwracał uwagi na jego poczynania, więc Florka zbliżyła się, by w razie czego złapać Rambo, nim spadnie na podłogę.

Izabela uniosła brew, wstała i podeszła do psa.

– Co mu dolega? – spytała.

– A rzezi tak jakoś.

– Od kiedy?

– A odkąd go mamy.

– To znaczy? – dopytywała.

– A z miesiąc będzie.

Florka z trudem zapanowała nad wyrazem twarzy. Lekarka zaś nie zdradziła ani cienia emocji. Bez słowa wzięła stetoskop i zaczęła osłuchiwać psa.

– Wie pani, dla dzieciaków żeśmy go wzięli – odezwał się głośno mężczyzna.

Iza cofnęła dłoń ze stetoskopem. Po chwili znów przyłożyła głowicę do psich żeber.

– Z rodowodem, z hodowli – rzekł właściciel z dumą w głosie.

Kobieta cofnęła dłoń i odczekała kilka sekund. Ponowiła próbę osłuchania Rambo.

– Tu w Cnotnicach – zagrzemiał facet. – Gdzie indziej to po kilka tysięcy wołali, a co za idiota by kilka tysięcy dał za psa?

Izabela podniosła na niego spojrzenie.

– Nic nie słyszę – powiedziała, sugestywnie unosząc głowicę stetoskopu.

– A, no, przepraszam, pani bada.

Odczekała kilka sekund, po czym wróciła do pracy. Ośluchała dokładnie psa, który świszczwał i zapał z otwartym pyskiem, jakby właśnie przebiegł maraton. Obejrzała mu oczy i nos, zajrzała do gardła, obmacała krtań – wszystko w absolutnej ciszy. Na polecenie Izabeli Florka zmierzyła Rambo temperaturę – była w normie. Przez cały czas pies chrapliwie oddychał, robiąc przerwy tylko na nerwowe oblizanie się po nosie. W końcu lekarka odsunęła się i zapatrzyła na niego z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– No i co? – spytał mężczyzna. – Co mu jest?

Iza milczała przez chwilę, po czym odparła:

– Jest buldogiem.

– To ja wiem – powiedział, śmiejąc się. – Ale co mu dolega?

– Brachycefalia.

– Czyli co?

– Ma spłaszczoną kufę. Czyli pysk – doprecyzowała, widząc minę właściciela. – Jego drogi oddechowe są skrócone, ma przerośnięte podniebienie miękkie. Dlatego chrapliwie oddycha.

– Aa. No to co z tym można zrobić?

Iza przyjrzała się uważnie psu. Potem wzruszyła ramionami i powiedziała ze stoickim spokojem:

– Mogę go uśmiercić.

Florka wytrzeszczyła oko. Mężczyzna się obruszył.

– Że co?! – krzyknął.

– A następnie wskrzesić. Nie będzie potrzebował tlenu, więc nie będzie się dusił.

Przez chwilę mężczyzna bezgłośnie ruszał ustami, zszokowany. Potem warknął groźnie:

– Pani sobie ze mnie kpi?! Człowiek chce psa wyleczyć, a pani mi go tu usypiać będzie?!

– Ten pies nie jest chory – wyjaśniła. – Jest jednym wielkim genetycznym defektem. Budowa czaszki uniemożliwia mu prawidłowe oddychanie.

– Jaki genetyczny, jaki defekt?! Pies z hodowli, a pani mi tu będzie mówić, że co właściwie?! Buldożek jak buldożek, taka jego uroda!

– Jego „uroda” to efekt wielopokoleniowego chowu dążącego do jak największego spłaszczenia pyska, powiększenia oczu i głowy – tłumaczyła Izabela, niezrażona agresywną postawą mężczyzny. – W nieodwracalny sposób rzutuje to na jego komfort życia, który jest znikomy, biorąc pod uwagę to, że ledwo oddycha, a to tylko jeden z jego problemów. Najbardziej humanitarnym rozwiązaniem jest nekroza połączona z zachowaniem duszy i intelektu. Zakładając oczywiście, że przetrwa proces.

Mężczyzna rzucił lekarce mordercze spojrzenie, po czym gwałtownie zgarnął psa pod pachę, aż ten wydał z siebie zdziwione „chrumpf”.

– To skandal. Kpina i skandal! – wypluł. – Więcej tu moja noga nie postanie. Dobrego psa mi chce uśpić!

Klnąc pod nosem, wypadł z lecznicy i trzasnął drzwiami.

Florka patrzyła na całą scenę z opadniętą szczęką. Ocknęła się i spojrzała na szefową. Ta najzwyczajniej w świecie odwiesiła stetoskop i wróciła za biurko. Przekręt wspięła się jej na ramię i usadowiła wygodnie.

– Ee... hm... to ja zacznę zamykać – powiedziała cicho Florka i wyszła pośpiesznie z gabinetu.

Robiąc ostatnie porządki i wyłączając sprzęty, wciąż słyszała w głowie słowa salowej ze szpitala. Czy Izabela rzeczywiście była gotowa uśmiercić, a następnie wskrzesić psa? Nie, niemożliwe. Na pewno chodziło jej tylko o uzmysłowienie właścicielowi, że przykładanie ręki do rozmnażania takich ras jest nieetyczne.

Prawda...?

Kiedy wróciła do domu, wciąż nie wiedziała, co o tym myśleć. Zapadła się w fotelu w salonie, wsadziła w usta trzy słone paluszki, wyciągnęła telefon i napisała do koleżanki. Przez jakiś czas czatowała w ciszy. W którymś momencie do pokoju weszła Laura w szlafroku i z książką pod pachą.

– I co, jak się czujesz? – spytała, zajmując miejsce na kanapie.

Florka wzruszyła ramionami. Nie chciała jej martwić, więc odparła tylko:

– Lepiej, dzięki.

– Jak tam sobie radzisz? Wszystko dobrze? Nie miałaś jakichś problemów?

Niespodziewanie dziewczyna poczuła rosnącą w gardle gulę. Skupiła wszystkie siły na opanowaniu wybuchu płaczu. Nie chciała nikogo martwić, nie chciała sprawiać wrażenia, że nie daje rady. Popatrzyła na zatroskaną ciocię i się uśmiechnęła.

– Jest okej. Wróciłam na rowerze, całą drogę.

– Oo, to bardzo fajnie. A jak było w pracy?

– Hm... dziwnie.

– Co tam, jednorożec przykopytkował do lecznicy?

– Nie, niestety. – Florka umilkła na chwilę. – Co byś powiedziała, gdyby ktoś ci w ramach leczenia zaproponował śmierć, a potem wskrzeszenie?

Ciocia parsknęła śmiechem.

– Że jasna sprawa, ale najpierw nauczę się przemieniać wodę w wino. – Zauważyła poważną minę siostrzenicy i zmarszczyła podejrzliwie brwi. – A co, ktoś ci tak powiedział?

– Nie, nie mnie. Przyszedł taki facet z buldożkiem i szefowa mu to zaproponowała.

– Co? Dlaczego?

– Bo jest buldożkiem. – Uśmiechnęła się z przekąsem.

– A co ona do nich ma? Takie pocieszne psiaki...

Florka się skrzywiła. Do salonu weszła Teresa, niosąc ogromny kubek herbaty. Kopnęła lekko Laurę w łydkę.

– Suń się. Widziałam się w sklepie z Woroniową. Już zdążyła całe wsi opowiedzieć, że „ta mała Kuna” prawie postradała życie u czarownicy z Podleśnej – powiedziała, rozsiadłszy się wygodnie na kanapie.

– O nie... – jęknęła Florka. – No to teraz wszyscy się rzucają z widłami.

– Aj, zaraz tam widły. Malinowska wreszcie urodzi, to się tym zainteresują. Nie trzeba wiele, żeby odwrócić od czegoś uwagę zrębkowian.

– Nie bądź taka – powiedziała Laura i szturchnęła partnerkę łokciem.

Teresa wzruszyła ramionami i uniosła kubek do ust.

– No co? Taka prawda. Żadna plotka nie jest ciekawsza od najnowszej. Ale niech ta Pokot sobie nie wyobraża, że MY tak łatwo zapomnimy. Kontaktowałeś się już z inspekcją pracy?

– Nie będę się bawić w żadne pozwy – rzekła stanowczo dziewczyna. – Chcę... zobaczyć, co będzie dalej.

– No chyba żeś ocipiała. Na twoim miejscu już by mnie tam nie było. Przecież to jakaś wariatka. Czarami będzie co właściwie, kleszcze wyjmować?

– Oj, nie demonizujmy – wtrąciła Laura, spoglądając z troską na siostrzenicę. – Kobitka leczy zwierzaczki, a że przy okazji czaruje, no to cóż, takie czasy. To teraz modne.

– Dzisiaj zaproponowała w ramach leczenia śmierć i wskrzeszenie – mruknęła Florka.

Ciocia Teresa zastygła w pół siorbnięcia.

– Hm. To dopiero niekonwencjonalna metoda. I ty chcesz się w ten cyrk się mieszać?

– Nie jest tak źle – powiedziała Florka, ale mniej pewnym tonem, niż chciała.

– Naprawdę? Pierwszego dnia straciłaś oko, dzisiaj jakieś usypianie zdrowych zwierząt...

– To był żart. Tak sędzę... A oko to nie jej wina.

– Teraz tak mówisz, ale te sytuacje będą się tylko piętrzyć – powiedziała z wyższością Teresa. – Przez różowe okulary wszystkie czerwone lampki wydają się różowe.

Florka zacisnęła usta. Sięgnęła po kilka paluszków i zaczęła je chrupać, by zastanowić się nad odpowiedzią. Tymczasem odezwała się Laura:

– Wiesz, jak chcesz stamtąd odejść, to wcale nie musisz znowu się przeprowadzać. Jest jeszcze lecznica w Cnotnicach. Może tam by ci było lepiej.

– Ale tu mi nie jest źle...

– Mhm. – Teresa pokiwała głową z kwaśną miną. – Rób, co chcesz, ale ja bym się rozejrzała tu i ówdzie.

Dziewczyna skrzywiła się i opadła na oparcie fotela. Zapatrzyła się na ekran telefonu i otwarte okienko czatu, w którym koleżanka – techniczka z poprzedniej lecznicy – w ramach komentarza na rewelację o usypianiu buldoga właśnie przesłała emotikonę z czaszką.

– Zastanowię się – powiedziała, po czym wstała. – Pójdę już. Dobranoc.

Po szybkim prysznicu zaszyła się w swoim pokoju na piętrze. Usiadła na szerokim parapecie i próbowała pograć na przenośnej konsoli, ale wciąż rozmyślała o tym, co do tej pory wydarzyło się w lecznicy i co mówiły na ten temat ciocie. Westchnęła ciężko i oparła czoło o szybę.

W świetle ulicznej lampy zobaczyła skradającego się przez podwórko Topielca. Kot naostrzył sobie pazurki o korę starej leszczyny i rozejrzał się czujnie. Potem spojrział na okno, za którym siedziała Florka. Machnął ogonem i poszedł sobie.

Florka przygryzła wargę. Wyciągnęła telefon i sprawdziła adres lecznicy w Cnotnicach.

Sobotni poranek był wyjątkowo przyjemny. Grzało słońce, a słoneczniki chciwie wyciągały ku niemu długie szyje. Florka założyła ulubioną koszulkę z kotem i zjadła z cioniciami śniadanie na tarasie. Zrębki miały cudowny wakacyjny klimat – o którejkolwiek porze roku dziewczyna by tu przyjechała, zawsze miała poczucie, że trwa urlop i życie jest piękne.

Lecznica była otwarta, ale krócej, a tego dnia wypadał dyżur Bastiana. Wobec tego Florka uparła się, że chce odbyć małą wycieczkę krajoznawczą. Laura z kolei uparła się, że nigdzie nie puści jej samej. Dziewczyna zgodziła się na wspólną wyprawę, bo raz, że nie chciała martwić cioć, a dwa, że sama trochę się obawiała jazdy na rowerze z mniejszym niż do tej pory polem widzenia. Nie chciała jednak ulec poczuciu, że razem z okiem straciła pewne możliwości.

Jadąc niespiesznie z Laurą u boku, podziwiała pełne prostoty piękno okolicy: urokliwe domy, ogródki z kurami, krowy na kwiecistych łąkach. Wypatrzyła krążącą nad polem pustułkę, gdzie indziej w brzozowym młodniku mignęła jej ruda kita. Pomyślała, że choć mieszkanie w mieście miało swoje zalety, to ciężko byłoby jej zrezygnować z życia w Zrębках.

Przystanąły na chwilę w lasku, zgrzane i zmęczone. Zostawiły rowery na poboczu i usiadły na pniu powalonego drzewa. Laura podała siostrzenicy butelkę z wodą.

– Świetnie ci idzie – pochwaliła ją. – Naprawdę, nie spodziewałam się.

– Łał, dzięki za wiarę w moje umiejętności – powiedziała Florka z ironicznym uśmiechem.

– Oj, wiesz, o co mi chodzi. Ale tak czy siak nie szarżuj. Jak by ci się znowu stała krzywda, to Fila mi łeb ukręci.

Dziewczyna parsknęła cicho, zapatrzona niewidzącym wzrokiem w las. Napiła się, choć miała poczucie, że woda tylko wzmacnia jej pragnienie.

Wtem zauważyła ruch gdzieś głęboko w lesie. Spojrzała w tamtą stronę, mrużąc oko.

Między smukłymi pniami sosen zamajaczyło coś jasnego. Sarna, pomyślała Florka w pierwszej chwili. Lśniący biały sierść mignęła w zaroślach jak zajaczk odbity od powierzchni lustra i zniknęła.

Zdumiona dziewczyna wstrzymała oddech, wypatrując stworzenia, ale już się nie pojawiło. Czy to mógł być...?

Nie, niemożliwe. A może jednak...?

Wstała powoli. Laura zakręciła butelkę i chowając ją do plecaka, popatrzyła na siostrzenicę.

– Co jest? – spytała.

Florka kiwnęła uciszająco dłonią. Ostrożnie weszła głębiej w las, wpatrzona w miejsce, w którym ostatnio widziała tajemnicze zwierzę. Słyszała za sobą kroki cioci. Rozglądała się uważnie na boki, przyglądała ściółce, ale nawet jeśli stworzenie zostawiło jakieś ślady, to nie potrafiła ich dostrzec. Im dłużej kręciła się między drzewami, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że musiało jej się przywidzieć. Napotkała pytające spojrzenie Laury.

– Wydawało mi się, że widziałam... nie wiem, sarnę czy coś – powiedziała.

Ciocia pokiwała głową.

– Możliwe. Sporo ich tutaj. Czasem nawet podchodzą pod nasz dom. Nie martw się, jeszcze będziesz mieć okazję, żeby sobie popatrzeć.

Poklepała dziewczynę w ramię i się uśmiechnęła. Razem wróciły do jezdni. Florka jeszcze raz obejrzała się na drzewa, po czym obie wsiadły na rowery i ruszyły w dalszą drogę.

Po jakimś czasie minęły tablicę z napisem „Cnotnice”. Florka odetchnęła głęboko ciepłym powietrzem. Za cmentarzem, między urzędem poczty a stacją benzynową, znajdowała się tutejsza przychodnia weterynaryjna.

Zatrzymały się z drugiej strony ulicy i zapatrzyły na przybytek. Wyglądał dużo nowocześniej od domu Pokot. Budynek był piętrowy, z obszernym parterem. W jednym z dużych okien widziała wnętrze gabinetu. Szeroką bramę otwarto na oścież. Na parkingu stał samochód, a na tyłach widać było spory padok, po którym przechadzały się dwa konie.

– To co – zagadnęła Laura – pójdziemy zapytać?

Florka przygryzła wargi.

– A mogę pójść sama? Wiesz, nie chcę sprawiać wrażenia, że przyprowadziła mnie mamusia...

– No dobrze, idź – powiedziała ciocia, śmiejąc się.

Dziewczyna pozwoliła przejechać tirom, po czym ruszyła w stronę lecznicy.

Kiedy mijiała bramę, zza budynku niespodziewanie wypadły cztery kuce szetlandzkie. Kłusowały radośnie w jej stronę z rozczochranymi grzywami. Florka stanęła jak wryta. Rozejrzała się, ale w pobliżu nie było żywej duszy. Ustawiła rower w poprzek, zeskoczyła z niego i rozłożyła szeroko ręce.

– Hej, prr! – zawołała. – Sio z powrotem!

Kuce wyhamowały i próbowały ją okrążyć. Skakała z boku na bok, spanikowana. Jeszcze tego brakowało, by ktoś ją oskarżył o spowodowanie wypadku z udziałem kucyków i samochodów na szosie!

Wtedy z budynku wyłonił się na oko trzynastoletni chłopiec. Gwizdnął głośno i ruszył niespiesznie ku bramie.

– Wio! Do siebie! – krzyknął. – Dzięki – rzucił tylko w stronę Florki i odszedł, odprowadzając zwierzęta na tył posesji.

Dziewczyna uniosła brwi. Wzięła rower, ponownie się rozejrzała i niepewnym krokiem podeszła do drzwi wejściowych.

One również były otwarte. Za kontuarem recepcji nikogo nie zastała. Wokół stało kilka dużych regałów uginających się od preparatów na pchły i kleszcze, karm, przysmaków i zabawek dla zwierząt.

Po chwili z jednego z gabinetów wyszła wysoka kobieta o długich, puszystych włosach.

– Dzień dobry! – rzuciła wesoło. – W czym mogę pomóc?

– Ee... – zaczęła nieśmiało Florka. – Przyszłam się rozejrzeć. Ciekawi mnie, czy nie potrzeba tu może technika.

– Och, zawsze! – ucieszyła się kobieta, podeszła i wyciągnęła rękę. – Honorata Lipowska, miło poznać.

– Florentyna Kuna – przedstawiła się niechętnie.

– Ma pani wycucie! Jeden technik dopiero co odszedł i szukam nowego. W takiej małej miejscowości nie ma ich zbyt wielu. – Uśmiechnęła się wesoło. – Ma pani jakieś doświadczenie?

– Pracowałam trzy lata w lecznicy w Warszawie.

– Och, daleko! Gdzie pani mieszka?

– W tej chwili w Zrębkach. Hm, robię rekonesans w okolicy w sprawie pracy – powiedziała wymijająco.

– Może oprowadzę panią i pokażę, co i jak – zaproponowała Honorata i nie czekając na odpowiedź, ruszyła w dół korytarza. – Tu na recepcji mamy mały sklepik: karmy, kropelki na kleszcze, proszki, suplementy, dezynfekcja... W okolicy pełno gołębiarzy. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Tu są nasze gabinety... Proszę, proszę się nie wstydzić.

Florka rozglądała się z zaciekawieniem. Było tu czysto i jasno – białe kafelki, białe ściany, białe szafki. W jednym gabinecie stał aparat rentgenowski, w drugim rzucał się w oczy autoklaw i stół chirurgiczny. Na biurku na stercie dokumentów siedział bury kot. Na widok Florki zaczął machać ogonem z poirytowaniem.

Pod pewnymi względami lecznica prezentowała się równie dobrze, jeśli nie lepiej od tej w Zrębkach.

Doktor Honorata kontynuowała wycieczkę. Pokazywała każde kolejne pomieszczenie.

– Tutaj mamy mały salonik groomerski, dziewczyny mają sporo klientów – powiedziała z dumą w głosie. Wskazała na zamknięty pokój. – Tu trzymamy zwierzaki na hoteliku. Przepraszam, że nie pokażę, ale w tej chwili straszny tam bałagan. Ciągle capi kozłem... Poprzedni technik był faunem.

Florka zastrzygła uszami.

– Wygląda to bardzo fajnie – zagadnęła podstępnie. – Dlaczego odszedł?

– Och, dużo by mówić. – Kobieta załamała ręce. – Nic nie umiał zrobić dobrze. No, ale nieważne. Chodźmy na dwór, pokażę boksy dla psów. Mamy umowę z gminą i trafiają do nas bezdomniaki.

Dwa z pięciu niewielkich boksów były zajęte. W jednym znajdował się mały kundelek, w drugim aż trzy psy, w tym wielki owczarek podhalański, który zajmował większość przestrzeni, a także sznauzer olbrzym i wyżeł niemiecki. Wszystkie na widok Florki zaczęły kłębić się przy siatce i szczekać radośnie.

– To moje chłopaki – powiedziała doktor Honorata, wskazując na trzy zwierzaki siedzące razem. – Czekają tutaj, póki brama jest otwarta. A tam jest stajenka.

Na drugim końcu podwórza, przed padokiem, stał niewielki budynek, który sprawiał dość mizerne wrażenie w porównaniu z pięknym i nowoczesnym budynkiem lecznicy. Ściany były z poczerńiałego drewna, z wnętrza wprost wysypywała się słoma. Zza wrót wyglądały ciekawsko dwie owce.

– To też wszystko pani? – spytała Florka, wskazując na stajnię i konie na padoku.

– Tak. Jak widać, kocham zwierzęta. – Uśmiechnęła się jakby przepraszająco. – Jak tylko widzę jakieś w potrzebie, to muszę mu pomóc. Jedna owieczka miała iść pod nóż, bo chłop nie chciał jej leczyć, a ta klacz – wyciągnęła palec ku siwce – jedną nogą była już w rzeźni, ale ją poratowałam.

Florka pokiwała głową zamyślona. Prawie nie docierały do niej słowa entuzjastycznej lekarki. Rozglądała się wokół, próbując sobie wyobrazić, jak może wyglądać praca tutaj.

– Dużo jest tu lekarzy? – spytała.

– Tylko ja – odparła dumnie kobieta. – Oprócz tego trzy techniczki.

– Spory przybytek jak na jednego lekarza – odważyła się zauważyć Florka.

Honorata machnęła ręką.

– Och, jak się mieszka w swoim miejscu pracy, to nie sprawia takiego wrażenia. – Zaśmiała się wesoło. – Życie i praca zlewają się w jedno.

– Zwierzęta gospodarskie też się trafiają?

– Tylko czasami, tutaj to mało kto trzyma krowy, świnie czy cokolwiek. Ale spokojnie, przy psach i kotach też jest co robić.

– W to nie wątpię. – Florka uśmiechnęła się z przekąsem.

– To jak się tu pani podoba?

– Wygląda interesująco – odparła wymijająco techniczka.

– Jeśli się pani zdecyduje, zapraszam. Albo może pani dzwonić. Doświadczonych techników nigdy za wiele!

– Zastanowię się – powiedziała Florka z uprzejmym uśmiechem. – Dziękuję za oprowadzenie.

– Żaden problem. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy!

Florka pożegnała się, wzięła rower i wyszła za bramę. Czekala tam już na nią ciocia Laura, poprawiająca sztuczne kwiatki, którymi ozdobiła koszyczek na ramie. Na widok siostrzenicy ożywiła się.

– I co? Jak wrażenia?

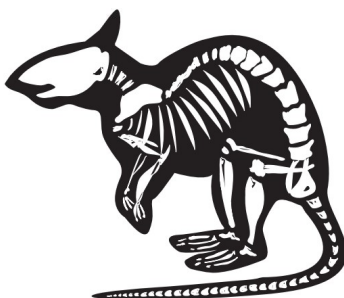
– Hm, nie wiem. Jest...

Dziewczyna ogarnęła spojrzeniem przybytek. Jeden z koni zarżał wesoło, a z drugiego końca padoku przykłusowały radośnie kucyki. Nie było tu żadnych nekromantów, nieumarłych szczurów ani trupów w słoikach.

Nie było też magicznych zwierząt...

Wzruszyła ramionami, siląc się na obojętność.

– Jest to jakaś opcja – dokończyła.



ROZDZIAŁ III

LEW, CZAROWNICA I CIĘŻKA NERWICA

Kiedy Florka weszła do lecznicy, nie znalazła Izabeli w gabinecie. Rozglądała się czujnie z nadzieją, że nie natknie się na nią po drodze do pokoju socjalnego. Założyła swój niebieski fartuch i podążyła za dźwiękami piosenki Krzysztofa Krawczyka, którą gwizdał Bastian.

Znalazła go w sali chirurgicznej – choć „sala” było dużym słowem jak na to małe pomieszczenie. Faun właśnie wkładał narzędzia w jednorazowych opakowaniach do autoklawu. Na widok Florki uśmiechnął się szeroko.

– Serwus – przywitał się. – Jak minął weekend?

Splotła dłonie na plecach i zaczęła przechadzać się wokół, myśląc intensywnie, jak dyskretnie zagadać o przychodnię Lipowskiej.

– Całkiem fajnie. Pojeździłam rowerem, pozwiedzałam... Wiedziałeś, że w Cnotnicach też jest weterynarz? – spytała niby mimochodem.

Faun położył uszy po sobie i rzucił jej ponure spojrzenie znad włazu autoklawu.

– Wiem – burknął. – Pracowałem tam.

– O, naprawdę?

– Taa.

Czekała na ciąg dalszy, ale Bastian milczał. Wciąż ze stulonymi uszami i zawziętą miną układał narzędzia na tackach w maszynie, bardziej zamasyście i głośniejsz niż chwilę wcześniej.

– I jak tam było? – spytała.

Faun westchnął ciężko.

– Ta kobieta to niebezpieczna kretyńka. Powinna mieć zakaz zbliżania się do zwierząt, a co dopiero leczenia ich. Ech, szkoda gadać.

Zamknął włącz i włączył autoklaw. Maszyna zaczęła głośno buczeć.

Do pomieszczenia weszła Izabela z małym plastikowym pojemnikiem w dłoni. Uniosła go i pomachała nim.

– Kto chce zbadać kał? – spytała.

– Ja mogę – zaoferowała się Florka. Wzięła od lekarki fecalizer i udała się do laboratorium.

W czasie gdy ona oglądała próbkę pod mikroskopem, Iza i Bastian zajęli się agresywnym kotem w gabinecie – wręcz bardzo agresywnym, sądząc po jego wrzaskach. Ku uldze Florki, używanie mikroskopu nie sprawiło jej trudności – zwykle i tak oglądała preparaty jednym okiem, bo nie potrafiła skupić wzroku, gdy robiła to oboma. Skoncentrowanie się na badaniu w tym hałasie nie było jednak łatwe. Kilka razy musiała zaczynać oglądać materiał od nowa, bo zdawała sobie sprawę, że w ogóle nie zwraca uwagi na to, co widzi.

Nie mogła przestać myśleć o lecznicy w Cnotnicach.

Po dłuższej chwili głośne miauczenie ucichło. Faun wyszedł z gabinetu.

– To był kot czy wściekła mantykora? – spytała Florka.

Bastian wyszczerzył się i uniósł ręce, pokazując długie, krwawe szramy na przedramionach.

– Aa, taki tam koteczek. Muszę to odkazić. Pomożesz mi?

– Mhm, tylko skończę oglądać... O, owsik! Patrz, jak fajnie tańczy!

– Kitku ma niezłą imprezę w jelitach – zażartował, gdy spojrział w okular mikroskopu.

Florka zajrzała do gabinetu i przekazała wynik badania, po czym udała się z Bastianem do pomieszczenia socjalnego.

Wyciągnął ręce. Zadrapania były długie i równe, jakby ktoś przejechał po przedramionach fauna na łyżwach. Nie krwawiły mocno, ale z pewnością były bolesne. Florka pochyliła się nad nimi ze środkiem odkażającym w jednej dłoni i garścią gazików w drugiej.

Bastian, wbrew temu, co mówiła doktor Honorata, nie capił kozłem. Jego skóra pachniała jak futerko kota, który cały dzień wylegiwał się na słońcu.

– Masz jakieś zwierzaki? – spytała, spryskując rany płynem.

– Mam stadko kóz, które oprowadzam po łąkach i przygrywam im na fletni.

Spojrziała na niego z niemądrą miną, niepewna, czy to żart i powinna się zaśmiać, czy raczej pokiwać ze zrozumieniem głową.

Bastian parsknął.

– Nie mam kóz. Tylko psa. A ty?

– W tej chwili nie, ale chciałabym znowu mieć króliki. Tylko, hm... nie wiem, jak długo tu zostanę.

– Och. Wyprowadzasz się?

Florka zrosiła szczodrze zadrapania, łapiąc gazikiem spływający po ręce spieniony płyn zmieszany z krwią. Wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. Długo szukałam pracy, aż moje ciocie dowiedziały się, że tutaj otwiera się gabinet. Chciałabym pracować z magicznymi zwierzętami... mimo to – powiedziała z przekąsem, wskazując na opatrunek na twarzy – ale, no, nie wiem. Ta nekromancja mnie trochę niepokoi...

– Czaję – rzekł poważnie, kiwając głową. – Z tego, co wiem, to Iza wcześniej pracowała gdzieś dalej, w mieście, a potem postanowiła otworzyć własną praktykę.

– Tam też uprawiała nekromancję?

– Nie wiem. Nie pytałem.

Z oddalonego o dwa pomieszczenia gabinetu dobiegło głośne, ostrzegawcze miauknięcie kota. Ucho Bastiana drgnęło czujnie. Wydało się to Florce urocze.

– Jesteś tu dłużej ode mnie, co nie? – spytała. – Widziałeś, żeby robiła już coś, hmm, nekromantycznego?

Faun się zamyślił.

– Jak robiła sekcję jakiegoś kota, to ożywiła jego wnętrzności, żeby zobaczyć, jak pracują. W celach sekcyjnych, nie dla zabawy – uściślił, gdy zobaczył minę Florki. – I tyle, ustaliła przyczynę zgonu i poszedł do kremacji. – Milczał przez chwilę. – Ciekawe, czy będzie chciała wprowadzić do oferty ożywianie zmarłych zwierzaków.

– Myślisz, że może? – spytała, zdumiona.

– W zasadzie czemu nie? Z ludźmi się tak robi, to dlaczego nie ze zwierzętami? Tych, co się je da ożywić, bo to chyba nie zawsze jest takie proste. Nie wiem, nie znam się. Ale w sumie tutaj raczej nie będzie miała chętnych. – Uśmiechnął się z przekąsem. – Ludzie za to dają grube miliony, a potem przez całe życie... ee, po życiu... trzeba się konserwować, żeby się nie rozpaść. Pewnie fajnie byłoby móc spędzić dodatkowych kilkadziesiąt lat ze swoim psem czy czymkolwiek, ale nie wiem, kto na to pójdzie.

– Ale... przecież w tym celu trzeba to zwierzę zabić.

– Nie, naprawdę? – spytał złośliwie.

Cmoknęła zniecierpliwiona.

– Mam na myśli, że każdy może sobie chcieć uspić zdrowego zwierzaka, żeby potem go ożywić i nie mieć już nigdy problemów z chorobami. Przecież to będzie...

W progu socjała bezszelestnie pojawiła się Izabela. Florka podskoczyła i oblał ją zimny pot. Lekarka spojrzała pustymi oczami

na nią, potem na fauna.

– Muszę zrobić coś w domu. Gdyby przyszli klienci, zawołajcie mnie.

Przez chwilę stała nieruchomo jak upiorny posąg, po czym odwróciła się i odeszła.

Bastian spojrział na Florę niepewnie. Techniczka zacisnęła usta i w milczeniu dokończyła opatrywanie jego zadrapań.

Zajęli się porządkami na zapleczu, ale ponieważ Izabela długo nie wracała, postanowili się odprężyć w laboratorium, które znajdowało się najbliżej gabinetu. Gawędzili o ulubionych filmach i zespołach.

W pewnym momencie z zewnątrz dobiegł odgłos otwieranych drzwi. Następnie zaaferowany kobiecy głos zawołał:

– Gdzie pani Florentyna?!

Dziewczyna podskoczyła. Wymieniła spojrzenia z Bastianem, oblizła nerwowo usta i wyszła do poczekalni.

Zobaczyła panią Sakowską – a właściwie tylko jej nogi, bo całą resztę przesłaniał ogromny kosz, z którego niemal wysypywały się kwiaty i słodycze. Kobieta wychyliła głowę zza tej kruchej konstrukcji.

– Pani Florentyno! – wykrzyknęła. – Ja bardzo panią przepraszam za Ryśka! Już mu wytłumaczyłam, że się zachował karygodnie i ma więcej tak nie robić! Proszę, proszę, to dla pani!

Wcisnęła oszołomionej techniczce kosz w rękę, aż ta się prawie przewróciła.

– Dziękuję, ale nie trzeba było...

– Jakże nie trzeba?! Ależ on panią urządził, strasznie mi przykro... Dostała pani odszkodowanie? Bo jak nie, to ja wszystko pokryję!

– Nie, nie, spokojnie, dostanę... – mówiła Flora, ale Sakowska ledwo dawała jej dojść do słowa.

– Ale to musi panią boleć... Jak sobie pani radzi? Może da się to naprawić jakimiś czarami?

Spojrziała pytająco na Bastiana, ale on, zdziwiony, uniósł dłonie w poddańczym geście. Flora odstawiła kosz na krzesło.

– Naprawdę proszę się nie przejmować – powiedziała techniczka. – Mogło być gorzej...

– Bogu dzięki, że nie było! Przecież on mógł panią zabić! Powiedziałam mu, że jak drugi raz coś takiego odwali, to pójdzie do Bolków na pasztet!

– No, ma pole do popisu, pani Florentynie zostało jeszcze jedno oko – zauważył Bastian, szczerząc się złośliwie.

Florka spojrzała na niego z przyganą.

– Och, niech pan tak nawet nie mówi – zachnęła się klientka. – Skaranie boskie z tymi magicznymi futrzakami. A mąż mówił: „Weź świnkę morską, ze świnką problemu nie będzie”, to nie, uparłam się jak głupia i teraz mam! – Załamana ręce. – Jeszcze raz bardzo panią przepraszam. Tak się bałam, czy większej krzywdy pani nie zrobił!

– A jak się czuje Rysiek? – spytała Florka, by zmienić temat. – Wyzdrowiał?

– A spróbowaliby nie! – fuknęła Sakowska. – Kica, lata jak fryga, jakby nigdy nic. Za karę marchewki nie dostaje!

– W sumie i tak nie powinien – zauważył Bastian. – Warzywa korzeniowe...

– Może pani czegoś potrzeba? – spytała kobieta, kompletnie ignorując fauna. – Cokolwiek, ja wszystko mogę załatwić, przywieźć, zawieźć, lekarza dobrego załatwić, zięć jest okulistą, może panią obejrzeć...

– Obawiam się, że nie ma już czego oglądać – zażartowała Florka, ale to tylko wywołało kolejną lawinę przeprosin. Po kilku minutach z opresji uratował ją chłopak z transporterem w ręku, który wszedł do poczekalni.

– No dobrze, nie zawracam już głowy – powiedziała Sakowska. Poprawiła ułożenie kwiatów w koszyku i zaczęła iść tyłem w kierunku drzwi. – Jeszcze raz przepraszam. I smacznego, mam nadzieję, że trafiłam w gust... No, to do widzenia! Miłego dnia!

Wyszła. Chłopak z transporterem spoglądał to na nią, to na techników. Bastian klasnął, zatarł dłonie i dźwignął kosz.

– Są michałki? Daj michałki.

Stukając wesoło racicami, zniknął w gabinecie. Florka uśmiechnęła się nieśmiało do klienta.

– Zawołam panią doktor.

Kolejny ząb stuknął o metalową tackę, tak zarośnięty zielonkawo-brązowym kamieniem, że trudno było uwierzyć, by pod spodem w ogóle istniała kość. Florka wstrzymała oddech i pochyliła się nad psem z zegarkiem w jednej dłoni i stetoskopem w drugiej, mierząc liczbę uderzeń serca na minutę. Izabela siedziała na końcu stołu i z trudem oczyszczała skalerem zęby znieczulonego labradora. Smród, jaki wydobywał się z jego paszczy, był powalający, ale nekromantka nie zwracała na to uwagi. Florka zastanawiała się, czy Iza w ogóle czuła zapachy. Może praca z trupami uodporniła ją na podobne atrakcje?

Drzwi na salę zabiegową rozsunęły się i do środka wszedł Bastian z dłońmi w kieszeniach.

– Cześć. Jeszcze się nad nim męczycie? – spytał, pochylił się nad psem i natychmiast się cofnął, marszcząc nos. – Zaraz klienci zaczną się dobijać na wizyty.

– Więc powiesz im, że muszą poczekać – odparła Izabela.

– Tu jest totalna zgnilizna – powiedziała Florka. – Jakby wejść na cmentarz i rozkopać wszystkie groby.

Tknęła psa palcem w kącik oka. Zaczął zaciskać powiekę, więc podała przez wenflon w łapie odrobinę anestetyku. Bastian skrzyżował ręce na piersi i oparł się o ścianę.

– We wsi ludzie gadają, że jakieś monstrum grasuje w okolicy.

– Jakie?

– A nie wiadomo. – Wzruszył ramionami. – Nikt go nie widział za dnia. Podobno wielkie i lata.

Florka uniosła wysoko brwi. Nie spotkała zbyt wielu magicznych stworzeń, bo w miastach ich nie było, nie licząc drobnych szkodników, gargulców, no i humanoidów zasymilowanych

w społeczeństwie, jak elfy czy orkowie. Struchlała na myśl, że mogłaby spotkać prawdziwego potwora.

– Często się tu pojawiają mityczne bestie?

– Ostatnie trzy były wymysłem mieszkańców – odparła Izabela.

– Woroniowa twierdzi, że upiorny pies miał bliskie spotkanie z jej zięciem – powiedział faun.

– Nie sędzę, by mógł kogoś pogryźć.

– Uff, nie chciałbym paść ofiarą zięcia Woroniowej – zażartował. Zastrzygł uszami, po czym ruszył w stronę drzwi. – Ktoś się dobija, zaraz wrócę.

Wyszedł. Florka wypuściła głośno powietrze i zaczęła osłuchiwać psa, licząc uderzenia serca. Od rana Izabela zrobiła dwa zabiegi: sterylizację kotki i usunięcie guza listwy mleczej u małej suczki. Labradora zostawiła na koniec – zabieg był brudny i potencjalnie najbardziej czasochłonny. Widząc, ile jeszcze zostało do zrobienia w przegniłym pysku, Florka zaczęła się zastanawiać, czy uda im się z tym uporać do końca jej zmiany.

– Przetoka – odezwała się w pewnym momencie Izabela, gdy wyrwała ostatni kieł, jaki miał pies, a raczej wyjęła, bo trzymał się w szczęce tylko dzięki oklejającemu dziąsła kamieniowi. Techniczka zajrzała do psiego pyska i zobaczyła szeroki, krwawy otwór prowadzący do jamy nosowej. Jęknęła głośno i wstała.

– Jaką dać nić? – spytała zrezygnowanym tonem dziewczyna.

– Podaj mi pudełko z dolnej szuflady pod zgrzewarką.

Florka sięgnęła do szafki po czarną metalową skrzyneczkę wielkości dużej, grubej książki. Zaintrygowana położyła ją na stoliku obok modułu skalera.

Izabela zsunęła przyłbicę z pleksi na czoło, zmieniła nitryłowe rękawice, otworzyła skrzynkę i wyjęła z niej szklany słoik oraz coś, co Florka potrafiła określić jedynie słowem „ródźka”. Trzydziestocentymetrowa pałeczka wyrzeźbiona była w zwężającej się na końcu kości. Wyżłobione wzdłuż całej długości rowki przywodziły na myśl sploty mięśni. Iza nabrała na palec nieco szarej

maści i wtarła ją w różdżkę, a następnie wypowiedziała szeptem inkantację po łacinie i chuchnęła na instrument. Ku zdumieniu Florki wewnątrz żłobień rozżarzyło się jadowicie seledynowe światło. Nekromantka wycelowała różdżką w przetokę i znów zaczęła szeptać.

Blask załśnił na zakrwawionych krawędziach otworu. Dopiero po dłuższej chwili Florka zdała sobie sprawę, że tkanki powoli się łączą.

Pies zamemlał językiem, więc pospiesznie podała mu więcej środka sedującego, wciąż nie mogąc oderwać wzroku od magicznego fenomenu. Kolejnych kilkanaście minut upłynęło w ciszy przerywanej jedynie szeptem Izabeli, powtarzającej w kółko kilka tych samych słów. Świat poza kręgiem lampy zabiegowej wydawał się mroczny i wrogi.

Wreszcie rana całkiem się zasklepiła. Nekromantka chuchnęła na różdżkę i światło krążące w niej jak krew w żyłach zgasło. Odłożyła ją na tackę z niesterylnymi narzędziami, nałożyła przyłbicę na twarz i ponownie sięgnęła po głowicę skalera.

– Podaj mu steryd, proszę – powiedziała. – To zahamuje działanie zaklęcia.

Florka wzięła pierwszy od dłuższego czasu oddech.

– To... była magia?

– Tak – odparła krótko Izabela. Po chwili techniczka zadała kolejne pytanie.

– Na czym to polega?

– Skontaktowałam się z duchem tego ciała i zmusiłam go do posłuszeństwa.

– Z... duszą psa?

Lekarka nawet nie podniosła wzroku. Woda tryskająca z końcówki skalera tworzyła mgiełkę wokół psiego pyska.

– Psyche i duch przedmiotu to dwie różne rzeczy. W psyche czy też duszy zawierają się intelekt, wspomnienia i osobowość. Duch jest częścią ciała, jego niematerialną esencją, która wpływa na materialną manifestację swojego istnienia. Przez porozumienie się

z nim można na niego wpływać, kształtować go. Ducha ma wszystko, zarówno żywe organizmy, jak i przedmioty i fenomeny w rodzaju wiatru czy ognia.

Odłamki kamienia nazębnego spłynęły na wilgotny od wody i krwi podkład. Florka miała wrażenie, że równie dobrze Izabela mogłaby wciąż mówić po łacinie – zrozumiałaby z jej wyjaśnień dokładnie tyle samo.

– Aha – powiedziała. – Czyli można by w ten sposób leczyć, usuwać guzy i takie tam?

– Do pewnego stopnia tak. Ale dla żywego organizmu to bardzo wyczerpujące.

– A ta przetoka...

– Zadziałałam jedynie w warstwie dziąseł. Próba odbudowania kości najpewniej by go zabiła. Mogłam użyć nici, ale magia jest pewniejsza od szycia. Poradzi sobie lepiej niż ze szwami w pysku.

Florcka pokiwała głową i zapatrzyła się na leżącą wśród zakrwawionych narzędzi różdżkę.

Nie miała czasu zbyt długo rozmyślać o tym wydarzeniu. Po zabiegu półprzytomny labrador leżał w klatce, wyjąc jak upiór, kotka po sterylizacji nie chciała się wybudzić, a suczka usilnie próbowała rozgryźć szwy i w jakiś sposób co chwilę uwalniała się z kołnierza. Kiedy Florcka próbowała zapewnić każdemu z pacjentów należyłą opiekę, Izabela i Bastian toczyli własne boje w gabinecie. Najpierw musieli uporać się z tchórzliwym psem, który przy próbie zaszczepienia darł się, jakby go obdzierano ze skóry. Potem dobre czterdzieści pięć minut zajęła im rozmowa z właścicielką stadka kur, która nie mogła zrozumieć instrukcji podawania leków. Na koniec do gabinetu wpadł ktoś z potrąconym przez samochód kotem. Sytuacja w lecznicy wahała się na skali od nerwówki do pandemonium. Nim udało się nad nią zapanować, wypuścić wszystkie pozabiegowe zwierzaki w dobrym stanie do domu i sprzątnąć bałagan, który wygenerowało zamieszanie, na zewnątrz zaczęło się już ściemniać.

Florka udała się w drogę powrotną razem z Bastianem. Rozmawiali wesoło o dniu pracy, ciesząc się, że wreszcie dobiegł końca. Pożegnali się na najbliższym skrzyżowaniu, gdzie Bastian skręcił w stronę swojego domu. Florka uznała, że wstąpi jeszcze do sklepu – przez cały dzień udało jej się wypić tylko kilka łyków wody i miała ochotę na coś maksymalnie niezdrowego. Nieduży spożywczaak znajdował się niedaleko domu cioci Laury i Teresy i ku jej uldze wciąż był otwarty.

– Pani od tych Kun jest, prawda?

Florka, zajęta wydłubywaniem drobniaków z portfela, podniosła wzrok na ekspedienta.

– Kun? Aa, no tak, to ja – odparła i zaśmiała się, bo w pierwszej chwili pomyślała, że chodzi o zwierzęta.

– Równe babki – powiedział z uśmiechem mężczyzna. – A pani skąd, z Warszawy przyjechała, nie?

– Tak, potrzebowałam zmiany otoczenia.

– I co, i u tej weterynarki pani robi, tak?

– Podobno to czarownica – rzekła starsza pani za plecami Florki.

– Nie, nic z tych rzeczy – powiedziała dziewczyna i ugryzła się w język, nim sprostowała, że Izabela jest nieumarła. – To bardzo dobra lekarka.

– Aa, tak, tak – odezwała się stojąca przy drzwiach młoda kobieta z dużymi kolczykami w uszach. – Tylko ona umie leczyć magiczne zwierzaki. Mama trzyma w domu tego, no, wol... wolpo... ple-ple, królika z rogami i pani doktor wyleczyła go w trymiga.

– O, mowa o Ryśku? – Florka wyszczerzyła zęby i postukała się w opaskę na oku. – Mam nadzieję, że więcej już nie będzie chorował.

– O kurde! No tak, to on tak panią urządził!

– Rzucił się na panią? – spytała zdumiona staruszka.

– Nie, nie, to był wypadek. – Dziewczyna pospiesznie zgarnęła z lady wydaną przez ekspedienta resztę, butelkę coli, ogromne opakowanie chipsów i ciastka. – Oby ostatni!

Pożegnała się i wyszła ze sklepu razem z córką pani Sakowskiej. Kobieta schowała paczkę papierosów i zaczęła grzebać w torbie.

– Mama pewnie już zamęczyła panią przeprosinami, ale od siebie też dodam, że mi przykro, że tak wyszło. Ten zwierzak jest niemożliwy, ale mama jest w nim zakochana.

– Rozumiem – Florka się uśmiechnęła. – Też to przerabiałam z moimi zwierzętami.

– Żeby chociaż tych zębów nie miał! O, proszę, jak mnie urządził! – Pokazała dłoń, na której widoczne były blizny po dwóch kłach. – Ta lekarka nie wyrywa czasem zębów?

– Tylko jeśli trzeba – odparła dziewczyna, odkręcając butelkę. – Dzisiaj na zabiegu był pies z potwornie zepsutymi zębami.

– I co, wyleczyła je?

– Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – powiedziała Florka, szczerząc się niepewnie. Pociągnęła łyk coli. Kątem oka zauważyła ruch w zaniedbanym żywopłocie nieopodal.

– Brakowało tu zdolnego weterynarza – przyznała córka Sakowskiej, kiwając głową. – Jak kiedyś mieliśmy świnki, to trzeba było z nimi do Cnotnic jeździć. Niby to blisko, ale wciąż niewygodnie. – Wydobyła klucze z torby i ruszyła do samochodu. – Może panią podwieźć?

– Dziękuję, mam niedaleko – odparła techniczka z uśmiechem. Pożegnała się i ruszyła w swoją stronę.

Sącząc niespiesznie colę, rozmyślała o wszystkim, co się wydarzyło. Kiedy przyjęła pracę u doktor Pokot, nie spodziewała się, że będą się tu trafiać tak szalone dni. W poprzedniej lecznicy taka była codzienność i miała nadzieję, że na wsi zazna odrobiny spokoju. Potem przypomniała sobie o nekromantycznym rytuale, którego stała się świadkiem. Czy to było coś złego? Pies wyszedł cały i zdrowy... Może rzeczywiście nekromancja miała wiele wspólnego z medycyną?

Przeszła przez podwórko i zostawiła rower w komórce. Rozejrzała się za Topielcem, ale po kocie nie było śladu. Udała się w stronę

ganku. Wchodząc na stopień, pociągnęła ostatni łyk coli.

Z daszku nad drzwiami łypnęła na nią para wielkich, żółtych oczu. W bladym świetle zmierzchu majaczyła ogromna sylwetka.

Florka opluła się, zatoczyła do tyłu, upuściła wszystkie zakupy i runęła na plecy. Potwór na dachu zszedł powoli na ziemię, nie odrywając od niej oczu. Z tyłu kołysał się gruby, wzniesiony ogon jak u skorpiona, do boków bestii przyciśnięte były skórzaste skrzydła, a jej pysk... był odrażający. Ni to lwi, ni ludzki, groteskowo zmarszczony, okolony grzywą włosów, które spływały w strąkach jak poszarpany kaptur.

Mantykora.

Potwór niespiesznie zbliżył się z opuszczonym łbem i stanął nad Florką. Dziewczyna oddychała spazmatycznie, żegnając się z życiem. Mantykora otworzyła paszczę. W jej wnętrzu zaślniły po trzy rzędy zębów w szczęce i żuchwie. Dziewczyna zacisnęła powieki.

– Lekarz – rzekła bestia chrapliwym, dudniącym, odczuwalnym w żebrach głosem.

Do Florki z opóźnieniem dotarło, że potwór coś powiedział.

– C... co? – wykrztusiła.

– Lekarz. Od zębów.

Bliska ataku paniki Florka ledwo przytomnie powiedziała:

– To nie ja. To doktor Iza. Tam, na Podleśnej. – Wskazała palcem, jakby potwór mógł znać adres.

Mantykora spojrzała w tamtym kierunku. Potem znów zwróciła pysk ku dziewczynie.

– Przyjdę. Wyleczy.

Rozłożyła ogromne skrzydła, przeskoczyła nad Florką i wzbiła się w powietrze, wzniesając tuman kurzu.

Drzwi otworzyły się i ze środka wyjrzała ciocia Teresa.

– Florka? Co ci się stało?

Dziewczyna cała się trzęsła i nie mogła wydobyć z siebie głosu. Ciotka pozbierała zakupy i pociągnęła ją za ramię.

– Wywaliałaś się? Z kim rozmawiałaś?

– Ma... mantykora! – wykrztusiła Florka.
– Co?
– Potwór! T... tu, na dachu!
– Gdzie?! – Teresa obróciła się na pięcie, potem rozejrzała się wokół. – Tu był potwór? Napadł cię? Laura! – wydarła się w stronę domu. – Dawaj dwururkę!
– Ocipiałaś? – spytała Laura, wyglądając ze środka. – A w ogóle czemu ciągle ją masz?
– Chowaj się, kurna, bo tu potwór grasuje! – warknęła Teresa, niemal wrzuciła Florkę do środka i zatrzasnęła drzwi.
– Co?! Jaki potwór? Gdzie?!
Roztrzęsiona Florka powiedziała:
– Odleciał. Poleciał do... – Sapnęła. – Iza! Muszę ją ostrzec!
Wyjęła telefon z kieszeni, ale tak jej się trzęsły ręce, że zaraz go upuściła. Laura ujęła ją za ramiona i zaczęła prowadzić do kuchni.
– Już dobrze, spokojnie. Chodź, zrobię ci kakao.
– Jakie kakao?! – wykrzyknęła Teresa zajęta grzebaniem w szafie na korytarzu. – Potwór tu lata, a ta kakao będzie pić! Gdzie żeś naboje schowała?!
– Och, zostaw tę strzelbę! Nie do wiary, że ktoś ci w ogóle dał zezwolenie.
– A kto powiedział, że mam zezwolenie?
Leżący na podłodze telefon się rozdzwonił. Florka dopadła do niego i spojrzała na wyświetlacz. Dzwoniła Iza. Może potwór jeszcze jej nie dopadł? Po kilku próbach wcelowania palcem w przycisk udało jej się odebrać.
– Halo?!
Ze słuchawki dobiegł stoicki głos doktor Pokot:
– Florentyno, możesz przyjść? Będę potrzebować asysty.
Dziewczyna popatrzyła po swoich ciociach, które wlepiły w nią spojrzenia. Przełknęła ślinę.
– Do czego? – spytała.
– Mam mantykorę z chorymi zębami.

– Chorymi zębami...? – powtórzyła słabo.

– To duża istota. Ktoś musi monitorować funkcje życiowe. Potrzebuję jak najwięcej rąk do pomocy. – Po długiej chwili ciszy ze strony Florki dodała: – Za pracę po godzinach przy niebezpiecznym stworzeniu będziesz miała płatne podwójnie.

Dziewczyna miała ochotę powiedzieć, że nie ma takich pieniędzy, za które z własnej woli zbliżyłaby się do potwora z jadowitym ogonem, pazurami i trzema rzędami zębów, ale szepnęła tylko:

– Okej...

– Świetnie. Czekam na was.

Florka patrzyła na telefon, jakby miał zaraz wybuchnąć. Laura spojrzała na niego nad ramieniem siostrzenicy.

– Co się dzieje? – spytała.

Dziewczyna nie odpowiedziała od razu.

– Muszę iść.

– Dokąd?

– Do pracy.

Teresa wyłoniła się zza drzwi szafy z dubeltówką w ręku.

– A po cholere?

– Pomóc... przy zabiegu. Tej mantykory.

– Co?! – wykrzyknęła Laura. – Nie ma mowy! Przecież toto może cię zabić!

– Mówiłam, żebyś dała sobie spokój z pracą u tej kobiety – warknęła Teresa. – Przecież to jakaś wariatka! Potwory będzie leczyć!

– Znieczulimy go. Nic mi nie będzie – odparła Florka niezbyt pewnym tonem.

– Będzie, nie będzie, wyleczycie go i co? Zacznie ludzi wybijać? Przecież to jakiś obłęd! Mało ci, że oko straciłaś? Siedź tu i ani nosa nie wystawiaj na zewnątrz!

– Idę! – powiedziała stanowczo dziewczyna, rozdrażniona uwagą o wypadku. – Powiedziałam, że pomogę, to pomogę.

– Jak ci włos z głowy spadnie, to twoja mama mnie zabije – jęknęła Laura. – Daj sobie z tym spokój, z całą tą robotą!

– Nic mi nie będzie. Iza o to zadba.

– Tak jak o twoje oko? – mruknęła Teresa, grzebiąc w szafie. – Jajka bym jej nie powierzyła, a co dopiero swoje życie. Laura, gdzie żeś schowała te naboje?!

– Dobra, dość tego! Idę!

Florka wyrwała się z objęć cioci i stanowczo ruszyła do drzwi. Zignorowała ich przekrzykiwania i poszła po rower. Zobaczyła porzuconą w trawie butelkę coli i przypomniała sobie, jak bardzo jest głodna i spragniona.

– Oszalała, no jak Boga kocham, oszalała – powtarzała ukryta za progiem Laura, rozglądając się po niebie.

– Nie wychodźcie z domu – powiedziała Florka. – I zostawcie tę strzelbę!

– Nie żeby był z niej jakikolwiek pożytek bez naboji – mruknęła Teresa, łypiąc na partnerkę spode łba.

– Będę pisać. Nie martwcie się.

– Jak nie dasz znaku życia przez dziesięć minut, to dzwonię po policję!

Dziewczyna zapaliła lampki, wsiadła na rower i ruszyła w drogę. Przyjemnie chłodne wieczorne powietrze zmierzwiło jej włosy.

Pedałowała pospiesznie, starając się nie roztrząsać zbyt dogłębnie tego, co miało się wkrótce wydarzyć. Ot, pacjent jak każdy inny. Wcale nie bardziej niebezpieczny od dużego psa. Jak już się go znieczuli, to stanie się zupełnie niegroźny. Nawet nie było przy tym wiele roboty dla technika. Zwykła asysta przy mało skomplikowanym zabiegu.

Zaraz jednak dopadły ją innego rodzaju wątpliwości. Jaka była prawidłowa temperatura ciała mantykory? Ile oddechów i uderzeń serca na minutę mieściło się w granicach normy? Do jakiej rodziny zwierząt się w ogóle zaliczała? Kotowate, człowiekowate, pajęczaki?

Jak ocenić, czy jej funkcje życiowe są prawidłowe? Skąd wiedzieć, czy nie umiera?!

Cała w nerwach zajechała przed dom na Podleśnej trzy. Coś jej się przewróciło w żołądku, gdy zobaczyła ogromny ciemny kształt na wprost wejścia do lecznicy. Rzuciła rower na ziemię, bo nogi drżały jej tak bardzo, że nie mogła wcelować w stopkę. Odetchnęła głęboko i ruszyła w stronę przychodni.

Dopiero teraz ujrzała faktyczne rozmiary mantykory. Była wielkości dużego lwa, a ogromne, nietoperzowate skrzydła sprawiały, że wydawała się jeszcze większa. Podzielony na kilka segmentów skorpion ogon spoczywał na trawie; jego koniuszek co jakiś czas poruszał się leniwie. Izabela stała z kajetem w ręku przed potworem i notowała, kiedy ten mówił coś głębokim głosem.

Przy drzwiach Bastian z rękami skrzyżowanymi na piersi spoglądał z niepokojem na mantykorę. Florka zbliżyła się do niego ostrożnie.

– Hej – powiedziała po tym, jak odchrząknęła. – Jak wygląda sytuacja?

Faun wypuścił głośno powietrze.

– Na ile widziałem, to bydlę ma totalny syf w gębie – mruknął po cichu. – Będziemy mieć szczęście, jeśli Izka skończy z tym do rana.

Jęknęła, spoglądając na ogromną bestię. Oblała się potem, gdy mantykora powoli zwróciła na nią wzrok. Po chwili potwór wrócił do rozmowy z lekarką.

– Masz monsterka? – spytała słabym głosem Florka.

Faun uśmiechnął się pod nosem.

– Przezorny zawsze ubezpieczony. Częstuj się.

Wskazał na spoczywający na ławce pod ścianą plecak. Florka wyłowiła puszkę z napojem w jej ulubionym smaku i wypła łąpczywie kilka łyków. Potem pomogła Bastianowi z przygotowaniem. Na tyłach budynku znajdowała się sala chirurgiczna dostosowana do przeprowadzania zabiegów u koni – i najwyraźniej mantykor. Za progiem szerokich wrót znajdowało się

pomieszczenie ze ścianami obitymi tapicerowanymi panelami. Z sufitu zwisały łańcuchy i pasy przymocowane do szyn. Dalej położona była faktyczna sala operacyjna. Technicy zdezynfekowali wielki stół chirurgiczny i naszykowali szeroką gamę groźnie wyglądających narzędzi. Szukając odpowiednio dużego luksatora, Florka znalazła malutki rozwieracz szczękowy dla królików i gryzoni. Spojrzała w kierunku czekającej na zewnątrz mantykory i zachichotała nerwowo.

– Dobrze – powiedziała Izabela, gdy wszystko było gotowe na przyjęcie pacjenta i technicy wyszli na zewnątrz. – Znieczulmy go. Dawka na tak duże stworzenie to będzie, hm...

– Litr...? – zasugerował nieśmiało Bastian.

Mantykora zwróciła na niego ponure spojrzenie i uderzyła ogonem o podłogę, co wywołało głośne tąpnięcie. Lekarka machnęła w jej kierunku zapraszająco.

– Wejdz! – zawołała.

Bestia dzwignęła się z ziemi, trzepnęła skrzydłami, potrząsnęła głową. Strąki grzywy uderzyły ją w szpetną, na wpół ludzką twarz. Technicy odskoczyli na boki, gdy ruszyła powolnym krokiem do środka. Bił od niej silny zapach podobny do mokrego psa. Porośnięty pojedynczymi, szczeciniastymi włoskami skorpioni ogon kołysał się na boki.

Florka pospiesznie napisała wiadomość do cioć, mając nadzieję, że nie jest to ostatnia.

Bastian zasunął wrota za mantykorą. Ta przyglądała się szynom pod sufitem. Zwróciła twarz ku Izabeli, gdy lekarka podeszła z dużą kaniulą dożylną w dłoni.

– Teraz założymy ci wenflon – powiedziała powolnym, wyraźnym głosem, jakby rozmawiała z osobą niedosłyszącą. – Poczujesz lekkie ukłucie. Podaj mi prawą łapę.

Bestia zmrużyła oczy, a w głębi jej gardła rozbrzmiał ponury warkot. Florka poczuła, jak wszystkie włosy stają jej dęba. Przyłgnęła do paneli na ścianie, jakby chciała w nie wsiąknąć.

Po chwili mantykora usiadła i uniosła łapę. Bastian drgnął, jakby ocknął się ze snu, sięgnął po dużą golarkę i powoli podszedł do pacjenta, starając się nie stukać racicami na kafelkach. Florka bardzo niechętnie podreptała za nim.

Z bliska stwór wydawał się trzy razy większy. Jego przedramię było grube jak konar dębu, a pięciopalczysta łapa wielkości talerza. Techniczka niepewnie ujęła kończynę i pociągnęła nieco do siebie, by ją wyprostować. Miała wrażenie, że z równym powodzeniem mogłaby próbować wyciągnąć samochód z bagna.

Faun schylił się, by nie mieć twarzy na wysokości ostrych zębów. Drżącymi palcami omacał przedramię mantykory, a gdy znalazł żyłę, zbliżył brzęczącą golarkę do brunatnej sierści.

Bestia szarpnęła łapą, a w jej gardzieli rozbrzmiał grom. Technicy odskoczyli jak jeden mąż.

Izabela klasnęła w dłonie.

– Nie zachowuj się jak kociak – powiedziała stanowczo. – Golenie nie boli.

Mantykora rzuciła jej ponure spojrzenie, marszcząc groźnie wargi. Po chwili ponownie wystawiła łapę. Florka złapała ją i kucnęła, by nie przewrócić się pod jej ciężarem. Bastian zerknął na górującą nad nim bestię, odetchnął głęboko i przystąpił do dzieła.

Łapa drgnęła, lecz pozostała w delikatnym uścisku dziewczyny. Techniczka patrzyła, jak zgolona sierść opada na kafelki. To tylko duży kotek, który ma duże łapki, powtarzała w myślach. Zauważyła koniuszki długich, ostrych pazurów schowanych w paluchach wielkich jak bułki. Czarne, szorstkie jak papier ścierny poduszki nie były ani trochę urocze. Serce Florki waliło tak mocno, jakby miało wyskoczyć z piersi.

Bastian odłożył golarkę, przetaił skórę mantykory gazikiem hojnie nasączonym alkoholem i stanął obok z plastrami w pogotowiu. Uzbrojona w kaniulę Izabela podeszła i nachyliła się nad łapą. Zachowywała stoicki spokój – żadnych drżących dłoni, przyspieszonego oddechu, podenerwowanych spojrzeń rzucających

blisko półtonowej bestii, która mogła ją zabić jednym drobnym ruchem.

Florke zmroziło. Łomot własnego serca wypełnił jej uszy.

– Już – powiedziała Iza i się cofnęła. Zdziwiona techniczka spojrzała do góry. W masywnym przedramieniu tkwił przyklejony wenflon.

– Dobry kotek – jęknął ciekim głosem faun.

– Teraz musimy cię w to zapiąć. – Lekarka wskazała na zwieszające się z sufitu łańcuchy i pasy. – Żeby przenieść cię na salę zabiegową, kiedy stracisz przytomność.

Mantykora przyjrzała się konstrukcji ze zmrużonymi oczami. W jej gardle znów zaczął narastać jeżący włos na głowie ryk.

– Pęta – powiedziała. – Nie. Nie wiązać.

– Musimy cię przetransportować na stół – wyjaśniła spokojnie Izabela.

Bestia zwróciła na nią wzrok. Potem wstała. Technicy odskoczyli.

– Sam wejść.

Lekarka wzruszyła ramionami. Otworzyła szerokie drzwi na salę chirurgiczną i weszła do środka. Bestia powolnym krokiem ruszyła za nią.

Technicy wymienili spojrzenia. Ostrożnie podążyli za mantykora, zachowując względnie bezpieczny dystans od skorpioniego ogona. Nie czekając na instrukcje ani zaproszenie, bestia wdrapała się na stół zabiegowy. Choć był stworzony z myślą o koniach, dla niej wciąż wydawał się za mały. Spojrzała w dół, złożyła skrzydła, po czym ułożyła się jak kot na wąskim parapecie.

Izabela sięgnęła do panelu sterującego, wcisnęła odpowiedni przycisk i blat zaczął się unosić. Zaintrygowana mantykora popatrzyła na oddalające się płytki podłogi. Lekarka stwierdziła, że będzie potrzebny drugi stół. Dostawili go z przodu pierwszego. Całe to miejsce wciąż wydawało się niewystarczające.

– Połóż się na boku – powiedziała Iza.

Bestia obrzuciła ją nieufnym spojrzeniem. Po chwili obróciła się na lewy bok i złożyła łeb na nowym stole. Łapy wisały w powietrzu.

– Teraz poczujesz otępienie, a później zaśniesz. – Izabela zaczęła podawać środki sedacyjne przez wenflon. – Nie będziesz czuć bólu. Kiedy się obudzisz, będzie już po zabiegu.

Florka odczuła pomruk mantykory w klatce piersiowej. Odchrząknęła.

– Robimy od razu zabieg? – spytała cicho. – Bez zbadania krwi?

– A masz ochotę pobrać mu krew? – spytał głośnym szeptem Bastian.

Iza pokręciła głową, nabierając lek z dużej fiołki.

– Nie wyraził na to zgody.

– Hm, a jest na czczo?

Lekarka spojrzała przez ramię. Mantykora zdawała się uśmiechać złośliwie. Ciarki przeszły Florce po plecach.

– Nie chciał czekać – odparła Izabela. – Bardzo go boli.

Florka miała szczerą nadzieję, że po podaniu opioidu bestia nie postanowi się zrzygać. Faun skrzyżował ręce na piersi i oparł się o ścianę. Widać było, że chce zachować twarz, ale boi się tak samo jak Florka. Stała obok niego i w milczeniu sączyła energetyka, obserwując zasypiającą mantykorę.

Kilkanaście minut później, gdy pacjent całkowicie pogrążył się we śnie, wszyscy przystąpili do pracy. Z braku kardiomonitora technicy funkcje życiowe musieli sprawdzać sami. Bicie serca tak wielkiego potwora brzmiało jak uderzenia bębna.

Izabela otworzyła pysk mantykory, sięgnęła po ogromny rozwieracz i nałożyła go na kły – a przynajmniej próbowała, bo górny ząb natychmiast się przekrzywił i wypadł. Lekarka z trudem ulokowała narzędzie tak, by trzymało się na miejscu. Bastian spojrzał jej przez ramię i natychmiast się cofnął.

– O Chryste Panie – jęknął.

Zaciekawiona Florka podeszła do stołu i zajrzała do otwartej paszczy.

Wyzyw niemal ją powalił. Jeśli zęby labradora, który miał zabieg wcześniej tego dnia, można było porównać do rozkopanych grobów, to mantykora miała w gębie gnijące szczątki tego, co można w grobach znaleźć. Każdy ząb w każdym z sześciu rzędów – po trzy u góry i dołu – pokrywała gruba warstwa czarno-zielonkawego kamienia. Tylko korony tu i ówdzie błyskały żółcią i bielą. Gdzieś tam widniały dziury, z zaczerwienionych dziąseł sączyła się krew zmieszana ze śliną, która już zaczęła skapywać na biały podkład pod ogromnym łbem bestii. Samych zębów były dziesiątki. Cztery długie kły – a w zasadzie już trzy – i mnóstwo, mnóstwo siekaczy i trzonowców. Jeśli zabieg psa, który miał tylko czterdzieści dwa zęby, trwał prawie dwie godziny, ten miał potencjał trwać pięć, sześć... albo i więcej.

Choć wstydziła się tej myśli, Florka nabrała nadziei, że mantykora w trakcie znieczulenia się przekręci i nie trzeba będzie kończyć zabiegu.

Bastian podłączył kroplówkę do wenflonu.

– A mogłem zostać w IT... – mruknął.

Izabela tymczasem zainstalowała w tchawicy pacjenta rurkę intubacyjną. Przysunęła sobie stolik chirurgiczny z elegancko ułożonymi przez faunę narzędziami, usiadła, założyła przyłbicę i przystąpiła do dzieła.

Wizg skalera, choć cichy, wwiercał się w mózg jak komar, który wleciał do ucha. Technicy na zmianę co kilka minut sprawdzali funkcje życiowe i zapisywali parametry na karcie anestezyjologicznej. Florka nie miała pojęcia, co mieściło się w granicach normy, ale kiedy Izabela pytała o liczbę oddechów czy uderzeń serca na minutę, przytakiwała tylko, więc dziewczyna uznała, że wszystko w porządku. Luksator, kleszcze i dłuta chrzęściły nieprzyjemnie w pysku mantykory. Odłupywany kamień spływał na podkłady, które technicy musieli co chwilę wymieniać na nowe.

Na tacce wciąż przybywało wyrwanych lub ułamanych zębów. Kiedy Bastian chciał je wyrzucić, Iza go powstrzymała.

– Zostaw. Zęby mantykory są cenne. Uznaję to za zapłatę.

– Okej... – mruknął faun. Zerknął na Florę, puścił jej oko i wsunął dwa najładniejsze do kieszeni.

Zabieg przebiegał bez komplikacji. Bestia spała jak kociak. Z biegiem czasu technicy zaczęli się nawet lekko nudzić. Flora wypełniła galerię w telefonie mnóstwem zdjęć i kilka wysłała zestresowanym ciociom. Zafascynowany Bastian gładził ogromne skrzydła.

– Niesamowite, że to potrafi latać – stwierdził.

– Może ma kości puste w środku, jak ptaki. Ma? – spytała dziewczyna Izabelę po kolejnym osłuchaniu stworzenia.

Lekarka przytaknęła.

– Też, ale tego rodzaju istoty korzystają również z magii, by się unieść.

– Rzucają zaklęcia?

– Nie. Magia jest w nich. Każdy ma dwa ciała: fizyczne i astralne, czyli ducha. Duch jest magiczny i dzięki niemu mantykora się wznosi.

– To znaczy, że my też moglibyśmy latać?

– Gdybyście wy albo ktoś inny odpowiednio wpłynęli na waszego ducha, to tak. Na tym opiera się cała magia. To jednak trudna sztuka i niewielu potrafi się nią posługiwać.

Złapała kleszczami jeden z zębów, szarpnęła, lecz ani drgnął. Przez chwilę mocowała się z nim, aż wreszcie wyrwała z głośnym chrzęstem. Flora się wzdrygnęła.

Mijały godziny. Izabela ani na moment nie odeszła od stołu, ani razu się nie przeciągnęła, w żaden sposób nie okazała zmęczenia. Kilka razy użyła kościanej różdżki i po każdym zaklęciu prosiła techników o podanie pacjentowi sterydu. Mantykora grzecznie spała. Przez pierwsze pół nocy Flora i Bastian gawędzili ze sobą, z biegiem czasu jednak, coraz bardziej otępiali z wyczerpania,

prawie zupełnie przestali się odzywać. Faun ziewał jak smok, a dziewczyna wiele razy przyłapywała się na tym, że przy osłuchiwaniu potwora przysypia, kołysana monotonnym biciem serca. Przytomność pomagały jej zachować tylko kolejne napoje energetyczne i wiadomości od cioć, które równo co pół godziny dopominały się o raport, że siostrzenica Laury wciąż żyje.

– Gotowe – oznajmiła Izabela.

Do Florki dopiero po chwili dotarło, że lekarka coś powiedziała. Razem z Bastianem podeszli do łba potwora i zajrzeli mu do pyska. Stracił ponad połowę zębów, ale przy ich ogólnej liczbie nie zrobiło to dużej różnicy. Dziury po nich zostały zasklepięte magią – wedle słów nekromantki magiczne bestie wytrzymywały dużo więcej ingerencji w ducha ciała.

Zrobili jeszcze parę zdjęć rentgenowskich – kontrolne, na wypadek gdyby w którychś zębodołach zostały korzenie do usunięcia, i kilka dla celów naukowych. Iza ostatni raz obejrzała wnętrze pyska mantykory, po czym wyjęła rozwieracz i odłożyła go na stolik chirurgiczny. Sterta zakrwawionych narzędzi wyglądała jak porzucone rekwizyty z horroru. Faun obrzucił je zrezygnowanym spojrzeniem i zaczął pchać stolik w kierunku zlewu.

– Zostaw – powiedziała lekarka. – Ja się tym zajmę. Możecie już iść, dziękuję wam za pomoc. – Zastanowiła się chwilę, po czym dodała: – Możecie sobie zrobić dzień wolnego.

Florka odetchnęła z ulgą i odwiesiła stetoskop na wieszak. Bastian ziewnął szeroko. Dziewczyna złapała go za ramię i pociągnęła w stronę stołu.

– Chodź, zrobimy sobie pamiątkowe selfie z mantykorą!

– Nie mogliśmy tego zrobić przed zabiegiem, jak nie chciałem umrzeć?

– Wtedy istniało ryzyko, że nas zje. – Ustawiała siebie i fauna tyłem do mantykory i zaczęła robić zdjęcia. – Weź się trochę uśmiechnij.

Wtem zza jej pleców dobiegł powolny, cichy warkot. Florka podskoczyła i uciekła w bok, ale potwór wciąż spał. Faun się zaśmiał.

Kiedy wreszcie wyszli na świeże powietrze, niebo było już jasne, a słońce zaczynało się wychylać zza horyzontu. Florka i Bastian przespacerowali się do zakrętu, rozmawiając wesoło, a potem dziewczyna wsiadła na rower, mimo obaw, że swoim zmęczeniem stwarza zagrożenie w ruchu drogowym. Na widok ceglanego domu cioteczek ogarnęła ją błoga ulga.

Nawet nie chciało jej się odprowadzać roweru i po prostu postawiła go pod ścianą. Gdy tylko przekroczyła próg, Laura i Teresa dopadły do niej jak wilki.

– Florka! Żyjesz?!

– Aha – mruknęła.

– Nic ci się nie stało? Wszystko w porządku?

– Aha.

– Udało się wyleczyć tego potwora?

– Aha.

– I co, odleciał?

– Nie wiem. – Ziewnęła i zdjęła buty. – Dopiero się wybudza.

– To może jeszcze zdechnie – powiedziała z nadzieją w głosie Teresa.

– Jadłaś coś w ogóle? – spytała zmartwiona Laura. – Chodź, zrobię ci śniadanie.

Florka chciała zaproponować, ale ostatecznie uznała, że powinna w końcu coś zjeść. Usiadła przy stole kuchennym, oparła policzek na dłoni i popadła w zadumę.

Czy po tym, co wydarzyło się minionej nocy, wciąż chciała pracować u doktor Izabeli Pokot, nekromantki, specjalistki od magicznych stworzeń?

Otworzyła galerię w telefonie i przejrzała zdjęcia. Na jednym z nich Bastian oferował jej tackę z wyrwanymi zębami niczym talerz przystawek.

Uśmiechnęła się.



ROZDZIAŁ IV

SZACUNEK DO ODPADÓW MEDYCZNYCH

Florka przespała niemal cały dzień. Gdy obudziła się po szesnastej, spanikowała, że za długo nie płukała swojej tymczasowej protezy ocznej. Kiedy robiła jej kąpiel w roztworze soli fizjologicznej, zapatrzyła się na nią, zamyślona. Czy nie powinna być wściekła – na siebie, na wolpertingera, na cały świat – za to, że straciła oko? Przez kilka pierwszych dni czuła się zagubiona i załamana, co starannie ukrywała, by nie martwić cioć, rodziców ani nikogo innego. Potem trochę ochłonęła, może nawet zobojętniała. Powoli zaczęła się przyzwyczajać do węższego pola widzenia i próbowała funkcjonować tak, jak do tej pory. Starła się nie roztrząsać faktu, że została okaleczona w okolicznościach, którym tak łatwo było zapobiec.

Wszystko to dlatego, że postanowiła rzucić pracę w mieście, ciocie Laura i Teresa powiedziały jej o nowej lecznicy, doktor Izabela ją zatrudniła, Bastian pozwolił jej pobrać krew, a wolpertinger okazał

się drażliwy. Splot wydarzeń, chwila nieuwagi – i Florka wylądowała na sali operacyjnej.

Tylko że... przecież to nie była niczyja wina. Może poza jej własną.

Zacisnęła usta, włożyła w oczodół czystą, zimną protezę i zasłoniła ją opatrunkiem z gazy.

Przy obiedzie opowiedziała ciociom, jak wyglądał zabieg mantykory. Ledwie udawało jej się coś jeść, bo wciąż musiała odpowiadać na ich pytania.

– Więcej cię na coś takiego nie puszczę – odgrażała się Teresa, próbując nabrać widelcem buraczki. – Jutro pójdę załatwić pozwolenie na broń, żeby móc legalnie odstrzelić następną bestię, która nam będzie łazić po dachu.

– Nie strzelaj do żadnych bestii, bo potem Iza będzie musiała je leczyć – powiedziała z krzywym uśmiechem Florka.

– Nie może leczyć czegoś miłszego? Jakichś jednoroźców albo krasnoludków? – spytała błagalnym tonem Laura.

– Jeśli masz na myśli krasnoludy, to rasistowskie określenie. I z pewnością nie podpadają pod leczenie weterynaryjne.

– A myślałaś o tych Cnotnicach? Tam jest spokojniej... Kotki, pieski, ta kobitka jakieś kucyki ma, nic nie będzie próbowało cię zabić...

– No wiem... – powiedziała z westchnieniem Florka. – Myślałam o tym, ale...

Ciocia Laura położyła jej dłoń na ramieniu.

– Zajmowanie się magicznymi zwierzakami musi być fajną przygodą, ale zastanów się, czy to nie jest dla ciebie za dużo. Praca po nocach, z niebezpiecznymi potworami... Nikt cię nie będzie osądzał, jeśli z tego zrezygnujesz. Kto by chciał się tak narażać?

Ja, pomyślała Florka, ale zawahała się, nim powiedziała to na głos.

– Bastian pracował w Cnotnicach – wspomniała, grzebiąc w ziemniakach. – Chyba nie ma za dobrego zdania o tej lecznicy.

– Może mieć jakieś osobiste uprzedzenia. Nie dowiesz się, póki sama się nie przekonasz. Nie musisz przecież od razu zmieniać pracy, ale wiesz, rozejrzyj się. Popytaj, nie tylko Bastiana. Tamta

przychodnia jest otwarta od kilku lat, na pewno znajdziesz tu ludzi, którzy do niej jeździli.

Florka parsknęła śmiechem, gdy wyobraziła sobie, jak chodzi od domu do domu i pyta: „Dzień dobry, czy chcieliby państwo porozmawiać o lecznicy w Cnotnicach?”.

– Nie wiem – powiedziała. – Może najpierw pogadam z Bastianem.

– Najpierw – odezwała się Teresa – to zjedz schabiku, bo ci w końcu wystygnie.

Dziewczyna wzniosła sztućce ku niebu.

– Próbuję!

W tym momencie w jej kieszeni odezwał się telefon. Dzwoniła mama. Florka odeszła od stołu i odebrała.

– Halo?

– Florentyno! – zagrzmiała w słuchawce Filomena Kuna, aż ciocie drgnęły i spojrzały na dziewczynę. – Co to ma znaczyć, że jakieś potwory tam leczysz?!

Florka westchnęła ciężko.

– Nikogo nie leczę, ja tylko pomagam.

– Laura mi o wszystkim opowiedziała! Czy tobie życie niemiłe?! Najpierw jakiś potworny zając ci oko wyłupił, a teraz latające lwy kręcą się wam pod domem i szukają dentysty?! Czy ty chcesz, żebym na zawał zeszła?!

– Ale przecież nic się nie stało... – próbowała wyjaśnić dziewczyna, ale matka nie dawała jej dojść do słowa.

– Albo sama zrezygnujesz z tej pracy, albo po ciebie przyjadę! Co ci się tak nie podobało w tej Warszawie, że uciekłaś na wieś leczyć jakieś monstra?!

– Mobbing – mruknęła Florka.

– A ryzykowanie życia jest lepsze?! Już ja ci znajdę normalną pracę – odgrażała się Filomena – gdzieś, gdzie pacjenci nie mogą ci zrobić krzywdy.

– Chyba nie widziałaś, co potrafi zrobić z człowiekiem zdziczały kot.

– Mówię poważnie. Laura mówiła, że macie tam drugą lecznicę, idź tam i zajmij się normalnymi zwierzakami, a nie potworami!

– Ale ja nie chcę! – rzuciła stanowczo Florka. – Tu wcale nie jest źle!

– Och, dobrze, rób, co chcesz, ale nie oczekuj, że będę się przyglądać, jak moje dziecko się ładuje w paszczę... cokolwiek to było wczoraj – fuknęła mama. Po chwili dodała błagalnym tonem: – Przecież ja ci nie chcę na złość zrobić, martwię się o ciebie.

– Nie panikuj, będę ostrożniejsza. A nawet jakby mnie coś ukatrupiło, to doktor Iza może mnie wskrzesić – zażartowała Florka.

– To nie jest śmieszne!

– Ja ciebie też.

Mama westchnęła ciężko.

– No dobrze już, dobrze. Ale naprawdę, to nie jest normalne, co się tam wyprawia.

– Nie martw się, będę uważać. Idę, bo mi schabik stygnie. Na razie, mamó.

– Buziaczki, cholera.

Florka się rozłączyła. Teresa z pełną wyższości miną wysączyła łyk kompotu.

– Jesteś w mniejszości – powiedziała.

Roztrzęsiony york nie spuszczał Izy z oczu. Spięty po czubek ogona psiak sprawiał wrażenie, jakby pozwolił się badać tylko dlatego, że bał się poruszyć. Co chwilę oblizywał nerwowo nos i drżał jak osika.

Doświadczenie podpowiadało Florce, że właśnie takich psów należy się wystrzegać najbardziej.

– Moja biedna Sara – powtarzała w kółko właścicielka, elegancka kobieta w średnim wieku. – Zaraz pójdziemy do domku, dostaniesz kabanosika w nagrodę za to, jaka jesteś dzielna, mój skarbenku...

Sara zupełnie nie reagowała na te słowa pocieszenia, jakby po przekroczeniu progu gabinetu kompletnie ogłuchła. Florka wyjęła z lodówki szczepionkę, zmieszała liofilizat z rozpuszczalnikiem i podała Izabeli gotową dawkę w strzykawce.

Lekarka popatrzyła uważnie na yorka.

– Założmy jej kaganiec – powiedziała.

– Och, nie trzeba, Sarusia nie gryzie, a w kagańcu bardzo się boi...

– To względy bezpieczeństwa.

– Naprawdę musimy? Ja ją przytrzymam, nic pani nie robi...

Izabela nie bawiła się w dalsze namowy i sugestywnie uniosła kaganiec. Właścicielka westchnęła ciężko i pozwoliła na założenie go psu. Florka przytrzymała mocno yorka, choć na dobrą sprawę nie musiała – był jak z kamienia.

Łypnął lękliwie na strzykawkę w dłoni lekarki. Ta ostatni raz popatrzyła na niego, po czym naciągnęła mu skórę między łopatkami i podała szczepionkę.

Wszystko wydarzyło się jednocześnie. Pies zawarczał jak odpalony skuter, szarpnął głową, jakimś cudem uwalniając się z kagańca, i zatopił zęby w przedramieniu Izabeli.

Właścicielka krzyknęła piskliwie. Sara uczepiła się ręki lekarki jak krokodyl, warcząc i szarpiąc w bezmyślnym szale. Florka szybko ją odciągnęła i natychmiast puściła, bo york już startował do niej z zębami. Spojrzała na szefową... i żołądek podszedł jej do gardła.

Skóra na przedramieniu była naznaczona zaskakująco głębokimi ranami. Odśloniły one warstwę mięśni, ciemnych, różowawo-szarych, również uszkodzonych. Były doskonale widoczne przez to, że w ogóle nie krwawiły. Woń nadgniętego ciała przybrała na sile.

Florka podskoczyła, gdy obok rozległo się głośnie łupnięcie. To właścicielka padła zemdlna na podłogę. Nim techniczka zdążyła złapać yorka, ten zeskoczył ze stołu na kolana swojej pani, dopadł do drzwi i zaczął je drapać, piszcząc głośnie.

Tymczasem Izabela najspokojniej w świecie oglądała wciąż trzymaną w dłoni strzykawkę. Igła się złamała, ale tłok był wciśnięty do końca.

Właścicielka ocknęła się i rozejrzała błędnie wokół. Florka pomogła jej wstać. Iza ukryła rękę za plecami.

– Ja... ja bardzo przepraszam! – wykrzyknęła klientka. – Ona nigdy nikogo nie pogryzła! Nie wiem, co w nią wstąpiło!

– Czterdzieści złotych – powiedziała tylko Iza.

Na zmianę kajając się i cmokając ze współczuciem – okazywanym bardziej pieskowi niż lekarce – kobieta zapłaciła i czym prędzej opuściła lecznicę. Florka zapatrzyła się na obrażenia.

– To... boli? – spytała niepewnym tonem.

– Moje zakończenia nerwowe nie funkcjonują – odparła spokojnym tonem Izabela. Obie podniosły wzrok, gdy rozległo się pukanie do drzwi. – Muszę się tym zająć. Zbierz wywiad, niedługo wrócę.

Wyszła na zaplecze, a Florka, pełna adrenaliny po korek, otworzyła.

Do środka wszedł starszy mężczyzna, którego zdążyła już poznać. Pan Mieczysław, kościelny, bardzo serdeczny człowiek, który lubił ucinąć sobie pogawędki z wiernymi po zakończonej mszy. Przyproceedził na smyczy czarnego kundelka.

– Dzień dobry – powiedział przepraszającym tonem. – Proszę pani, Zyzio chyba jest chory.

– Proszę go tu posadzić – powiedziała dziewczyna i przetarła blat środkiem dezynfekującym. – Co mu dolega?

Mężczyzna położył Zyzia na stole. Pies spoglądał na Florke bardzo zawstydzonym wzrokiem, jakby wiedział, że zrobił coś, czego nie powinien, i było mu przykro.

– A, biegunkę ma i próbuje wymiotować, ale tak jakby nie może.

– Od kiedy tak ma?

– Dzisiaj. Rano zjadł normalnie śniadanie, potem się zaczęło. Tylko ta kupa jest jakaś dziwna...

Wtedy psiakowi się odbiło, a następnie zaczęły męczyć go torsje. Techniczka westchnęła w duchu, wyjęła spod stołu płachtę ligniny i rozłożyła pacjentowi pod łapami, by choć trochę ułatwić sobie sprzątanie.

Zyzio zmrużył oczy, otworzył szeroko pysk i charknął.

Z jego gardła wyleciał w powietrze obłok mieniących się na złoto baniek, jakby mydlanych. Przepłynęły spokojnie przez całą długość gabinetu, odprowadzane zdziwionymi spojrzeniami pana Mietka i Florki. Rozprysnęły się na podłodze, zostawiwszy po sobie coś, co wyglądało jak brokat.

Zyzyk oblizwał ze smutkiem nos.

– Aha – powiedziała po dłuższej chwili milczenia techniczka. – Ee... co on dostał na śniadanie?

– To co zwykle, chrupki... Ale to jest straszny śmieciarz, na spacerach to ciągle zjada jakieś paskudztwo, może znowu coś dorwał.

W tym momencie do gabinetu weszła Izabela. Prawe przedramię miała owinięte bandażem. Spojrzała najpierw na psa, potem na rozsypany na kafelkach złoty pył.

– Pani doktor – powiedziała Florka – mamy pieska, który chyba coś zjadł i teraz, hm, wymiotuje brokatem.

Zyzyk znów napadły torsje i wypluł kilka kolejnych lśniących baniek. Iza wyjęła z kieszeni długopis i przebiła jedną z nich. Rozprysnęła się jak mały fajerwerk.

– To wrózkowy pył – powiedziała.

– Wrózkowy? – spytał mężczyzna. – To znaczy, że się nim struł?

– Musimy to sprawdzić na rentgenie. Możliwe, że tylko rzuciły na niego urok. Jeśli to jednak kwestia ciała obcego, na przykład kokonu w przewodzie pokarmowym, prawdopodobnie będzie potrzebny zabieg.

Techniczka rzuciła Izabeli zaniepokojone spojrzenie. Mężczyzna przetarł spocone czoło.

– W sensie... operacja? Ale to pewnie dużo kosztuje – powiedział, patrząc smutno na psa.

– Zostawienie go w tym stanie będzie go kosztować życie.

– Nie, ja się oczywiście zgodzę na wszystko... ale nie wiem, czy mnie na to będzie stać.

Florka przygryzła wargi. Na ile знаła pana Mieczysława, był dobrym, uczciwym człowiekiem, który nie zaszkodziłby swojemu pupilowi. Zawsze w takich sytuacjach sumienie pchało ją ku temu, by pomóc w pokryciu kosztów leczenia, ale wiedziała, że gdyby zaczęła to skutecznie, sama by szybko zbankrutowała. Nie wspominając o tym, że nie każdy właściciel zasługiwał na taką pomoc...

Pan Mietek jednak wydawał się naprawdę zmartwiony o swojego czworonoga. Pogłaskał go ze współczuciem.

– Pomówimy o tym na spokojnie – powiedziała Iza, po czym zwróciła się do Florki: – Ustaw rentgen.

Pies został zważony, a następnie zaprowadzony do pomieszczenia, w którym znajdowało się kilka aparatów, w tym rentgenowski. Florka uzbroiła się w ciężki, ołowiany fartuch, ustawiła parametry i ułożyła Zyzia w odpowiedniej pozycji. Był bardzo grzeczny, choć dziewczyna podejrzewała, że wynikało to głównie ze strachu.

Do środka weszła Izabela. Stała obok, wzięła wyzwalacz, a drugą dłoń położyła psu na barku.

– Chyba się nie ruszy. Możesz wyjść.

– Nie założysz fartucha? – spytała zdziwiona Florka.

– Nie żyję. Promieniowanie mi nie szkodzi.

– Och. No tak.

Wyszła pośpiesznie, czując się bardzo głupio. Mimo niezdrowego wyglądu Izy, mdlącego zapaszku, który roztaczała, a nawet jej zupełnej obojętności wobec odnoszonych obrażeń, Florka wciąż zapominała, że ma do czynienia z liczem. A jednak... to nie to sprawiało, że Izabela budziła w niej niepokój.

Chwilę później zdjęcie było gotowe. Iza zgrała je na pendrive i obie wróciły do gabinetu, by pokazać właścicielowi.

Pan Mieczysław pochylił się nad laptopem ze zdumieniem. Na czarnym polu widniał wyraźnie zarysowany bielą obraz tułowia Zyzia. Kości i narządy wyglądały prawidłowo. Natomiast

w przewodzie pokarmowym, w połowie drogi do jelita grubego, rzucał się w oczy dziwny patykowaty kształt.

– Połknął wrózkę? Całą? – Mężczyzna przetarł czoło dłonią. – Jak on to zrobił? Te diabły są takie szybkie!

– Obawiam się, że można ją wydobyć tylko operacyjnie – powiedziała Izabela. – Trzeba też działać szybko. Minęło kilka godzin od połknięcia, a jako że wrózkowy pył jest bardzo toksyczny, wkrótce może dojść do nieodwracalnego uszkodzenia nerek i tarczycy.

Florka popatrzyła jeszcze raz na cieniującą na zdjęciu rentgenowskim wrózkę i coś jej się przewróciło w żołądku na myśl o zabiegu.

– To ratujmy go! – Pan Mieczysław poderwał się i złapał Zyzia, jakby chciał go podnieść i włożyć lekarce w ręce. – To młody pies... Wyjdzie z tego, prawda?

– Tego nie mogę zagwarantować. Na początek zobaczymy, jakie ma wyniki krwi.

Zestresowany kościelny podpisał zgodę na zabieg i pożegnał się czule z psiakiem. Nie tak, jakby robił to ostatni raz w życiu, ale jakby szedł do pracy i zostawiał go samego tylko na kilka godzin. Kiedy wychodził z gabinetu, Florka zauważyła, że jego oczy lśniły od wstrzymywanych łez.

Ku jej uldze niedługo potem przybył Bastian na popołudniową zmianę. Znad łapy, z której pobierała krew, zwróciła się do niego:

– Bastian, mógłbyś asystować przy tym zabiegu?

Faun, który asekurował zestresowanego psiaka, pokiwał głową.

– No spoko. A coś się dzieje?

Przygryzła wargi. Nie miała ochoty się przyznawać do tego, dlaczego woli nie być asystą w tym przypadku. Przy zabiegach nie obrzydzało jej nic: martwice, krwawiące guzy, lejąca się ropa, larwy much w ranach – wszystko to mogła wziąć z pocałowaniem ręki. Za każdym razem jednak, gdy w grę wchodziło otwieranie którejkolwiek części przewodu pokarmowego, robiło jej się słabo.

W poprzedniej pracy szef lżył ją za to, nierzadko bardzo dosadnie – że co to za technik, który mdleje przy zabiegu?

– Hm, po prostu... nie lubię grzebania w jelitach – odparła niechętnie.

– Luz. Ale ty bierzesz wszystkie enukleacje i babranie w oczach – rzekł. Łypnęła na niego ponuro jednym okiem. – Nie, nie bierz tego do siebie, po prostu nie mogę na to patrzeć. Brr. – Wzdrygnął się.

– Okej – powiedziała z uśmiechem ulgi. Okleiła łapę psa plastrem i podała Bastianowi próbówki. – Wrzucisz to do maszyny?

Do pomieszczenia weszła Izabela. Stała przy szafce, w której trzymali zapasowe leki, i zaczęła odwijać bandaże.

– Będę potrzebować was obojga – rzekła poważnie. – Nie zginają mi się dwa palce. Ktoś musi być moją prawą ręką.

Florka poczuła, jak z twarzy odpływają jej kolory. Bastian uniósł brew.

– Czemu?

Skrzywił się i syknął przez zęby, kiedy lekarka pokazała mu swoje rany.

– Martwe tkanki potrzebują więcej czasu, by się zrosnąć przy użyciu magii. Zanim to nastąpi, pies może być już martwy.

Faun zerknął na Florę.

– To ja się tym zajmę – zadeklarował pospiesznie – a ty monitoruj.

Kiwnęła głową pełna wdzięczności. Bastian posłał jej uśmiech i poszedł wstawić próbówki do odpowiednich aparatów.

Zyzio okazał się w pełni zdrowszy, nie licząc znacznie podwyższonych parametrów trzustkowych w wyniku zatrucia wrózkowym pyłkiem. Wkrótce został znieczulony i przetransportowany na stół chirurgiczny. Florka powiesiła na ścianie kartę anestezyjologiczną, sprawdziła wyjściową temperaturę, liczbę oddechów, uderzeń serca oraz kolor błon śluzowych i wszystko skrupulatnie odnotowała. Bastian ułożył narzędzia chirurgiczne w pedantycznym porządku, a następnie ogolił i dezynfekował brzuch psa. Izabela założyła rękawiczki, przypięła

backhausem serwetę zabiegową, sięgnęła po skalpel... i przystąpiła do zabiegu.

Bez pośpiechu, precyzyjnymi ruchami rozcięła każdą kolejną powłokę skóry i mięśni. Lewą ręką posługiwała się z niemal równym powodzeniem jak prawą, ale potrzebowała kogoś do trzymania niektórych narzędzi i zaciskania kleszczyków na krwawiących naczyniach. Florka odważnie zaglądała w otwarte wnętrze jamy brzusznej z nadzieją, że oswoi się z widokiem i zapachem. Izabela wydobyła girlandy jelit i ułożyła je ostrożnie na serwecie. Techniczka okryła je gazikami i poląła hojnie solą fizjologiczną. Nabrała przekonania, że wszystko pójdzie jak po maśle. W końcu czy to się bardzo różniło od zabiegu sterylizacji?

Szybko jednak zmieniła zdanie, gdy doszło do otwarcia organu.

Choć profilaktycznie rozsmarowała sobie pod nosem masę o silnym ziołowym aromacie, osobliwy, kwaśny zapach treści jelit uderzył w nią jak taran. Przyłożyła stetoskop do żeber Zyzia i skupiła się na tarczy zegarka, mimo że dopiero co sprawdzała funkcje życiowe. Zerknęła w stronę pola zabiegowego. Zauważyła złotawy połysk na krawędziach rozciętego narządu, jakby został pomalowany cienką warstwą metalicznego lakieru do paznokci.

Zakręciło jej się w głowie.

Bastian przyglądał jej się uważnie.

– Jak tam? – spytał.

– Spoko – odparła szybko.

Izabela spojrzała najpierw na nią, potem na kartę anestetyczną.

– Florentyno, wyjdź na powietrze – powiedziała.

– Nie, nie, wszystko w porządku...

– Idź.

Florka westchnęła cicho, odłożyła długopis i opuściła salę chirurgiczną.

Wyszła przed lecznicę i usiadła na ławce. Zapatrzyła się na wiszącą na drzwiach tabliczkę z napisem „ZABIEG W TRAKCIE.

Zapraszamy później” i pogрузыła się w ponurych myślach. Miała poczucie, że po czymś takim Iza z pewnością nie będzie chciała przedłużyć jej umowy. W poprzedniej pracy nikt nie miał takich problemów, tylko Florka. Pierzyński wypominał jej to przy każdym zabiegu...

Odetchnęła głęboko kilka razy. Upalne powietrze nieszczególnie pomogło.

Po jakimś czasie – nie była pewna, jak długim – wróciła do środka. Bastian pod okiem Izabeli zszywał już skórę Zyzia. Obejrzał się przez ramię na dziewczynę. Wskazał brodą na stolik chirurgiczny.

– Patrz, jakie paskudztwo.

Podeszła i spojrzała na spoczywające między zakrwawionymi narzędziami ciało. Stworzenie wielkości ludzkiej dłoni nie przypominało za bardzo człowieka. Miało zbliżoną sylwetkę, ale na tym podobieństwa się kończyły. Wróżki zaliczały się do gromady owadów i dzieliły się na sporą liczbę gatunków, zależnie od regionu, w którym występowały. Ta tutaj była typową przedstawicielką piksów: miała długie, cienkie nogi z wyrostkami jak u konika polnego, dwie pary patykowatych rąk i przezroczyste skrzydełka wałki. Była żółto-zielona i bezwłosa, a jej głowa wyglądała jak połączenie twarzy człowieka i osy. Pokrywały ją mieniące się na złoto resztki zawartości jelit; Florka wycofała się, by znów jej nie zemdliło.

– Paskudztwo – przyznała.

– No, to hopsa – powiedział Bastian, odrzucając igłotrzymacz na stolik, aż narzędzia zagrzechotały.

Zaniósł psa do klatki, w której czekały już miękki koc i mata grzewcza. Ponownie podłączyli Zyzia do kroplówki i zaczęli sprzątać po zabiegu. Razem stanęli przy zlewie i zabrali się do szorowania brudnych narzędzi na błysk.

– Jak tam, żyjesz? – spytał faun.

– Tak... ale mi głupio.

– Co ty, nie przejmuj się. To żadna ujma na honorze. Niektóre rzeczy są obleśne i tyle.

– Może, ale co to za technik, który mdleje przy zabiegu – mruknęła ponuro.

– Mówisz to ty czy ktoś inny? – spytał.

Florka westchnęła.

– Każdy po trochu.

– Wiesz, byłem w grupie z jedną laską, która na widok krwi natychmiast padała na glebę. Teraz pracuje w jednej z najlepszych lecznic w stolicy i ogarnia radiologię lepiej niż wielu lekarzy. Jak szukała roboty, to się o nią zabijali. Nie musisz być od wszystkiego.

– Tak trochę na tym polega praca technika – powiedziała, szorując kleszczyki Peana, w których strzępek zakrzepłej krwi utknął wyjątkowo głęboko i upierdliwie.

– Niekoniecznie. – Wzruszył ramionami. – Ja kompletnie nie ogarniam labu. W gównie nie wiem, na co patrzę, a w moczu to już w ogóle nie umiem nic znaleźć. Nigdy nie wiem, czy to nabłonek, krwinka, czy tylko artefakt.

– No nie wiem... Boję się, że długo tu nie zagrzeję miejsca.

– Dlaczego? Jesteś bardzo dobra.

– Hm... Są lepsi ode mnie.

– Ale ich tu nie ma – stwierdził. – Ty za to jesteś i dajesz z siebie wszystko.

– Czyli zgadzasz się, że jestem tu tylko dlatego, że wszyscy lepsi są za daleko? – spytała z krzywym uśmiechem.

Szturchnął ją łokciem.

– Młoda, weź się za robotę, bo głupoty gadasz.

Zaśmiała się nieprzekonana.

Zyzio zaczął się budzić niedługo po zabiegu. Otulony kocem po uszy i z lekko nieprzytomną, rozmarzoną miną wyglądał jak Madonna bez dzieciątka. Na polecenie Izy Florka zadzwoniła do pana Mieczysława, by poinformować go, że operacja przebiegła bez komplikacji i psiak powoli dochodzi do siebie. Mężczyzna

podziękował bardzo wylewnie i zapewnił, że przyjdzie go odebrać tuż przed zamknięciem lecznicy. Jego uradowany głos nieco poprawił Florce nastrój.

Ku rozpaczy techniczki przyszedł czas na składanie zamówień w hurtowniach. Rozmowa z jednym z przedstawicieli zajęła jej pół godziny, bo na zmianę upewniał się co do listy potrzebnych rzeczy i namawiał na zakup nowych preparatów – w niezwykle atrakcyjnych cenach i pakietach – które w ogóle nie były w lecznicy potrzebne. Rozbawiony Bastian przyglądał się, jak Florka z czołem opartym na dłoni próbuje zakończyć rozmowę.

– Mhm. Mhm. Nie, dziękuję. Nie używamy olejków z CBD – mówiła, wyzuta z chęci do życia. – Mhm, tak, wierzę, ale dziękuję. Nie, tylko to, o co prosiłam. Strzykawki tuberkulinowe, nie insulinowe. Na pewno. To pan je sprzedaje i nie zna różnicy...? – jęknęła. Zauważyła wyszczerzonego Bastiana, złożyła palce w pistolet i udała, że strzela sobie w głowę. – Dobra, to może ja napiszę maila.

Dobrze, dziękuję, do widzenia.

Rozłączyła się pospiesznie, nim przedstawiciel zdążył zasypać ją kolejnymi ofertami. Zaraz po tym telefon zaczął dzwonić. Florka wcisnęła go faunowi w rękę.

– Odbierz! Ja mam już dość!

Bastian roześmiał się i odebrał połączenie. Techniczka usiadła przy laptopie i zaczęła pisać wiadomość do hurtowni. Izabela tymczasem zajmowała się magiczną pielęgnacją swojej rany. Przekręt przyglądała się jej uważnie.

Po chwili rozmowy faun z poważną miną zwrócił się do szefowej:

– Dzwoni wójt. Mówi, że po Cnotnicach wałęsają się duchy.

– Niech zawoła egzorcystę – odparła Iza.

– To duchy zwierząt. Przy lecznicy Lipowskiej.

Lekarka podniosła głowę. Florka również. Przyglądała się w napięciu Izabeli, na której twarzy odmalowało się więcej emocji niż przez cały czas, od kiedy techniczka ją знаła.

Po chwili Iza spytała:

– Chcecie mi towarzyszyć w nocy?

Samochód zajechał przed bramę lecznicy w Cnotnicach. Bastian patrzył na budynek z kwaśną miną. Florka rozejrzała się wokół. Zapadł już zmrok. W pobliżu nie było żywej – ani martwej – duszy.

Iza wyjęła z bagażnika sporą sportową torbę. Przy furtce nie było żadnego dzwonka, nikt też nie kwapił się, by wyjść na zewnątrz, więc sięgnęła przez otwarte okno do klaksonu. Po dłuższej chwili z budynku wyszła Honorata Lipowska. Otworzyła bramę z bardzo niezadowoloną miną.

– Dobry wieczór – rzekła Iza.

– Dobry – odparła Honorata. – Dziękuję, że pani przyjechała.

Delegacja ze Zrębek weszła na podwórko. Bastian skrzyżował ręce na piersi. Florka stanęła niepewnie obok niego. Lipowska obrzuciła fauna pogardliwym spojrzeniem, a po chwili zauważyła techniczkę.

– O – powiedziała z niejakim zdziwieniem. – Więc znalazła pani... inną pracę.

– Na to wygląda – odpowiedziała Florka z zakłopotanym uśmiechem. Zauważyła podejrzliwe spojrzenie Bastiana.

– Gdzie się pojawiają? – spytała rzeczowo nekromantka.

– Na padoku. – Lipowska wskazała na odległy skraj posesji. – Potem się rozłazą po okolicy i trudno je zobaczyć. Straszą mi konie.

– Jakie to gatunki?

– Psy. Koty. Może jeszcze jakieś, nie wiem. Niszczą płot, dobijają się do domu... Ksiądz powiedział, żeby rozsypać sól przed drzwiami i na parapetach, żeby nie weszły. Lepiej żeby zniknęły, bo klienci się boją.

Nekromantka pokiwała głową. Wyjęła z torby czołowe latarki UV. Dwie rozdała technikom, a trzecią założyła sama i pstryknęła. Doktor Honorata zmrużyła oczy przed ultrafioletowym światłem.

– Dla jasności – powiedziała Izabela – nie wiem, jakiego rodzaju to nawiedzenie i w jaki sposób je ukrócić. Otrzymała pani cennik?

– Gmina pokryje koszty – odparła Lipowska takim tonem, jakby wygrała dyskusję.

– Rozumiem. Zatem zaczynamy. Proszę się schować.

– Lepiej, żeby się udało – mruknęła na odchodne. Odeszła i zarygłowała się w lecznicy.

Florka odprowadziła ją wzrokiem, zaskoczona jej nieprzyjemnym zachowaniem. Z drugiej strony, kto nie byłby podenerwowany, gdyby pod domem kręciły mu się duchy?

Bastian prychnął.

– Nie ma za co – powiedział w stronę zamkniętych drzwi.

– Chodźmy. Włączcie latarki.

Technicy posłusznie ruszyli za nią. Niebieskofioletowe światło rozlało się wokół, potęgując upiorny klimat całego przedsięwzięcia. Florka czuła gęsią skórę.

– Nie wiem, co gorsze – powiedziała cicho do Bastiana. – Szukanie duchów po nocy czy zabieg półtonowego jadowitego lwa.

– Lew przynajmniej spał...

– One mogą nam zrobić krzywdę? – spytała Izabelę.

– To zależy od ich zamiarów – odparła lekarka. – Gniewne dusze potrafią oddziaływać na naszą rzeczywistość. Gdyby próbowały was atakować, sypnijcie w nie solą.

Wyjęła z torby po kilogramowym opakowaniu soli kuchennej i wręczyła technikom. Florka zapatrzyła się na nie i poruszyła bezgłośnie ustami.

– I to je powstrzyma? – spytała po sekundzie cienkim głosem.

– To dla nich jak sypnięcie piaskiem w oczy. Na chwilę odpuszczą.

Dziewczynę zadziwiła niewzruszoność Izabeli. Podczas gdy technicy rozglądali się lękliwie wokół, na niej nic nie robiło wrażenia.

Na ciemnym niebie migotały gwiazdy. Delikatny wiatr poruszył gałęziami pobliskiego drzewa. Z psiarni dobiegało popiskiwanie zaniepokojonych psów, a w stajence konie i kuce stukały kopytami. Wszystkie budynki były zamknięte na cztery spusty. Pod drzwiami i wrotami lśniły białą ścieżki soli, jakby naprószyl tam śnieg. Brakowało tylko tego, by okna były zabite deskami.

Trójka pogromców duchów przeszła przez bramę na padok. Blisko lecznicy ziemia była wydeptana, dalej rosła trawa wyskubana niemal do gruntu. Na brzegu pastwiska po lewej stronie widoczna była jakaś szopa otoczona krzewami. Świadomość tego, że w każdej chwili w świetle UV-ki może pojawić się duch, wywoływała u Florki lekką panikę, którą starannie zachowywała dla siebie. Stęskniona dusza królika, który chce się pożegnać ze swoją panią – to jedno. Co innego jednak włączyć się po zmroku w poszukiwaniu zjaw, które mogą chcieć zaatakować. Florka powiedziała ciociom, że jadą na nocną interwencję, ale nie zdradziła szczegółów. Miała szczerą nadzieję, że wyjdzie z tego bez uszczerbku na zdrowiu – czy to fizycznym, czy psychicznym.

Z oddali dobiegło długie, głucho, jeżące włos na głowie wycie. Nie przypominało wołania żadnego zwierzęcia. Brzmiało trochę jak dmuchanie w szyjkę butelki. Florka drgnęła i przykleiła się do boku Bastiana, a on złapał ją za ramię.

– To duch? – spytał szeptem.

– Dusza – poprawiła ją Iza.

Techniczka zaczęła pilnie się rozglądać, świecąc latarką we wszystkie strony. Miała wrażenie, że na najmniejszy odgłos po prostu wyskoczy ze skóry.

Szli przez padok, wypatrując zbłąkanych dusz, lecz wciąż się na żadną nie natknęli. W końcu Izabela powiedziała:

– Rozdzielmy się. Zapewne są rozproszone po całej łące.

– I co dalej? – spytał Bastian nieco cienkim głosem.

– Przyprawdźcie je do mnie. Wtedy spróbuję się dowiedzieć, czego tu szukają.

– Znaczy, jak mamy je przyprawdzić? Na „taś, taś”?

– Powinny same za wami podążyć. Zbłąkane dusze szukają kogoś, kto mógłby im pomóc.

– Wspaniale – mruknęła Florka.

– Pójdę tędy. – Iza wskazała na wprost przed siebie i odeszła.

Technicy spojrzeli po sobie.

– Ee... ja w lewo, ty w prawo? – zaproponował Bastian.

Florka przytaknęła. Rozeszli się z niepewnymi minami.

Dziewczyna zaciskała palce na opakowaniu soli ze szczerą nadzieją, że nie będzie musiała jej użyć. Dusze wcale nie są złe, powtarzała w myślach. One tylko szukają spokoju. Nie skrzywdzą mnie. Nie potrafiła jednak przekonać samej siebie, że nic jej nie grozi, nie po tym, co powiedziała Iza. Oczyma wyobraźni już widziała, jak sfera psich duchów rozszarpuje ją na strzępy.

Wciąż jednak nie natknęła się na żadnego. Dotarła do płotu okalającego padok. Obejrzała się przez ramię. Widziała w mroku dwie ruchome niebieskie poświaty. Odetchnęła głęboko i przeszła na drugą stronę.

Sucha trawa szeleściła pod jej stopami. Im dalej szła, tym bardziej nabierała przekonania, że żadnych duchów tu nie ma i Lipowska je sobie wymyśliła.

Wtem znów rozległo się to dziwne, mrozące krew w żyłach wycie. Blisko.

Dziewczyna stanęła jak wryta. Wtedy na skraju zasięgu światła z jej latarki zamajaczyła biała sylwetka.

Florka chciała zaczerpnąć garść soli, ale zdała sobie sprawę, że torebka jest zamknięta. Zaczęła się z nią szarpać w panice, widząc, jak podobna do smugi dymu postać zbliża się niespiesznie. Wtedy zdała sobie sprawę, że to lis.

Półprzezroczyste stworzenie stanęło w odległości trzech metrów. Patrzyło na nią, jakby zaciekawione. Przekrzywiło łebek i poruszyło niepewnie kitą.

Lis wydawał się równie zdziwiony co ona. Lipowska mówiła o psach i kotach, nie o leśnych stworzeniach. Jakie niedokończone sprawy mógł mieć lis? I czy nie był niebezpieczny? Co, jeśli ma wściekliznę? Po sekundzie Florka zdała sobie sprawę, jak idiotyczna była to myśl.

– Cz... cześć – wydukała. – Co tu robisz, lisku?

Zwierzak wciąż się jej przyglądał. Zrobiła niepewnie pół kroku w jego stronę. Nie poruszył się.

– Pójdiesz ze mną? – spytała. – Chodź, pogadasz sobie z Izą.

Cofnęła się nieco. Ten pochylił nieufnie łebek, a po chwili ruszył ostrożnie za nią.

– Dobry lisek – powiedziała cienkim głosem, starając się nie myśleć o tym, że śledzi ją duch. Idąc bokiem, by mieć na niego oko, ruszyła w stronę światełka, które powinno należeć do Izabeli.

Zmroziło ją, gdy gdzieś blisko rozległo się ciche wycie. Wtem w zasięgu światła latarki pojawiła się eteryczna sylwetka psa. Był średniej wielkości i szedł powoli ze zgarbionym, zjeżonym grzbietem.

Zatrzymał się. Florka ścisnęła torebkę z solą i bardzo ostrożnie, tak, by nie zrobić hałasu, otworzyła ją. Pies przyglądał się jej nieruchomy. Po kilku pełnych napięcia sekundach zrobiła parę kroków w tył. Pies i lis ruszyli za nią. Ich sylwetki rozmywały się delikatnie, lśniąc bielą w ultrafioletowym świetle. Dusze wyglądały, jakby ciągnęły za sobą falujące welony pajęczyn.

Florka przełknęła ślinę i ponowiła wędrówkę do Izabeli, szybciej niż wcześniej.

– Iza – syknęła, gdy znalazła się w pobliżu, nie odrywając wzroku od podążających jej śladem dusz. – Mam dwa.

Lekarka nie odpowiedziała. Techniczka obejrzała się przez ramię i zdała sobie sprawę, że światło latarki Izabeli jest zupełnie nieruchome i wycelowane w górę.

– Iza? – spytała lekko spanikowanym tonem.

Spojrzała na podążające za nią dusze. Dołączyła do nich trzecia. Był to jakiś nieduży ptak. Frunął ku niej jakby w zwolnionym tempie.

Porzuciła pozory i rzuciła się biegiem ku Izabeli. Nie oglądała się za siebie. Nie chciała zobaczyć upiorów, które za nią pędziły. Wystarczała świadomość, że to robią.

Gdy znalazła się przy lekarce, serce podeszło jej do gardła. Najpierw zauważyła czające się wokół dusze różnych zwierząt: kotów, małych i dużych psów, lisów. Nad nimi krążyły z wolna ptaki różnych gatunków, którym Florka nie miała czasu się przyglądać. Spomiędzy traw wyciągały nosy myszki, szczury, nawet jakiś królik czy dwa. Trzymały się skraju zasięgu światła, to pojawiając się, to niknąc, potęgując wrażenie, że są ich dziesiątki.

Izabela zaś klęczała na ziemi, odchyłona nienaturalnie do tyłu i z szeroko otwartymi oczami, bielszymi niż zwykle.

– Iza?! – szepnęła cienko Florka. Strach ścisnął jej gardło tak bardzo, że ledwo mogła wydobyć z siebie głos.

Rozejrzała się błędnie wokół. Lis, pies i ptak, które za nią przyszły, dołączyły do krążącego wokół stadka zwierząt.

– Florka? – dobiegło z oddali wołanie Bastiana. Dziewczyna ruszyła w jego stronę, pędząc zadziwiająco szybko jak na kogoś, komu nogi trzęsły się tak bardzo, że ledwo utrzymywał równowagę. Światło latarki fauna było jak płomień świecy w mroku.

Dopadła do niego i uwiesiła się jego koszuli.

– Bastian – wydusiła. – Pomóż...! Dusze, tam jest pełno dusz! Iza leży pokotem...

– He, he.

– Bastian, serio! – pisnęła z wyrzutem. – Coś jej się stało! Jakby straciła przytomność albo co... I tam jest pełno duchów! Okrążyły ją!

Obejrzała się spanikowana, gdy tknęła ją myśl, że może dusze podążyły za nią. Zobaczyła tylko majaczące kilkanaście metrów dalej białe smugi. Poruszały się jak morska piana na grzbietach delikatnych fal. Od ich strony nadleciał smutny zaśpiew.

Bastian zacisnął palce na przedramieniu Florki, aż zaboląło.

– Atakują? – spytał po cichu.

– Nie. Nie wiem! Krążą wokół niej. Jakby bały się podejść.

– Dobra – powiedział niezbyt pewnym tonem. – Chodźmy. Może... może te dusze... nie wiem, może coś nam powiedzą.

Dziewczyna złapała go mocno za ramię i przycisnęła woreczek z solą do piersi. Bastian wyciągnął swój przed siebie, jakby to był pistolet. Ruszyli powoli w stronę Izy.

Dusze czuwały w okręgu wokół nieruchomej lekarki, płynącym dym. Kiedy padło na nie światło z latarek techników, rozeszły się, jakby chciały uniknąć wykrycia. Florka spojrzała w bok i natychmiast zwróciła głowę z powrotem przed siebie, gdy napotkała puste oczy wpatrzonych w nią duchów.

Izabela wciąż leżała w bezruchu na ziemi. Bastian klęknął przy niej i potrząsnął za ramię, najpierw lekko, potem mocniej.

– Szeowo? Szeowo! – syknął.

– Żyje? – spytała szeptem Florka.

– A ja wiem?! Licze mają puls?

Podskoczył gwałtownie, gdy jeden z duchów zawył ponuro i wystąpił przed szereg. Pies pochylił groźnie głowę i obnażył zęby. Za nim z mroku wyłoniły się dwa koty ze zjeżonymi grzbietami. Gdzieś obok królik wyciągnął nos naprzód, jakby niepewny, czy chce podejść.

Florka zaczerpnęła drżącą dłonią garść soli. Faun ponownie szarpnął lekarkę za ramię.

– Iza, kurna, wstawaj – jęknął błagalnie.

Techniczka zawahała się przed rzuceniem solą w oczy dusz zwierząt – co, jeśli tylko je rozeźli? Rozsypała jej nieco wokół w nadziei, że to utrzyma je z daleka. Wpadła na fauna, gdy jeden z przezroczystych gołębi bezgłośnie nadleciał ku niej, ale wyhamował gwałtownie nad świeżą solą i umknął poza krąg światła.

Wtedy zauważyła, że zwierzęta zmieniły zachowanie. Przestały krążyć i zwróciły się wszystkie w jednym kierunku, spoglądając na trójkę poszukiwaczy duchów.

Nagle Iza się wyprostowała. Technicy podskoczyli ze strachu. Lekarka powiodła wokół spojrzeniem z obojętną jak oblicze posągu

miną. Zauważyła wpatrzonych w nią przerażonych Bastiana i Florkę.

– Chodźmy – powiedziała. – Chcą nam coś pokazać.

Wstała z klęczek i wzięła swoją torbę. Zupełnie nie zwróciła uwagi na zabrudzone spodnie. Zaczęła iść w kierunku, gdzie zwróciły się zwierzęta. Ruszyły z nią.

Technicy również, bojąc się odstąpić od nekromantki na odległość większą niż pół metra. Dusze płynęły w ciemności, wyglądając jak smugi łączących się dwukolorowych cieczy. Przystawały co chwilę i oglądały się wyczekująco na żywych. Niektóre nuciły cicho, przeciągle, ostrzegawczo. Poruszały się całkowicie bezgłośnie. Szelest trawy pod stopami kobiet i racicami fauna zdawał się ogłuszający.

– Co to w ogóle było? – spytał Bastian. – Opętały cię?

– Skomunikowałam się z nimi – odparła Izabela.

– I co powiedziały?

– Dusze nie operują słowami. Mogą przekazywać i odbierać jedynie intencje i emocje.

Przeszli nad płotem z powrotem na padok. Po chwili z ciemności wyłoniła się zrujnowana szopa otoczona chaszczami. Na ile można było to ocenić w niebieskawym świetle UV, deski, z których ją postawiono, były stare i zbutwiałe. Pokryty papą dach ugiął się, a na obrzeżach znajdowały się rozpięte pajęczyny, wokół których unosiły się nieświadome niebezpieczeństwa komary.

Dusze przystanęły i wpatrzyły się w Izabelę, Florkę i Bastiana. Techniczka zdała sobie sprawę, że cały czas ma dłoń silnie zaciśniętą na przedramieniu fauna, ale bała się go puścić.

Nekromantka zaczęła krążyć między duchami, wpatrzona uważnie w ziemię. Rozgarnęła stopą glebę w jednym miejscu, potem w drugim. Po chwili wyciągnęła ku faunowi nieduży szpadel.

– Sebastianie, sprawdź tutaj.

Przytaknął, delikatnie skłonił Florkę, by go puściła, po czym wziął łopatkę i zbliżył się do miejsca, które wskazała mu Izabela. Zaczął

kopać, rozglądając się nerwowo. Dusze przyglądały się jego poczynaniom z dziwnie ludzką uwagą.

– Ciężko tu się wkopać – powiedział, dźgając szpadlem ziemię. – Pełno tu korzeni i kamieni i... O kurde.

Iza wyciągnęła z torby zwykłą latarkę i wycelowała nią w miejsce przed Bastianem. Faun rozgarnął glebę na boki. W środku płytkiego dołu spoczywały białawe...

– Kości! – sapnęła Florka, tknięta nagłym zrozumieniem.

– Zobacz tutaj – podpowiedziała Izabela, wskazując na inny spłachetek ziemi.

Bastian drżącymi dłońmi zabrał się do pracy. Syknął cicho, gdy zauważył, że wraz z grudami wykopuje drobne kosteczki – być może gryzoni lub ptaków. Nieco głębiej natrafił na kolejny fragment szkieletu większego zwierzęcia.

W następnym dołku, który nekromantka poleciła mu wykopać, w miejscu, gdzie ziemia była świeżo naruszona, odkrył wciąż pokryte sierścią, rozkładające się ciało kota.

– To cmentarzysko – zauważyła Florka, kucnąwszy przy koledze. Popatrzyła na otaczające ich dusze. – Więc te wszystkie zwierzęta...

– To ich ciała – powiedziała Iza.

Techniczka wytrzeszczyła w niedowierzaniu oko. Wtedy zauważyła smugę bieli obok siebie. Dusza kota zbliżyła się ostrożnie do dołka, wyciągając szyję. Potem spojrzała na Florę i otworzyła pyszczek, jakby chciała miauknąć, ale rozległ się tylko ten dziwny, przypominający westchnienie odgłos.

Coś ścisnęło Florce gardło. Ostrożnie uniosła rękę w stronę kota. Podstawił łebek do głaskania i otarł się o jej dłoń. Sapnęła z wrażenia. Uczucie było takie, jakby dotykała bitej śmietany.

– Chcą godnego pochówku – oznajmiła Izabela.

Bastian złapał się za głowę i powiedział głośnym szeptem:

– To jakiś koszmar! To wygląda, jakby... – Zwrócił wzrok w stronę lecznicy. Jego głos nagle rozbrzmiał gniewem. – Ona zakopuje tu

swoich pacjentów. Wszystkie uśpione i padłe zwierzęta... No tak, już wszystko jasne!

– Ale jak to? – spytała Florka. – Przecież to nielegalne.

– Pewnie, ale po co płacić za kremację kilogramów trupów, skoro można je zakopać na podwórku?! A tak się zastanawiałem, czemu ludzie z krematorium zabierali tylko odpady... Myślałem, że może trupy jakoś na bieżąco im podrzuca, ale nie, ona je tu po prostu zakopywała!

Cisnął szpadel na glebę, usiadł, oparł ręce na kolanach i pokręcił głową. Spojrzał ze współczuciem na dusze psów, które węszyły w pobliżu. Izabela popatrzyła po zgromadzonych wokół eterycznych sylwetkach zwierząt.

– Dusze są wyczulone na intencje – rzekła. – Niektóre bardziej od innych. Lekceważący stosunek do nich mogą odebrać jako osobistą urazę, przez co nie mogą zaznać spokoju i odejść na plan niematerialny.

Bastian zacisnął usta i pokręcił głową. Potem znów się odezwał:

– Nie wiem, no ja rozumiem, że jakiś dzieciak albo dziadek zakopie chomiczka czy kotka, bo nie wiedzą, że na to są przepisy... ale robią to z szacunkiem. A one – machnął ręką wokół – zostały potraktowane jak śmieci.

Zapadła cisza przerywana cichym, przeraźliwie smutnym zawodzeniem dusz. Iza wyciągnęła aparat i zaczęła robić zdjęcia. Poprosiła Bastiana, by odkrył jak najwięcej szczątków, i wszystko dokładnie udokumentowała. Zwłok było dużo, bardzo dużo. Niektóre najmniejsze ciała, najpłycej pochowane, faun wykopywał przypadkiem razem z ziemią. Część z nich była na tyle świeża, by wciąż miały nienaruszone futro czy pióra. Im więcej ich odkrywał, tym wyraźniejszy stawał się kwaśny, suchy odór. Podłoże wokół szopy zdawało się całe składać z obleczonych poczerniałą skórą żeber i wyszczerzonych czaszek.

W końcu Iza schowała aparat i powiedziała:

– Chodźmy.

– Nic nie zrobimy? – spytała Florka.

– Nic nie możemy zrobić. Odejdą tylko wtedy, gdy osiągną to, na czym im zależy. – Po kilku sekundach dodała: – Albo kiedy się je wyegzorczykuje, ale nie zrobię tego.

Techniczka popatrzyła na otaczające ich dusze. Na widok małej, rozczochranej świnki morskiej, która mogła mieć najwyżej kilka dni, gdy umarła, znów ścisnęło jej się gardło.

– Nie martwcie się – powiedziała z nadzieją, że ją rozumieją. – Wszystko będzie dobrze.

Bastian podniósł szpadek, wstał i otrzepał spodnie. Wyciągnął dłoń do Florki. Dziewczyna nie ujęła jej od razu – miała ochotę każdą z obecnych tu dusz przytulić i zapewnić, że niedługo zaznają spokoju. W końcu podniosła się i wszyscy ruszyli w drogę powrotną.

Kilka dusz podążyło za nimi, lecz wkrótce odpuściły.

Lekarka i technicy milczeli, każde pogrążone w swoich myślach. Izabela szła na przedzie, oświetlając drogę. Za ich plecami co jakiś czas odzywał się smutny lament skrzywdzonych dusz.

Zwierzęta w stajni i psiarni również dawały wyraz swojemu niepokojowi, skamłając, rżąc i głośno tłukąc się w zamknięciu. W lecznicy i mieszkaniu nad nią nie paliły się żadne światła. Izabela podeszła do drzwi i załomotała w nie głośno. Bastian stanął tuż za nią z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Po kilku minutach otworzyła im doktor Honorata. Opatuliła się szlafrokiem i zmrużyła oczy przed światłem latarek.

– Tak szybko? – spytała. – I co, udało się ich pozbyć?

– Na terenie posesji odkryliśmy zakopane szczątki dziesiątek zwierząt. Ich dusze błądzą w okolicy w poszukiwaniu kogoś, kto zapewni im godny pochówek – oznajmiła Izabela bez pardonowo, lecz wciąż spokojnym tonem. Lipowska zrobiła na poły zaskoczoną i wystraszoną minę. Nekromantka bezlitośnie recytowała: – Pozwolę sobie przypomnieć rozporządzenie z dwa tysiące dziewiątego roku określające zasady postępowania z odpadami pochodzenia zwierzęcego, wedle którego zabronione jest grzebanie ich

w miejscach do tego nieprzeznaczonych. Za złamanie tego prawa grozi grzywna w wysokości kilku tysięcy złotych, a biorąc pod uwagę fakt, że mamy do czynienia z masowym grobem, podejrzewam, że kwota ta może być znacznie wyższa.

Honorata popatrzyła gdzieś w bok.

– Nie wiem, co to za szczątki. Mogły tu być na długo, zanim się tu wprowadziłam.

– Duża część z nich jest świeża – oznajmiła Izabela, wyjęła aparat i zaczęła pokazywać zrobione zdjęcia. – Można to bardzo łatwo rozpoznać po stanie rozkładu. Część z tych zwierząt została pochowana bardzo niedawno, w ciągu mniej niż tygodnia.

– Zdajesz sobie sprawę, że za coś takiego stracisz licencję? – spytał Bastian, łypiąc na byłą pracodawczynię spode łba. Ta się obruszyła.

– Chcecie zgłosić to Izbie? Proszę bardzo, wszystkich tam znam, nic mi nie zrobią.

– Nie, jeśli o sprawie dowie się wójt – mówiła spokojnie Izabela. – Ciała udomowionych i dzikich zwierząt pogrzebane na prywatnej posesji w takiej liczbie to zagrożenie środowiskowe i epidemiologiczne, którego nie będzie mógł zignorować. Domyślam się też, że będzie zaskoczony faktem, że zwierzęta bezdomne, za których utylizację zapłaciła gmina, zostały zakopane na posesji.

Lipowska zwilżyła nerwowo usta i pokręciła głową, udając nonszalancję.

– Dobrze, załatwmy to inaczej – powiedziała. – Pozbądźcie się tych duchów w cholere, już mogę za to zapłacić. A wójtowi powiemy, że sprawa rozwiązana i tyle.

– Nie – oznajmiła Izabela. – Tym duszom należy się zadośćuczynienie. Odkryj wszystkie ciała i oddaj je do krematorium. Nie dokonam na nich egzorcyzmów.

– To znajdę kogoś, kto dokona – warknęła Lipowska.

– A ja poinformuję o sytuacji wójta i Izbę Lekarsko-Weterynaryjną.

– Och, a może ja powinnam opowiedzieć im o praktykach „doktor” – tu nakreśliła palcami cudzysłów – nekromantki, która

usypia zdrowe zwierzęta, leczy potwory i naraża życie swoich techników?

Ostatnie słowa wypowiedziała, patrząc na Florę. Dziewczyna spieszyła się i odwróciła wzrok.

– Izba zna zakres mojej działalności i nie wyraziła sprzeciwu – oznajmiła Izabela.

– Wyrazi, kiedy dowie się o tym, co się tam w tych Zrębkach wyprawia.

– O ile wiem, to nie na mojej posesji znajduje się masowa mogiła.

Florka przyglądała się tej wymianie zdań zafascynowana. Napięcie między kobietami było namacalne. Doktor Lipowska, wysoka jak brzoza i wściekła jak chmura gradowa, a naprzeciw niej lekarka-nekromantka, niższa od niej o więcej niż głowę, z wyrazem obojętnego spokoju na dziewczęcej twarzy. Mierzyły się wzrokiem tak, jakby jedna była agresywnym psem, a druga pełnym pogardy kotem.

Wreszcie Honorata prychnęła poirytowana.

– Dobrze już, niech będzie, wywozę to wszystko do pieca – powiedziała tonem, jakby robiła tym komuś wielką łaskę. – Jeśli duchy nie znikną, wrócimy do tej rozmowy.

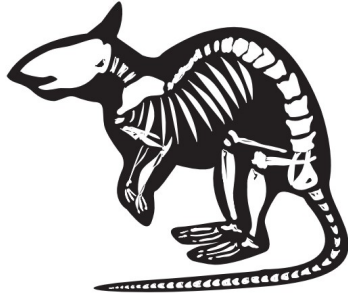
– Fakturę wyślę mailem – odparła po prostu Izabela, skinęła uprzejmie głową, po czym odwróciła się i odeszła.

Technicy ruszyli za nią. Bastian nachylił się ku szefowej.

– Zostawimy to tak? – spytał szeptem. – Przecież tej babie należy się odebranie praw do wykonywania zawodu.

– Ona ma podobne zdanie o mnie. A ja nie jestem w tak dobrych stosunkach z Izbą Lekarsko-Weterynaryjną.

Zamknęła torbę w bagażniku i zajęła miejsce za kierownicą. Technicy wymienili smutne spojrzenia i usiedli na tylnych siedzeniach. Gdy Florka zamykała drzwi, usłyszała dobiegający z oddali płacz z zaświatów.



ROZDZIAŁ V
PROBLEMY
PARZYSTO-
I NIEPARZYSTOKOPYTNYCH

Długi czas jechali w milczeniu. Florka sprawdziła telefon. Dochodziła pierwsza.

– Nie zmrużę dzisiaj oka – powiedziała z westchnieniem.

– Ja też – mruknął Bastian, zapatrzony obojętnie na przesuwaną się za oknem widok. Spojrzał na dziewczynę. – Może chcesz wpaść do mnie na piwo?

Zamyśliła się, zacisnąwszy usta. Jeszcze raz zerknęła na telefon. Ciocie zapewne spały, nie chciała im przeszkadzać swoją potrzebą kontaktu z kimś po tym, czego była świadkiem.

– Okej – powiedziała.

Bastian nachylił się ku Izabeli.

– Odstaw nas do mnie, dobra?

– Dobrze – odparła. Po chwili dodała: – Jutro nie mam żadnych zabiegów. Możecie oboje przyjść na popołudnie.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Gdy znaleźli się na miejscu i Iza odjechała, faun przystanął przed bramą, grzebiąc w kieszeniach w poszukiwaniu kluczy. Florka zagadnęła:

– Sebastian?

Westchnął.

– Nie lubię, jak ludzie mówią na mnie Seba.

Otworzył furtkę i przepuścił Florę przodem. Popatrzyła na dom. Był niepozorny, mały i otoczony niedużym podwórkiem. Stała jak wryta, gdy usłyszała tupot łap, a po chwili zza budynku wypadł średniej wielkości pies.

– Spokojnie, nic ci nie zrobi – powiedział faun, zamykając furtkę. Kucnął i wyciągnął szeroko ręce. Rozradowany psiak wpadł mu w ramiona. – Czeeeść! Stęskniłeś się? Chodź, wariacie, no chodź.

Szorstkowłosy, beżowo-czarny kundelek dopiero po chwili zdał sobie sprawę z obecności obcego człowieka na posesji. Podszedł do Florki i obwąchał ją powierzchownie, bo nie miał czasu na więcej, gnany pragnieniem wylizania jej po twarzy. Pogłaskała go po bokach.

– Jak się wabi?

– Chojrak. Ale reaguje też na „wariat”. Nie, ty wariacie?

Wraz ze slalomującym między nimi psiakiem weszli do domu. Wnętrze prezentowało się dość staromodnie: ściany wyłożone były boazerią, która prawdopodobnie pamiętała czasy wprowadzenia stanu wojennego, a ułożone w jodełkę deski podłogi skrzypiały niemiłosiernie. Wszędzie rozłożone były mniejsze i większe dywaniki, jak ścieżki wydeptane na trawniku. Florka zdjęła buty, a faun odłożył je do szafki.

– Trzeba to schować, Chojrak rzadko widuje buty i lubi się nimi bawić – powiedział. – To co, kawa, herbata, piwo, energetyk?

– Ech... piwo. Może jak się upiję, to mój mózg łatwiej przetworzy tę akcję z duchami.

– Taa... – mruknął. Zniknął za wiszącą w przejściu do kuchni kurtyną z koralików i po chwili wrócił z trzema butelkami piwa. – Wszystkiego się spodziewałem, ale nie czegoś takiego.

Zaprowadził dziewczynę do niewielkiego saloniku. Gruchnął na fotel, założył nogę na nogę i oparł racice o stół do kawy, na którym w eleganckim stosie leżały magazyny i katalogi sprzętu sportowego. Florka usiadła na kanapie, na którą natychmiast wskoczył Chojrak, wpatrzony w dziewczynę z nadzieją. Poglaskała go i zapatrzyła się na ładny, choć nieco kiczowaty obrazek oklejony bursztynem, przedstawiający morski widoczek.

– Mieszkasz sam? – spytała.

– Ano.

– Stać cię na to z pensją technika? – Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Jakoś idzie. Mam trochę oszczędności. Wcześniej robiłem w IT, ale stwierdziłem, że mam tego dość, i poszedłem do szkoły na technika.

Otworzył jej i swoje piwo i pociągnął kilka łyków. Florka obróciła butelkę w dłoniach, zamyślona.

– Hm... Długo pracowałeś u Lipowskiej?

Faun się skrzywił.

– Trzy miesiące. O trzy za dużo.

– Co tam się działo?

Napił się, pokręcił głową i wypuścił powietrze z parsknięciem.

– To, co się tam dzieje, zasługuje na reportaż w telewizji. Zaczniemy od tego, że Lipowskiej prawie tam nie ma. Całymi dniami szczepi kury na fermach albo jeździ na koniku w rozwianej sukni.

Florka zmarszczyła brwi, przypomniawszy sobie, jak Honorata mówiła, że jest jedynym lekarzem.

– To kto tam przyjmuje pacjentów?

– Techniczki. I leczą też. Chociaż „leczą” to dużo powiedziane, w każdego zwierzaka ładują na dzień dobry antybiotyk, z czymkolwiek by przyszedł, i wymyślają jakieś duby smalone. –

Prychnął. – Piesek kaszle? Antybiotyk w dupę i do domu. Kotek rzyga? To samo. Królik od trzech dni nie je i nie bobczy? Sok z ananasa do paszczy i antybiotyk w dupę!

– Co? Tak same diagnozują?

– Same! Mnie też Honoratka próbowała do tego zmusić, ale powiedziałem, że nie ma mowy, i to jeden z powodów, dlaczego mnie nie cierpi. A te tępe dzidy są zachwycone, że mogą się pobawić w lekarza. Ludzie przychodzą na kolejne wizyty i proszą o „doktor Zuzię” i „doktor Basię”, a nie wiedzą, że ich największe weterynaryjne osiągnięcie to zaliczenie egzaminu z kiszonek i obliczania pojemności płyty obornikowej! Robią wszystko, nawet chirurgię, i to nie tylko kastracje kotów.

Florka wytrzeszczyła oko.

– Bez jaj.

– No, serio. Zresztą doktor Honoratka – powiedział przesłodżonym tonem, składając podbródek na splecionych dłoniach – wcale nie jest od nich lepsza. Raz przyszła jakaś kobieta umówić królika na sterylizację. Zapisalem ją i wyjaśniłem, jak przygotować do zabiegu i w ogóle. Jak wyszła, to doktorka do mnie, że „łaa, nie wiedziałam, że królikom się nie robi głodówki przed zabiegiem”. To był pierwszy raz, jak robiła królika, mam, kurde, nadzieję, że przeżył.

Florka słuchała tego wszystkiego, coraz wyżej unosząc brwi z niedowierzania.

– Przecież to się nadaje na kryminał – powiedziała.

– Sama słyszałaś, ma takie znajomości w Izbie, że nikt jej nic nie zrobi. Inspekcja przyjdzie, wypije z nią kawę i przystempluje, że wszystko jest super. Jak już stamtąd odszedłem i się dowiedziała, że opowiadam wszystkim, co tam się wyprawia, wydzwaniała do mnie i darła się, że złoży pozew o zniesławienie. To szajbuska. – Popukał się palcem w skroń.

– To jakim cudem to jeszcze stoi?

– Och, Lipowska umie się maskować, a oprócz tego wypromować jak nikt. Jeździ z kucykami do przedszkoli i robi wywiady dla

lokalnych gazet o ciężkim i pięknym życiu weterynarza. Ludzie ją kochają, bo nie wiedzą, że za tą medialną zasłonką jest kompletny konował.

Westchnął ciężko i zapadł się w fotelu. Chojrak zszedł z kanapy i podszedł do swojego pana, żebrząc o uwagę. Faun potargał mu uszy.

Florka uniosła wysoko brwi, sącząc piwo.

– Grubo – stwierdziła ponuro.

– Mogę tak długo wyliczać, co tam się odwała... ale duchów zwierząt zakopanych pod płotem chyba nic nie przebije.

– Trochę tego nie rozumiem – powiedziała Florka, obracając butelkę w dłoniach. – Iza mówiła, że to się rzadko zdarza. Że dusze zwierząt chodzą po świecie głównie wtedy, kiedy się do czegoś przywiążą.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Podobno duchy lubią się gromadzić. Kilka zaczęło błądzić i dalej już poszło. Dlatego często jest ich tyle na cmentarzach.

Pokiwała głową. Przez chwilę pili w milczeniu.

Florka zdała sobie sprawę, że nie wiedzieć kiedy opróżniła już całą butelkę. Bastian otworzył i wyciągnął ku niej drugą. Zawahała się, po czym wzięła ją i od razu pociągnęła kilka łyków.

– Nie dawaj mi więcej, mam słabą głowę – przestrzegła.

– To dobrze, może uda ci się zasnąć.

– Nie mam ochoty na urwany film – mruknęła. Westchnęła ciężko. – Chyba... zaczyna mnie to przerastać.

– Widmo kaca?

– Nie, mam na myśli tę pracę. – Zaczęła bezwiednie skubać etykietę. – Myślałam, że będzie fajnie, że będą magiczne zwierzątka i w ogóle... A ja co, pierwszego dnia dałam sobie wyłupić oko, potem napadła mnie mantykora, teraz te duchy w polu... One były takie smutne. Ten kot, co podszedł, on tylko chciał, żeby mu okazać trochę czułości... I te psy... Może to były jakieś znajdy, jakieś bezdomniaki

wyłapane z gminy, co nigdy nie miały domu i szukają go nawet po śmierci...

Głos zaczął jej się załamywać. Pociągnęła łyk piwa, mrugając intensywnie, i niemal od razu się zakrztusiła. Bastian wstał, podszedł i poklepał ją w plecy, aż się złożyła wpół, ale zaraz musiała się wyprostować, bo Chojrak przyskoczył do niej i zaczął ją lizać po twarzy. Zaśmiała się... i natychmiast po tym rozplakała.

– Hej, hej, spokojnie – powiedział nieco wystraszony faun.

– No bo to jest takie... okropne! – jęknęła cienko. – W lecznicy jak przyjdzie jakieś zaniedbane zwierzę, to nawet jak jedyne, co zostało, to je uśpić, to wiem, że mogę mu jakoś pomóc, cokolwiek, jakoś mu ulżyć... I to łatwiej przełknąć, bo nie masz czasu się nad tym zastanawiać, rzucasz się mu na pomoc i działasz... Ale z innymi nic nie możesz zrobić, z tymi duchami, z innymi zwierzętami, na całym świecie, gdzie ciągle ktoś się nad nimi znęca... i ja nie mogę tego wytrzymać.

Zasłoniła twarz dłonią, palce drugiej zacisnęła na butelce i załkała, choć próbowała się powstrzymać. Bastian objął ją ostrożnie.

– No wiem, wiem – powiedział cicho. – Też tak czasem mam. Ale całego świata nie zmienimy. Możemy się skupić na lokalnych problemach i tutaj dać z siebie wszystko.

Pociągnęła nosem.

– Niby tak – mruknęła nieprzekonana. – Ale w tych Cnotnicach... Co my możemy zrobić z Lipowską? Izbę ma w kieszeni...

– Nie martw się, dojedziemy ją jakoś – zapewnił, ściskając jej krzepiąco ramiona. – Możemy ją zaspamować negatywnymi opiniami w necie. Albo poprosić mantykorę, żeby jej nasrała na wycieraczkę.

– Albo ją zjadła.

– O, czyli nie chcesz się bawić w półśrodki?

Prychnęła, ocierając łzy.

– Tak tylko gadam, bo wiem, że to niemożliwe.

– Ja bym nie był tego taki pewien. Iza na pewno ma kontakty z jakimiś potworami i czarownicami.

Przez dłuższą chwilę Florka milczała, próbując powstrzymać łzy, choć miała ochotę po prostu zwinąć się w kulkę i pozwolić głaskać. Potem coś innego wpadło jej do głowy.

– Myślisz, że Iza mnie lubi? – spytała cienkim głosem.

– A skąd pomysł, że mogłaby nie?

– Nie wiem – jęknęła niewyraźnie przez zatkany nos. – Bo ona jest taka... oschła. Jakby tylko mnie znosiła i nic więcej. W ogóle się nie uśmiecha.

– Iza się do nikogo nie uśmiecha. Ona po prostu taka jest. Nie powiedziałbym, że oschła, raczej... zdystansowana do rzeczywistości. Może zawsze taka była, a może śmierć jej zaszkodziła. Z pewnością nic do ciebie nie ma.

– Na pewno mnie wyleje.

– Niby czemu?

– Bo jestem do niczego.

– Aj tam, pierdolisz – powiedział i potrząsnął nią lekko. – Nie zrobiłaś niczego, co by cię kwalifikowało do wylania. – Umilkł na chwilę. – Wiesz, o co mnie oskarżyła ta pinda z Cnotnic? Że zabiłem małego kociaka. Wsadziła kotkę z młodymi do dużej klatki kennelowej i zamknęła je w pokoju z puszczonej luzem psami. Jeden kot, oczywiście, wyszedł, bo trudno, żeby nie, kiedy kraty są szersze od niego, i psy go zagryzły. A ona twierdziła, że to dlatego, że nie zamknąłem drzwiczek klatki. Nigdy się tak na nikogo nie wydierałem, serio. Do tej pory mną trzęsie, jak o tym myślę.

– I ona tyle zwierząt doprowadza do śmierci, a my nic nie możemy z tym zrobić – powiedziała dziewczyna i znów zaniosła się płaczem.

Bastian westchnął ciężko.

– Florka, błagam, kończą mi się pomysły, jak cię pocieszyć. Chcesz lody? A nie, nie mam... Może czekoladę?

Pokręciła głową i wytarła nos rękawem.

– Powiedz, że będzie dobrze – poprosiła.

Poklepał ją po głowie.

– Będzie dobrze. Naślemy mantykorę na Lipowską i od razu życie stanie się piękniejsze. – Popatrzył na nią. – I co? Lepiej?

Pokręciła głową z butelką w zębach. Bastian sięgnął po leżący na stoliku pilot od telewizora.

– Obejrzyjmy sobie coś głupiego. Widziałaś ten dokument o powalonym kolesiu z Ameryki, co trzyma zhengi?

Wciąż łkając cicho – co po niedługim czasie przeszło w czkawkę – zapatrzyła się w ekran. Z czasem jej myśli przestały krążyć wokół dusz na padoku Lipowskiej i wciągnęła się w oglądanie serialu dokumentalnego o ekscentrycznym właścicielu zoo, w którym główną atrakcją były rozmnażane na potęgę zhengi, podobne do leopardów mityczne bestie z Chin. W pewnym momencie znów się rozplakała, bo pokazano zamrażarki pełne martwych kociąt. Wtedy Bastian delikatnie zabrał jej opróżnioną do połowy butelkę piwa. Chojrak ułożył się na nogach swojego pana, a głowę z namaszczeniem złożył na kolanach dziewczyny. Obejrzelili dwa odcinki; przy trzecim Florka zaczęła przysypiać z głową na ramieniu fauna. Nie wiedzieć kiedy pogrążyła się we śnie pełnym duchów i pięcioogonowych, jednorogich leopardów.

Gdzieś zza ściany dochodziło głośnie szczekanie. Florka zmarszczyła brwi. Od kiedy ciocie mają psa? Przetarła piekące oko. Podniosła się na łokciach, rozejrzała na wpeł przytomnie i przypomniała sobie, gdzie jest i dlaczego. Leżała na kanapie w saloniku Bastiana, przykryta brązowym kocem ze wzorem w tygrysy.

Faun zajrzał do pokoju. Wyszczерzył się szeroko.

– No hej, jak tam głowa?

W odpowiedzi Florka jedynie uniosła kciuk. Opuściła nogi na podłogę i przeczesowała włosy palcami.

– Która godzina? – spytała.

– Późna. Za dwie godziny zaczynamy robotę. „Nie zasnę, nie zasnę” – przedrzeźnił ją – a spałaś tak, że nie mogłem cię dobudzić.

Podszedł i włożył jej w ręce kubek herbaty. Do pokoju wparował Chojrak, merdając wesoło ogonem. Florka dmuchnęła w gorący napar.

– Jak już mi się uda, to nie po to, żeby mnie byle co obudziło.

– Pff, dzięki. Chcesz pierogi? Z serem, kupne, ale na bezrybiu i rak ryba...

Sprawdziła wyciszony telefon. Miała dwie wiadomości i nieodebrane połączenie od cioci Laury. Odpisała, że wszystko w porządku i że wróci po pracy.

– Może być – odparła. Odwróciła wzrok, zawstydzona. – Hm... Sorry, że tak się rozkleiłam wczoraj. Po alko robię się trochę... płaczliwa.

– Nie przejmuj się. Ale nie strasz mnie tak więcej.

Poszli do kuchni. Bastian zabrał się do odsmażania pierogów, a Florka usiadła przy stole, głaszcząc Chojraka, który położył jej głowę na kolanie.

– Jeszcze jedna nocna akcja w tym tygodniu i padnę – mruknęła.

– Ech, ja też. Mam wrażenie, że w ogóle z roboty nie wychodzę. Chcesz pójść na spacer w niedzielę? – spytał po chwili.

Zamyśliła się.

– Czemu nie – odparła. – Mogę po kościele.

– O. Nie wiedziałem, że jesteś religijna.

Florka wzruszyła ramionami.

– Skoro wróżki, mantykozy i duchy istnieją, to Bóg też.

– Hm. No, może coś w tym jest. Ile zjesz?

Po śniadaniobiedzie dziewczyna spytała, nieco zmieszana, czy może wziąć prysznic przed wyjściem – nie chciało jej się iść taki kawał do domu tylko po to, by zaraz wrócić tą samą trasą do pracy i uznała, że protezę może umyć na miejscu, jako że w lecznicy był duży zapas soli fizjologicznej. Bastian odniósł się do tego zupełnie neutralnie i bez głupich komentarzy, za co była mu wdzięczna.

Po tym, jak oboje się odświeżyli i obejrzelili jeszcze jeden odcinek dokumentu o dziwaku z Ameryki i jego umiarkowanie legalnej hodowli zhengów, udali się do pracy. Na miejscu zastali Izabelę w gabinecie. Mamrotała zakłęcia nad swoim przedramieniem, muskając rany po pogryzieniu kościaną różdżką.

– Jak ręka? – spytał Bastian.

– Odzyskuję czucie – powiedziała między jedną magiczną formułą a drugą – ale muszę działać powoli.

– Och. – Florka wyciągnęła szyję zaciekawiona. – Myślałam, że, hm, w ogóle nie masz czucia.

Iza nie odpowiedziała od razu, skupiona na swoim zadaniu.

– Później wam opowiem – rzekła i przestała zwracać na nich uwagę.

Techniczka zacisnęła usta i pospiesznie podreptała na zaplecze, a faun tuż za nią.

– Widzisz, nie lubi mnie – szepnęła.

– Spoko, ja cię lubię, wyrównuje się.

– Lubisz czy tylko tolerujesz?

Dał jej kuksańca i poszedł prosto do pomieszczenia socjalnego. Mijając klatki, Florka zauważyła w jednej Zyzia. Psiak był podłączony do kroplówki i leżał smutny na kocu, ale zobaczywszy dziewczynę, uderzył kilka razy ogonem o podłogę. Spojrzała na przyczepioną do krat kartę szpitalną i przeczytała informacje. Wedle wywiadu i oględzin Zyzio nie chciał jeść, wciąż miał biegunkę zabarwioną na złoto, temperaturę w normie i nieznacznie obniżony poziom glukozy. Pod spodem wypisana była lista podanych leków.

– No i co żeś narobił? – spytała, kucnąwszy przed klatką. – Warto było?

Zyzio w odpowiedzi pacnął dwa razy ogonem.

Florka podskoczyła, gdy nagle w pomieszczeniu rozległ się głos Izy:

– Jego rokowania nie są najlepsze.

– Czemu? Wydaje się nie najgorszy.

– Wrózkowy pył na długo zostaje w organizmie. Mimo że zadziałaliśmy dość szybko, będzie stopniowo go zatruwać.

– Ale możemy to zatrzymać, prawda?

Izabela odłożyła różdżkę do czarnej skrzynki i zajęła się owijaniem przedramienia bandażem. Rany wyglądały na połowicznie zabliznione.

– Nie będzie łatwo powstrzymać ten proces. Jeśli uda się go ustabilizować, do końca życia będzie musiał brać leki.

– Nie mamy jakichś magicznych remediów? – spytał Bastian, który właśnie wszedł do pomieszczenia przebrany w czysty fartuch. – Smocze łuski, jad żmija czy inne paskudztwo? Albo może by pogadać z duchem trzustki, żeby się nie rozpadła?

– Gdyby każdą chorobę można było wyleczyć magią, nie potrzebowalibyśmy lekarzy. Zresztą jest zbyt słaby, by próbować na nim magii, szczególnie że pył piksów upośledza zdolność wpływania na ducha. Jedyne, co możemy zrobić, to kontynuować farmakoterapię i starać się wypłukać pył z organizmu.

Florka wykrzywiła usta i zapatrzyła się na Zyzia. Po chwili wstała i poszła do pomieszczenia socjalnego.

W swojej szafce znalazła Przekręt – siedzenie tam zaczęło wchodzić szczurzycy w nawyk. Florka podniosła ją z lekkim wahaniem i odłożyła na krzesło. Usłyszała ruch w poczekalni, więc pośpiesznie przebrała się w fartuch, po czym ruszyła w stronę gabinetu.

Nagle zderzyła się z Bastianem – krzyknęli krótko, a wokół roztoczył się smród kocich sików. Faun zamarł w bezruchu z otwartym pojemnikiem na mocz i w ubraniu zalanym jego zawartością.

Florka zasłoniła usta dłońmi.

– Przepraszam – pisnęła.

Sądząc po intensywności zapachu, próbka należała do niekastrowanego kocura. Bastian zacisnął usta i unióśł wysoko brwi.

– To był mój ostatni czysty fartuch – wycedził.

– Przepraszam, nie chciałam...

Spojrzał w dół i przestąpił z nogi na nogę. Kocie siki zalały również szorty. To było aż nie do wiary, że właścicielom udało się zebrać ich tak dużo.

W końcu Bastian parsknął śmiechem.

– No dobra, czego się spodziewałem, łażąc z otwartym pojemnikiem. Masz, baw się dobrze.

Wręczył jej plastikowy pojemniczek, w którym została resztką moczu. Florka zachichotała słabo, wzięła próbkę i zabrała się do badania.

Kiedy czekała na wynik z analizatora, Bastian wrócił do laboratorium w swoim codziennym T-shircie i szortach mokrych od powierzchniowego przemycia.

– Nie masz spodni na zmianę? – spytała Florka.

– Mam do wyboru albo to, albo paradowanie półnago.

– Hm, no tak, to by mogło być niezręczne – powiedziała, wpatrując się w okular refraktometru.

Faun przysiadł na blacie i skrzyżował ręce na piersi.

– Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nikt by nie zwrócił uwagi. Nawet nie wiesz, ilu ludzi się dziwi, że nie paraduję z gołym tyłkiem – mruknął z przekąsem.

Za drzwiami wyjrzała Izabela. Spojrzeli na nią jednocześnie.

– Będę potrzebować jednego z was do akcji w terenie – oznajmiła. – Ktoś musi zostać z Zyziem.

Po tych słowach udała się w głąb zaplecza. Bastian klepnął Florę w ramię.

– No, to powodzenia.

– Nie chcesz jechać? – spytała, starając się nie brzmieć tak, jakby migąła się od pracy. Prawda była taka, że obawiała się być z małomówną Izą sam na sam w samochodzie. – Popatrzeć na mityczne stworzonka?

– Od tego mam lustro. – Wyszczrzył się, po czym wskazał na swój strój. – Wolałbym uniknąć wracania do domu usmarowany łajnem.

– Hm... okej. To do zobaczenia.

Pomogła lekarce zanieść ciężkie torby do bagażnika, po czym zajęła tylne siedzenie. Spojrzała przez ramię na oddalającą się lecznicę.

– Dokąd jedziemy? – spytała.

– Do stadniny w Pogrzebnie.

Florka chciała wypytywać dalej, ale lakoniczność odpowiedzi Izabeli ją speszyła. Zapatrzyła się na widok za oknem, wmawiając sobie, że wcale nie jest spięta.

Podróż zajęła im nieco ponad pół godziny. Wjechały na podwórze dużej stadniny – nie wyróżniała się na tle innych nie wiadomo jak wielkim przepychem, ale wyglądała na bardziej prestiżową niż mała szkółka jeździecka. Florka wysiadła i się rozejrzała. Od strony stajni i położonych za nią padoków dobiegały odgłosy stukania kopytami i znużonego parskania.

Po chwili wyszedł im naprzeciw tęgi mężczyzna w kowbojskim kapeluszu. Uchylił róna i wyciągnął rękę.

– Dziękuję, że tak szybko pani przyjechała – powiedział do Izabeli i spojrzał z niepokojem na jej szarawą dłoń, gdy ją uścisnął. – Hm, tędy, zapraszam.

– Proszę mi przypomnieć, jak długo to trwa? – spytała lekarka.

– Wczoraj jeszcze biegał! – zapewnił. Iza rzuciła Florce ponure spojrzenie i dziewczyna z trudem powstrzymała śmiech. – A dzisiaj o, nie chce się z miejsca ruszyć. Wystawa za trzy dni, a on mi robi takie numery. To mój najlepszy ogier, musi wyzdrowieć na czas.

Minęli budynek stajni. Na widok zwierzęcia, które czekało na padoku, techniczka wytrzeszczyła oko.

– To hippalektrion?! – spytała ze zdumieniem.

– Dwukrotny czempion – rzekł z dumą w głosie właściciel. – Jeszcze nie było takiej wystawy, na której by nie zajął podium. Nazywa się Arche.

Stojące w bezruchu majestatyczne stworzenie wyglądało jak połączenie konia i koguta. Tylne nogi były ptasie, podobnie jak

imponujący szmaragdowozielony koguci ogon. Tułów pokrywały lśniąca brązowe pióra, do boków przyciśnięte miał wielkie skrzydła. Łeb przypominał koński, lecz zamiast pyska miał dziób. Arche odciążał lewą przednią nogę, zaledwie muskając piach kopytem.

Florka nie mogła oderwać od niego wzroku. Nie miała pojęcia, że w pobliżu Zrębek znajdowała się hodowla hippalektrionów. Lubiła konie, dzieciństwo spędziła w siodle, ale nigdy nie widziała z bliska żadnego z mitycznych krewnych tego gatunku.

– Stoi tak od dwóch godzin – powiedział mężczyzna. – Ja nie wiem, czy nogę złamał, czy co... Ale nawet nie miał kiedy ani gdzie!

– Złamania na pewno nie wyleczymy w trzy dni – oznajmiła Iza i przeskoczyła przez płot. Właściciel poszedł za nią przez bramkę, a po chwili zawahania Florka również.

– Myślałem, że może jakimiś czarami... Proszę uważać, on ma naprawdę wielkie ostrogi, raz prawie mnie zabił.

Lekarka zbliżyła się ostrożnie do hippalektriona. Łypnął na nią jednym okiem i stulił uszy, ale wyglądał na zrezygnowanego. Skóra na wygiętej w łuk szyi nawet nie drgnęła, gdy co i rusz siadały na niej muchy. Pióra zwisającego smętnie ogona szeleściły cicho na wietrze. Iza wyciągnęła dłoń i dotknęła jego ganaszki. Nie zareagował.

Florka stanęła w stosownej odległości od Arche, przyglądając się poczynaniom Izabeli. Ta kucnęła przy przednich nogach hippalektriona i obmacała uniesioną kończynę, zaczynając od stawu nadgarstkowego. Powoli schodziła niżej. Zatrzymała się na dłużej przy pęcinie, zerkając w górę, ale zwierz wciąż nie reagował. Drgnął, kiedy dotknęła kopyta. Rozłożył skrzydła tak gwałtownie, że jednym prawie uderzył Florke.

– Jest gorące – oznajmiła Iza. – To wygląda na ochwat.

– Gdzie tam ochwat – zachnął się mężczyzna. – Zdrowy jak koń, nomen omen, nic się z nim nie działo, dopiero dzisiaj coś zaczął wymyślać.

Nie skomentowała. Wstała, złapała za kantar i spróbowała nakłonić Arche do stępa. Długo nie chciał się ruszyć. W końcu, po silnym pociągnięciu, niechętnie zrobił kilka kroków, po czym znów stanął. Wyraźnie kulał na lewą przednią nogę.

– I twierdzi pan, że wczoraj biegał? – spytała lekarka.

– Zasuwał jak mały samochodzik!

– Nie miał ciężkich treningów? Co dostaje do jedzenia?

W czasie gdy Izabela zbierała wywiad, Florka pozwoliła sobie podejść do Arche. Nie zwrócił na nią większej uwagi. Pogładziła lśniąca kasztanowatą szyję, potem łopatkę, gdzie sierść stopniowo zastępowana była piórami.

Na pobliskim okólniku ktoś lonżował klacz. Była mniej kolorowa od ogiera, brązowa z kurzym kuprem. Poruszała się z dziwnego rodzaju gracją – nie tak płynnie jak zwykle konie, ale niemniej intrygująco. Florka wyciągnęła telefon, zrobiła kilka zdjęć i wysłała jedno Bastianowi. Parsknęła, kiedy odpisał: „Hehe, kukurykoń”.

– Zobaczymy, jak to wygląda na prześwietleniu – powiedziała Iza, gdy otrzymała odpowiedzi na wszystkie pytania. – Florentyno, pomóż mi przynieść sprzęt.

Technicze od razu zrobiło się gorąco. Przygotować, a nawet zrobić zdjęcie rentgenowskie psa czy kota w gabinecie to nic nadzwyczajnie trudnego, ale w terenie, na zwierzęciu gabarytów konia? Nawet nie była pewna, jak taka procedura powinna wyglądać, nie mówiąc już o tym, na czym miała polegać jej pomoc. Przecież nie położą hippalektriona na kliszy. A może położą...?

Izabela dźwignęła torbę, w której znajdował się aparat i laptop, Florka zaś wzięła różnych rozmiarów klisze i ołowiany fartuch. Właściciel stadniny oparł się o płot i przyglądał ich poczynaniom. Techniczka ubrała się i stanęła obok Arche, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Zaczęła panikować, przekonana, że zaraz zbierze reprimendę za to, że nie umie asystować przy prześwietlaniu hippalektriona.

Tymczasem Iza ustawiła kopyto na specjalnym bloczku.

– Trzymaj tak – poinstruowała i pokazała, gdzie umieścić kliszę.

Florka wzięła ją i przyłożyła w pionie z boku nogi Arche, jakby chciała ją obramować. Lekarka ustawiła się w odpowiedniej odległości z trzymanym w ręku aparatem i wycelowała dokładnie.

Hippalektrion, do tej pory nieruchomy jak posąg, akurat w tym momencie postanowił udowodnić, że wciąż może się ruszać, wobec czego musiały podjąć kilka prób zrobienia wyraźnego zdjęcia. Florka nie mogła się pozbyć przekonania, że to jej wina, bo dłonie zaczęły jej drżeć, dodatkowo w ołowianym fartuchu było nieznośnie gorąco. Sytuacji nie poprawiał mężczyzna, który każdą nieudaną próbę komentował w stylu: „Widzicie panie, jaki symulant?” lub „Do dziesięciu razy sztuka!”. Brak informacji zwrotnej od Izabeli, czy Florka dobrze wypełnia swoje zadanie, sprawiał, że dziewczyna denerwowała się coraz bardziej. W końcu wykonały fotografie w dwóch projekcjach, z których dało się coś odczytać. Techniczka z westchnieniem ulgi ściągnęła z siebie fartuch i przewiesiła go przez płot.

– Zmiany są zaawansowane – tłumaczyła Iza, pokazując ułożenie kości w obrębie kopyta. – Żeby odzyskał sprawność, będzie wymagał farmakoterapii, interwencji ortopedycznej i rehabilitacji.

– To wszystko trwa – mruknął właściciel, wpatrując się w ekran z rękoma na biodrach. – Za trzy dni musi śmigać.

– Żeby mógł śmigać, potrzebuje leczenia.

– Przecież pani się magią zajmuje. Nie może pani czarami coś tu, tam, tego i zaleczyć, co trzeba?

– Jeśli chce pan, żeby przeżył, to nie. Magia może wspomóc rekonwalescencję, ale nie naprawi ochwatu w tak zaawansowanym stadium z dnia na dzień. Ten hippalektrion wymaga intensywnego leczenia.

Mężczyzna prychnął.

– Tyle to mógł mi powiedzieć każdy weterynarz. Ja panią wezwałem, żeby to załatwić na teraz.

– To niewykonalne – rzekła Izabela tonem ucinającym dyskusję.

Florcka spoglądała w napięciu to na nią, to na właściciela stadniny. Ten prychnął, burknął, po czym powiedział mało uprzejmym tonem:

– To dziękuję za opinię. Proszę mi fakturę wystawić.

Florcka rzuciła ostatnie spojrzenie na obolałego Arche, po czym wzięła to, co mogła dźwignąć naraz, i pospiesznie oddaliła się do samochodu.

W oczekiwaniu na Izabelę oparła się o maskę i pisała z Bastianem. Na widok lekarki schowała telefon.

– Będzie go leczył? – spytała.

– Nie z moją pomocą – odparła Iza.

Włożyła sprzęt do bagażnika i wsiadła do samochodu. Florcka również, ogarnięta ponurymi myślami o zwierzętach i ich właścicielach. Pożegnało je dobiegające z oddali wołanie, coś między rzeniem a pianiem koguta.

Po długich upałach nadeszło nieznaczne ochłodzenie – pogoda idealna na spacer. Florcka zajechała przed dom Bastiana. Coś zaszeleściło w trawie, ale stworzonko zniknęło, nim zdążyła spostrzec, czy to zwykła jaszczurka, czy może żmij mlekowy zwabiony miseczkami, które wystawiał im faun. Zsiadła z roweru i wcisnęła przycisk dzwonka. Po chwili Bastian stanął w drzwiach.

– Wejdz, muszę jeszcze coś skończyć! – zawołał.

Wprowadziła rower na podwórko i przywitała się z rozentuzjasmowanym Chojrakiem. Poszła za przyjacielem do salonu. Tam Bastian usiadł przy stoliku, założył okulary i pochylił się w skupieniu nad laptopem. Pies natychmiast wskoczył na kanapę, uwalil się brzuchem do góry z głową na kosmatym kolanie fauna i spojrzał wyzywająco na dziewczynę, jakby mówił: „To jest moja kanapa i mój pan”.

– Co robisz? – spytała Florcka, przysiadając na podłokietniku.

– Aa, czasem biorę jakieś zlecenia. Programowanie stron i takie pierdoły, żeby zasilić budżet – odparł Bastian, nie odrywając wzroku od ekranu.

Pokiwała głową. Pomyślała, że bardzo ładnie mu w okularach, ale nie odważyła się powiedzieć tego na głos. Z nudów zaczęła bawić się końcówką warkocza.

– Na mszy ksiądz powiedział, że ofiara pójdzie na „naszych braci mniejszych”. Chyba chodzi o Zyzia. Pan Mietek był mocno wzruszony.

– To miłe. Wczoraj nie było z nim najlepiej. – Bastian skrzywił się lekko. – W sensie z Zyziem. Iza zostawiła go na całą dobę w lecznicy, dzisiaj pewnie też zostanie.

– Kurde – mruknęła Florka. – Nie wiedziałam, że wrózkowy pył jest aż tak szkodliwy. Myślałam, że to będzie jak po czekoladzie.

– Wniosek: nie jeść wrózek. – Wycelował palcem w Chojraka. – Słyszałeś? Nie jemy wrózek. Ani podejrzanych bobków w lesie.

Pies mlasnął językiem i zamerdał ogonem.

Dziewczyna sięgnęła po jeden z katalogów na stoliku i zaczęła go przeglądać. Była to oferta jednego z większych sklepów ze sprzętem sportowym. Zauważyła zakładkę na stronie z rowerami.

– Jeździsz? – spytała, pokazując katalog.

Bastian zerknął na niego i westchnął.

– Chciałbym, ale wiesz, trochę mi ciężko. Producenci nie projektują pedałów tak, by dopasować je do racic.

– Och. No tak – powiedziała i zrobiło jej się głupio. – Zawsze można spróbować samemu je dopasować.

– Mam kumpla, który robi różne rzeczy na drukarce 3D. Raz mi druknął coś takiego, ale concept nie był zbyt dobrze przemyślany i prawie się zabiłem, jak próbowałem z tym jeździć. – Zaśmiał się, lecz nie bez gorzkiej nuty. – Cóż... Muszę się zadowolić innym hobby. Chcesz coś do picia? Obsłuż się, mnie to jeszcze chwilę zajmie.

– Hm, dobra. Dzięki.

Florka wstała i poszła do kuchni. Zasłona z drewnianych koralików zaszeleściła, gdy przez nią przeszła. Chwilę myszkowała w szafkach w poszukiwaniu szklanki. Gdy nalewała sobie wody,

zauważyła na blacie kilka opakowań leków. Nie zwróciła na to większej uwagi, póki nie przeczytała nazw i substancji czynnych.

Ściągnęła brwi zamyślona.

Dopiła wodę i wróciła do salonu.

Przez kilka minut faun pracował w milczeniu. W końcu zamknął laptopa, zdjął okulary i wstał.

– No dobra, chodźmy.

– Masz jakiś plan na trasę? – spytała. – Ja wiem tylko, którądy do pracy, sklepu i kaplicy.

– Pójdziemy ulubioną trasą Chojraka – powiedział, zapinając smycz na obroży uradowanego psa. – Jak będziemy mieć szczęście, to spotkamy jego nemezis.

– Ho, ho, już się boję.

– Powinnaś. – Wyszczrzył się złośliwie. – To wolpertinger.

– Och, doskonale...

Bastian się zaśmiał. Wyszli na ulicę i ruszyli we wskazanym przez niego kierunku, w stronę lecznicy. Rozmawiali o pracy, zwierzętach i różnych rzeczach mniej lub bardziej błahych. Pogoda była cudowna: wiał lekki wietrzyk i świeciło słońce, lecz nie tak bardzo, by rozpalać asfalt do białości. Nie tylko oni korzystali z uroków początku lata – zewsząd nadlatywały zapachy grilla, co i rusz mijali ich rowerzyści, młodzież na hulajnogach i spacerowicze uprawiający nordic walking. Tu i ówdzie dzieci bawiły się na trampolinach i w rozkładanych basenach.

– Ech, też bym się chętnie wybrała nad wodę – powiedziała w którymś momencie Florka. – Jest tu jakieś kąpielisko?

– Takie, w którym woda nie powoduje wysypki, to kawałek za Cnotnicami. Tam jest bardzo fajna rzeczka, z dużą plażą i w ogóle. Możemy się kiedyś wybrać – zaproponował Bastian.

– Rowerem? – spytała z przekąsem, spoglądając na jego nogi.

– Słuchaj, jak mnie weźmiesz na bagażnik, to wszędzie mogę jechać.

– Mam tylko koszyczek na kierownicy.

Cmoknął.

– Kurde, wyrosłem. Spoko, jeździ tam autobus. Znaczy nie dokładnie tam, kawałek trzeba dojść, ale generalnie to wykonalny plan.

Weszli do lasu. Powietrze było tu rześkie i pachnące korą strzelistych sosen. Faun odpiął smycz. Psiak rzucił się biegiem tak szaleńczym, jakby go sto diabłów goniło, i zniknął w chaszczach.

– Pozwalasz mu chodzić luzem po lesie? – spytała Florka, rozglądając się z niepokojem za psem.

– Spokojnie. Trzyma się zawsze w promieniu dwudziestu metrów – odparł Bastian z uśmiechem. – A gdyby miał zamiar się zgubić, to ma GPS-a na obroży. O, patrz, widzisz, jak zachrzania?

Pokazał jej aplikację w telefonie. Rzeczywiście na mapce okolicy powoli rysowała się trasa, jaką przebywał Chojrak, krążący wokół nich jak satelita.

– Okej... ale nie o to mi chodzi. Wiesz, że za to jest kara?

– Pff. Pół wsi tu puszcza swoje psy luzem, a w przeciwieństwie do nich Chojrak jest wytresowany. Jak wejdziemy głębiej, to go zawołam.

Florke niezbyt przekonywał ten pomysł, ale nie chciała wyjść na mądralińską. Ruszyli wydeptaną ścieżką między jeżynowymi krzewami. Chojrak buszował w nich jak dzik w szyszkach, niepomny na gęste krzaki. Gdzieś w górze dzieciół zastukał o pień. Florka pomyślała, że nijak się to ma do łożenia za każdym razem po tych samych ścieżkach w miejskim parku, gdzie ciągle trzeba się mieć na baczności, by nie zostać rozjechanym przez aroganckiego rowerzystę, a między drzewami wciąż widać beton, asfalt i hałasujące samochody.

– Kiedyś – powiedziała – jak w dzieciństwie byliśmy z dziadkami na kempingu, to z bratem i kuzynką zbudowaliśmy w lesie szałas i się bawiliśmy w rozbitków. Zbieraliśmy pióra i szyszki i ozdabialiśmy nimi tę chatkę... Ledwo się w niej mieściliśmy, a i tak

przesiadaliśmy tam całymi dniami. Brakowało mi tego, takiego kontaktu z naturą.

– Czyli co, chcesz zamieszkać w lepiance w lesie?

Parsknęła śmiechem.

– Nie, ogólnie to jestem ostatnia do tulenia drzewek i wi-fi to tu słabe jest, ale wiesz... To miła odskocznia.

– Trudno się nie zgodzić. – Bastian podniósł z ziemi wyjątkowo długi kij i zaczął nim odgarniać z drogi kłujące łodygi jeżyn. – Mnie do wielkich metropolii nigdy nie ciągnęło, a zająłem się tym, czym się zająłem, bo można to było robić z domu. Większość ludzi, z którymi pracowałem, nawet nie wiedziała, jak wyglądam, więc nie mogli nabrać uprzedzeń.

W jego głosie zabrzmiała gorzka nuta. Florka zacisnęła usta, zastanawiając się, jak pociągnąć temat, by nie palnąć czegoś głupiego i niestosownego.

– Byłeś programistą, tak?

Pokiwał głową.

– To chyba dobry zawód – ciągnęła. Potem zażartowała: – Tech-wet nie zarabia nawet w połowie tak dobrze.

Bastian milczał przez chwilę.

– Może... ale było ciężko – powiedział w końcu. – Studia i w ogóle... Dwa razy semestr zaliczony warunkowo... Wykładowcy próbujący udupić na każdym kroku... Potem szukanie pracy... Magiczni nie mają pod tym względem za łatwo – mruknął ponuro. Uszy mu zupełnie oklapły. Zaraz jednak je postawił i rzucił wesoło: – Dlatego zamieniłem ślęczenie przy kompie na babranie się we krwi, moczu i kupie.

– To skąd pomysł na weterynarię?

Wzruszył ramionami.

– Lubię zwierzaki. Zawsze lubiłem. Ale dopiero niedawno pomyślałem, że można by się w życiu zająć czymś, co mi daje faktyczną satysfakcję.

– I co, jest fajnie?

Uśmiechnął się, zapatrzony gdzieś przed siebie.

– No. Jest fajnie.

Przez chwilę szli w milczeniu, chłonąc piękno przyrody. Gdzieś niedaleko zaśpiewał kos. Jego wzruszający trzel poniosł się echem między drzewami.

– A jak to u ciebie wyglądało? – spytał Bastian.

– Chciałam być weterynarzem, ale trochę mnie to przerosło. Nie zaliczyłam nawet pierwszego semestru, więc poszłam się uczyć na technika. No i tu sobie z grubsza poradziłam.

– Z grubsza?

– Tak jakoś... – Wzruszyła ramionami. Wyzwiska, którymi obrzucał ją były pracodawca, znów odezwały się w jej głowie. – Ciągle mam poczucie, że nic nie wiem, nic nie umiem.

– Ale w praktyce sobie radzisz – zauważył – i to świetnie.

– Przypominam, że pierwszego dnia pracy tutaj straciłam oko.

– Pracujemy ze zwierzętami, na każdym kroku ryzykujemy zdrowie i życie. Kurde, nawet zwierząt do tego nie potrzeba! Słyszałem o gościu, który zakłuł się środkiem na kleszcze prosto w torebkę stawową i po tym nie odzyskał w pełni władzy w palcu.

Parsknęła i wsunęła ręce do kieszeni.

– No dobra, to można uznać za wypadek, ale jakoś tak... ogólnie nie mam poczucia, że jestem... dobra czy coś. Trzy lata robiłam w stolicy i tam ciągle coś było nie tak.

– Może nie ty byłaś problemem, a miejsce?

Wykrzywiła usta.

– Nie wiem.

– Przerabiałem to w Cnotnicach. Zawsze byłem tym najgorszym, cokolwiek bym zrobił. Potrafiły się dosrać do wszystkiego, nawet tego, ile płynu do podłóg wlewam do wiadra. Przez jakiś czas miałem wrażenie, że mają rację... Ale potem zobaczyłem, jak bardzo powalona jest ta lecznica. Nie daj sobie wmówić, że jesteś beznadziejna, bo w końcu sama zaczniesz w to wierzyć.

Dziewczyna kopnęła szyszkę, która leżała jej na drodze. Z boku wyskoczył Chojrak, dopadł do niej i próbował w biegu złapać w zęby, ale z rozpędu nie trafił i niezrażony poleciał na drugą stronę ścieżki.

– Spróbuję – powiedziała Florka. Bastian szturchnął ją po koleżeńsku.

– No. I tak trzymaj.

Po parunastu minutach dotarli do położonego w głębi lasu stawu. Na polance stały wiekowe ławy z daszkami pokrytymi strzechą i mchem. Pies podreptał prosto ku wodzie.

– Chojrak, nie! – krzyknął ostrzegawczo faun. – Zostań. Ani się waż. Chodź tu!

Psiak, spoglądając na niego niewinnie, kroczył za kroczkiem podchodził coraz bliżej błotnistego brzegu. Prowokacyjnie zamoczył dwie łapy, po czym napił się, jakby od początku miał tylko taki plan. Kilka żab jednocześnie plusnęło do wody.

Słońce schowało się za chmurami. Florka ogarnęła okolicę spojrzeniem. Staw był całkiem spory. Pośrodku znajdowała się gęsto porośnięta trzcina płycizna, wokół której pływały spokojnie kaczki. W powietrzu unosiły się wielobarwne, mieniące się ważki. Tu i ówdzie dziewczyna zauważyła niewielkie piksy, które przemykały od jednej kępy pałki wodnej do drugiej. Miejsce nie było niesamowicie piękne, ale na swój sposób urokliwe.

– Są tu rusalki? – spytała, nachylając się nad wodą. Zauważyła pływającą pod powierzchnią żabę.

– Nie wiem, raczej nie, bo coś nie słyhać, żeby ktoś zaginął. W okolicy chyba ogólnie nie ma jakiegoś zatręśienia niebezpiecznych stworzeń.

Podniósł z ziemi kamyk, zamachnął się z wprawą i rzucił. Kamień odbił się kilka razy od powierzchni wody.

– Nie licząc mantykor – powiedziała z przekąsem Florka. – Chociaż, skoro nikogo z nas nie pożarła, to może jednak nie była zbyt niebezpieczna.

– Bo ją zęby bolały – odparł i zarechotał. – Gdyby nie to, pewnie nie byłoby tak śmiesznie.

Puścił kolejną kaczkę. Florka kucnęła przy brzegu i wyciągnęła rękę do ważek, ale żadna nie zdecydowała się zbliżyć. Chojrak wykorzystał okazję i przydreptał, by wylizać ją po twarzy. Zaśmiała się i wytargała go za uszy.

Bastian zapatrzył się na niebo.

– Chyba powinniśmy wracać – powiedział. – Wygląda, jakby miało zacząć padać.

– Może przejdzie bokiem. Zostańmy jeszcze chwilę. Ładnie tu.

Wyjęła telefon i zrobiła kilka zdjęć Chojraka, stawu, żab na brzegu. Wycelowwała w Bastiana, który zrobił gest rogacza, uśmiechając się kącikiem ust.

– Od dawna tu mieszkasz? – spytała, przeglądając galerię.

– Jakoś od roku.

Pokiwała głową.

– Czasem tu przyjeżdżałam w odwiedziny do cioć, ale nigdy nie kręciłam się po okolicy. Nie wiedziałam, że tak tu ładnie. Tak... wakacyjnie.

– Tak, ma się tu takie wrażenie – przyznał, rzuciwszy kolejny kamyk. – Dlatego tak mi się tutaj podoba. Cisza, spokój... Nawet ludzie jakby milsi.

Nad ich głowami przetoczył się cichy pomruk. Pierwsze krople deszczu naznaczyły powierzchnię stawu drobnymi kręgami. Florka wstała i spojrzała w górę.

– Burza w lesie – stwierdził Bastian. – Świetna sprawa.

– Tylko kropi, może zdążymy nawiać...

Zmieniła zdanie sekundę później. Deszcz bardzo szybko przybrał na sile. Pobiegli pod jeden z daszków. Chojrak potruchtął wesoło za nimi, jakby w ogóle nie zauważył zmiany pogody. Po niedługiej chwili od świata odgrodziła ich istna ściana wody. Szum kropli w koronach drzew był niemal ogłuszający.

Florka usiadła na stole i oparła stopy na ławce. Bastian poszedł za jej przykładem. Racice stuknęły o wiekowe drewno.

– Hm, jednak nie zdążymy – stwierdziła dziewczyna i oparła podbródek na dłoni.

– No cóż, przynajmniej mamy się gdzie schować – powiedział faun, przeczesując wilgotne włosy.

Kolejny grom rozbrzmiał w górze jak ostrzegawcze, głębokie warczenie ogromnej bestii. Dziewczyna mimowolnie zadrżała. Chojrak wpełzł pod ławę i położył się z czujnie postawionymi uszami.

Florka drgnęła, gdy Bastian trącił palcem złoty medalik na jej szyi.

– Ładny – powiedział.

Uśmiechnęła się.

– Święta Melangell. Patronka zajęcy i innych leśnych zwierząt. Specjalnie zamówiłam w necie, tak mi się podoba jej legenda.

– Nigdy nie słyszałem.

– Melangell była księżną, którą ojciec chciał przymusowo wydać za mąż – opowiadała, obracając medalik na łańcuszku. – Uciekła i znalazła schronienie w głuszy. Któregoś dnia pewien książę udał się do lasu na polowanie. Znalazł Melangell, która własnym ciałem broniła zajęcia przed jego psami. Pokochał ją, ale zamiast zmusić do małżeństwa, nadał jej w tym lesie sanktuarium, w którym ona i zwierzęta mogły być bezpieczne.

– Hm – mruknął, wpatrzony w nią z uśmiechem. – No i wszystko jasne. Wybaczyłaś tak łatwo Ryškowi, bo mając taką patronkę, nie mogłaś inaczej.

– Ojej, no, to nie jego wina – powiedziała i ukryła medalik za kołnierzem. Kopnęła fauna lekko. – Tylko twoja.

– Hej, przeprosiłem!

– Spoko, żartuję.

Poprawiła opatrunek, który nosiła, by zakryć tymczasową protezę i nikogo nią nie straszyc.

– Sprawisz sobie szklane oko? – spytał Bastian.

– Jeszcze parę tygodni, musi się dobrze zagoić – odparła. – Ale... chyba i tak będę je zasłaniać. Jak jedno oko się nie rusza, to ludzie czują, że coś jest nie tak, ale nie wiedzą co i to wzbudza w nich niepokój. A jak będę wyglądać jak piratka, to będą najwyżej ciekawscy.

Wyciągnęła ręce do tyłu, oparła się o blat i zapatrzyła w przestrzeń. Odetchnęła głęboko wilgotnym, dusznym powietrzem pachnącym leśną ściółką.

Bastian siedział pochylony z łokciami na kolanach. Długie, koźle uszy mu drgnęły, gdy nad lasem przetoczył się kolejny grom.

– Śmieszne masz te uszy – powiedziała.

Spojrzał na nią przez ramię.

– To komplement czy szydera?

– Nie, są fajne. – Po chwili spytała nieśmiało: – Mogę dotknąć?

Uniósł brew i zdjęło ją przerażenie, że właśnie popisała się koncertową głupotą i zerowym wyczuciem. Odetchnęła, kiedy Bastian uśmiechnął się i kiwnął zachęcająco głową.

Wyciągnęła rękę i musnęła brzeg ucha wierzchem palców. Pomacała delikatnie ciepłą małżowinę. Sierść była miękka i miła w dotyku, nie szorstka, jak się spodziewała Florka.

Faun potrząsnął głową.

– No już, już, nie łaskocz – powiedział.

– Przepraszam.

Bastian przez chwilę wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Odwrócił wzrok i znów zapatrzył się przed siebie.

Milczeli. Ulewa zaczęła słabnąć. Chojrak odważnie wyściubił nos poza daszek, ale zawrócił, oblizując mokry nos.

– Myślisz – zagadnęła Florka – że Lipowska zrobiła co trzeba z tym cmentarzyskiem?

Faun pokręcił z niesmakiem głową.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby po prostu wezwała egzorcystę. Nie wyobrażam sobie, żeby skrupulatnie wykopała wszystkie te trupy.

– Ech... Nawet jeśli tak, to mam nadzieję, że na tym skończy i już więcej nie będzie ich zakopywać.

– Żeby to był jedyny problem – mruknął faun. – Lista jest dłuuuuga. Oby kiedyś jej się noga...

Urwał nagle i postawił czujnie uszy jak zając. Zapatrzył się gdzieś w jeden punkt.

– Co? – spytała Florka. Bastian położył palec na ustach, potem wskazał na wprost. Zmrużyła oko, próbując dostrzec to, co on.

Wtedy między drzewami, całkiem niedaleko, mignęła alabastrowobiała sierść.

Florka wciągnęła głośno powietrze. Faun powoli sięgnął do Chojraka, zapiął smycz i przywiązał ją do nogi ławy. Ostrożnie zszedł na ziemię i zaczął się skradać w kierunku tajemniczego stworzenia.

Dziewczyna zawahała się, po czym ruszyła za nim na palcach. Ostatnie krople deszczu zmoczyły jej plecy. Dotarli na skraj polanki i ukryli się za szerokim pniem sosny. Przyklęknęli w mokrych krzewinkach borówek i wyjrzeli zza drzewa, wstrzymując oddechy.

Nie dalej jak dwadzieścia metrów od nich znajdował się jednorożec.

Przypominał bardziej sarnę niż konia. Był nieduży i smukły jak gazela, z jelenią szyją i długim ogonem zwieńczonym pędzelkiem. Półmetrowy, ostry, spiralny róg lśnił, jakby w jego wnętrzu tliło się delikatne światło.

Florka miała wrażenie, że zaraz zemdleje z zachwyty.

– Jest ranny! – szepnął Bastian.

Dziewczyna zdała sobie sprawę, że ma rację: jednorożec chylił szlachetną głowę ku ziemi, ostrożnie stawiając kroki i wyraźnie kulejąc na przednią nogę. Przygryzła wargę, gorączkowo się zastanawiając, co zrobić.

– Trzeba mu jakoś pomóc...

– Jesteś dziewczicą?

– Co? Co to za pytanie?! – spytała szeptem.

– Jednorożec nie pozwoli nikomu się do siebie zbliżyć, tylko dziewczicy – odparł niecierpliwie.

Florka, lekko zdenerwowana, zamachała rękoma w powietrzu.

– No dobra, jestem! Co mam zrobić, po prostu do niego podejść?

Faun zachichotał cicho.

– Żartuję, to tylko przesąd.

– Bastian! – syknęła z wyrzutem.

Zamarli w bezruchu, gdy jednorożec uniósł czujnie głowę i spał się, gotów czmychnąć.

– Miejmy go na oku – powiedział cicho faun – i skontaktujmy się z Faunastycznymi. Oni będą wiedzieć, co...

Gdzieś za ich plecami trzasnęły gałązki pod kołami roweru. Jednorożec momentalnie odwrócił się, skoczył między drzewa i zniknął.

Bastian westchnął ciężko i się obejrzał. Pod drewniane budki zajechała trzyosobowa rodzinka, przemoczona od stóp do głów. Chojrak merdał do nich wesoło.

– No i dupa – stwierdziła Florka, przecierając mokre kolana. – Możemy najwyżej powiedzieć fundacji, gdzie go widzieliśmy.

Rzuciła ostatnie spojrzenie miejscu, w którym widziała jednorożca, po czym, zawiedziona, ruszyła z powrotem.

Faun zrównał się z nią.

– Hm... gniewasz się? – spytał.

– Za co?

– No wiesz, za ten żart... Przepraszam, to było głupie.

Spojrzała na niego, uśmiechając się z przekąsem.

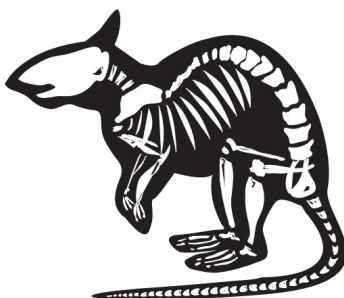
– Owszem, bardzo głupie.

– Serio... przepraszam.

Miał minę jak psiak, który pogryzł swojej pańci kapcie i bardzo tego żałuje, a wrażenie potęgowały oklapnięte uszy – jakby naprawdę czuł się źle z powodu tego, co zrobił. Florka dała mu kuksańca.

– Już nie patrz tak, wybaczam. Za karę możesz wziąć mój następny sobotni dyżur.

– Nie rozpędzaj się, młoda – powiedział i również ją lekko szturchnął. Zaśmiali się razem.



ROZDZIAŁ VI

NIECNOTA W CNOTNICACH

Kolejny zadowolony klient, z trochę mniej zadowolonym, ale zaszczepionym królikiem, opuścił gabinet. Florka nieco nieprzytomnie zdezynfekowała stół diagnostyczny. Nie mogła przestać myśleć o widzianym poprzedniego dnia jednoroźcu. Razem z Bastianem niezwłocznie poinformowali o nim Tomasza z fundacji, ale nie dowiedzieli się niczego o dalszych losach magicznego stworzenia.

– Przecierasz stół już trzeci raz – zauważyła Izabela.

Florka drgnęła i odłożyła spryskiwacz.

– Ups. Zamyśliłam się. – Wzięła puste fiołki po szczepionce i wyrzuciła je do kosza na odpady medyczne. Po chwili spytała: – Jakie moce ma róg jednoroźca?

– Jednorożec może za pomocą magii oczyścić wodę i nadać jej lecznicze właściwości. Nie jest to tak cudotwórcze, jak twierdzą legendy i szarlatani, ale przyspiesza gojenie ran

i rekonwalescencję – wyjaśniła rzeczowo nekromantka. Usiadła za biurkiem i pozwoliła Przekręt wspiąć się sobie na ramię. Lekko trąciła szczurycę policzkiem. – Sam róg odłączony od ciała jednorożca jest bardzo dobrym katalizatorem magii, ale dla ludzi, którzy nie potrafią się nią posługiwać, ma wartość wyłącznie kolekcjonerską.

– Czyli te wszystkie lecznicze proszki z rogu to bujda?

– Tak.

Florka pokiwała głową i znów pogrążyła się w myślach.

Drzwi otworzyły się powoli i do środka wsunął głowę mężczyzna w średnim wieku. Miał nieco zalęknioną minę.

– Dzień dobry... Można? – spytał szeptem.

– Zapraszam – rzekła Izabela.

Klient wślizgnął się do gabinetu. Bardzo ostrożnie postawił na stole dużą klatkę dla ptaków przykrytą grubym kocem. Ze środka dobiegł skrzek.

– Zbigniew Kołodziejczak – przedstawił się po cichu właściciel tego, co znajdowało się w klatce. Dopiero w tej chwili Florka zauważyła, że jest elfem. Spiczaste uszy zdobiły złote kolczyki. – Mam duży problem z moimi papugami.

– Co im dolega? – spytała lekarka.

Mężczyzna położył palec na ustach.

– Ćśś, nie prowokujmy ich... Wszystko z nimi w porządku, ale, hm... przypadkiem... nauczyły się magii.

Techniczka uniosła brwi.

– Magii?

– Ćśś! – syknął. Zamarł w bezruchu, gdy pod kocem rozległo się zaintrygowane gwizdnięcie. Wciąż spięty powiedział: – Chyba podsłuchały, jak rzucam zaklęcia... Może nie powinienem był robić tego przy nich... W każdym razie nauczyły się kilku i teraz wywracają mi dom do góry nogami. Próbowałem je tego oduczyć, ale w ogóle mnie nie słuchają.

Izabela zdjęła Przekręt ze swojego ramienia i wypuściła ją na zaplecze. Potem podeszła niemal bezszelestnie do stołu diagnostycznego.

– Jakie zaklęcia rzucają? – spytała szeptem.

– Uderzenia kinetyczne. Zapraszanie ognia. Nie można ich spuścić z oka, bo puszczą z dymem całą chałupę. Boję się je gdziekolwiek zamknąć, bo jeszcze sobie nawzajem zrobią krzywdę.

– Konsultował się pan z behawiorystą?

– Pewnie – odparł szeptem elf – ale nic to nie dało. Próbowałem je uciszyć magią, ale one ją negują! Myślę, że połknęły moje kryształy. Żaden zwykły weterynarz nawet nie chce się do nich zbliżyć, zresztą trudno się dziwić, gdy podpalają im kitle... Jak tylko usłyszałem o pani klinice, to natychmiast przyjechałem. Mam nadzieję, że może pani uda się coś wymyślić.

Florka profilaktycznie odsunęła się od stołu. Izabela zaś zbliżyła się do niego, ostrożnie uniosła koc i zajrzała do klatki. Dwa siedzące na żerdzi białe kakadu nastroszyły czuby i każde łypnęło z zainteresowaniem okiem. Jedno przechyliło głowę i wyskrzeczyło ciekawskie „hęę?”.

– Obie rzucają te same zaklęcia? – spytała Iza.

– Mniejsza, Conk, to podpalaczka. Bepis rzuca pchnięcia.

Lekarka przytaknęła, zasłoniła z powrotem klatkę i rozejrzała się po gabinecie w głębokim zamyśleniu. Potem zwróciła się do Florki:

– Zrobimy to w poczekalni. Przynieś aparat do wziewki i największy pojemnik.

Techniczka przytaknęła i poszła na zaplecze. Przytargała podłączony do koncentratora tlenu aparat anestezjologiczny. Domyśliła się, dlaczego Iza zdecydowała się nie działać w gabinecie – w poczekalni ryzykowała najwyżej podpalenie plakatów i przewrócenie krzeseł.

Papugi poskrzekiwały wesoło pod kocem, nieświadome tego, co je czeka. Drzwi na zewnątrz zostały zamknięte na klucz, a w pomieszczeniu rentgenowskim obok gabinetu Florka

naszykowała wszystko, co trzeba, by zrobić zdjęcie. Koncentrator tlenu został zasłonięty folią aluminiową. Mężczyzna przez cały ten czas przestępował z nogi na nogę, oblizywał nerwowo usta i spoglądał z niepokojem na klatkę za każdym razem, gdy jego podopieczni się odzywali.

– Zacznijmy od większej – powiedziała Izabela. – Pozwoli się panu wziąć na ręce?

Zbigniew wypuścił głośno powietrze. Kucnął, uniósł materiał, otworzył drzwiczki i wyciągnął drżącą rękę.

– Bepis, chodź – szepnął. Pogrzebał w kieszeni i wyjął z niej migdała. Zagwizdał cicho. – No chodź.

Papuga popatrzyła na orzech jednym okiem, potem drugim. Stała w progu klatki, a następnie weszła opiekunowi na dłoń. Opuściła czub i obrzuciła zgromadzonych zainteresowanym spojrzeniem.

– Dzień dobry – powiedziała i dygnęła.

Mimo napięcia, jakie unosiło się w powietrzu, Florka nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– Tak, dzień dobry, dzień dobry – odpowiedział elf i dał kakadu migdała.

Wyciągnęło nogę, wzięło go i obadało językiem.

– Spróbujmy ją tu... – zaczęła Iza, unosząc przezroczysty plastikowy pojemnik, ale nie dokończyła.

Bepis rzuciła na nią czujne spojrzenie, rozłożyła skrzydła i wydała z siebie głośny wrzask.

Gwałtowne uderzenie wiatru wytrąciło lekarce pudełko z rąk. Sprowokowana zamieszaniem Conk również zaskrzeczała i rękaw koszuli opiekuna buchnął ogniem. Mężczyzna krzyknął krótko i rzucił się do gaszenia go drugą ręką, a Bepis poderwała się i zaczęła fruwać pod sufitem, pokrzykując ze złością.

Zbigniew pospiesznie zasłonił klatkę, wstał i wyciągnął dłoń pełną orzechów ku obijającemu się o ściany kakadu.

– Bepis, chodź tu! Patrz, co mam! No chodź!

Papuga wylądowała na oparciu krzesła. Łypnęła podejrzliwie na mężczyznę i przechyliła głowę.

– Dobrze? – spytała.

– Dobrze. Chodź, weź.

Iza podsunęła mu otwarty pojemnik. Wrzucił do środka kilka migdałów, nie spuszczając papugi z oka. Bepis przyglądała się podejrzliwie wnętrzu pudełka.

– Dobrze?

– Dobrze – potwierdził.

Florka stała przy aparacie z mocno bijącym sercem. Iza powoli położyła pudło na krześle. Kakadu wyciągnęło głowę. Zrobiło nieśmiały kroczek i stanęło na krawędzi pudełka. Dygnęło przed Izą, po czym weszło do środka. Zaczęło przebierać nogami w orzechach, wypatrując największego.

Tak ostrożnie, jakby to była rozbrajana bomba, Iza nałożyła pokrywę i po cichu zapięła zatrzaski. Skinęła na Florkę i techniczka podłączyła do pudła rurkę, a następnie włączyła koncentrator. Zaczął cicho brzęczeć. Bepis nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, zajęta selekcją migdałów. Od strony klatki dobiegł gwizd zainteresowania.

– Poszło lepiej, niż myślałem – powiedział szeptem Zbigniew, otrzepując nadpalony rękaw.

– Z tą może tak – odparła Izabela, przykrywając pudełko rącznikiem.

– Conk jest grzeczniejsza, powinna łatwo wejść do pudełka...

– Nie będziemy jej znieczulać w pudełku. Nie możemy ryzykować, że postanowi zaproszyć ogień w komorze tlenowej.

Florkę aż zmroziło, gdy wyobraziła sobie konsekwencje takiego wypadku. Spojrzała na zakryty materiałem pojemnik. Z wrażenia kompletnie zaschło jej w ustach.

– No i co? – spytał mężczyzna. – Usypiamy ją?

– Musi się najpierw dotlenić – powiedziała lekarka.

– Naprawdę mamy na to czas? Ona w każdej chwili może jeb... no, wiadomo.

Iza pomyślała chwilę, po czym sięgnęła do aparatu i zaczęła powoli, stopniowo zwiększać przepływ izofluranu.

Gdy osobliwy zapach wpłynął do pojemnika, odgłos chrupania migdała nagle ucichł. Po chwili Bepis zakrakała cicho. Zbigniew tupął nerwowo nogą.

– Długo to potrwa?

– Parę sekund – odpowiedziała Florka, nie doczekawszy się reakcji ze strony Izy.

Lekarka wpatrywała się w pudełko z kakadu w środku jak przyczajony tygrys.

W środku rozległ się tupot. Bepis skrzeknęła ze złością i zaczęła się rozbijać o ściany pojemnika. Ukryta pod kocem Conk krzyknęła kilka razy tak głośno, że Florce aż zadzwoniło w uszach. Opiekun przywarł do ściany i rzucał spanikowane spojrzenia to jednej, to drugiej papudze.

Wtem Bepis wrzasnęła. Izabela błyskawicznie złapała brzegi pudła. Zakłęcie rzucone przez ptaka uderzyło w pokrywę tak silnie, że ręcznik aż podskoczył, ale jej nie zerwało. Minęło kilka sekund, potem kakadu ponownie skrzeknęło, lecz słabiej niż chwilę wcześniej i nie wywołało to magicznego efektu. Pod krawędzią materiału Florka zauważyła, że ptak opuścił czub i zaczął mrużyć oczy.

– Idź już spać – powiedziała ukryta pod folią Conk.

Techniczka parsknęła nieco nerwowo.

Odczekali jeszcze, wpatrzeni w pudło, kilka pełnych napięcia minut. Następnie Izabela wzięła je i pospiesznie udała się do pomieszczenia rentgenowskiego. Po chwili zawołała klienta. Florka została w poczekalni, ale zajrzała ciekawsko do ciemnego pokoju. Na ekranie komputera zobaczyła zrobione przez Izę zdjęcia.

W obrębie sylwetki ciała wyraźnie odznaczał się na biało przedmiot wielkości orzecha laskowego. Zbigniew przesunął dłonią

po twarzy.

– No tak – mruknął. – Wiedziałem. Moje kryształ. I co teraz?

Lekarka przyjrzała się zdjęciu.

– Nie miały odruchów wymiotnych?

– Nie widziałem. Chyba nie.

– Hm... Możemy spróbować wydobyć go endoskopowo. Jest gładki i znajduje się w wolu. – Wskazała długopisem położenie przedmiotu i drogę do dzioba.

– Spróbujmy – powiedział z westchnieniem mężczyzna.

– Przynieś wziewkę – poleciła Iza Florce.

Techniczka przytargała do pomieszczenia koncentrator i dostarczyła wszystkie narzędzia, o które poprosiła lekarka. Bepis została położona na stole z dużą maską na głowie. Ulatniający się bokami gaz wiercił Florce w nosie.

Iza pochyliła się nad ptakiem tak nisko, że ciężko było podejrzeć, co robi. Obmacała dokładnie papuzie wole, uchyliła maskę, by odsłonić dziób, i ostrożnie wsunęła do gardła końcówkę endoskopu. Florca pilnowała, by ptak nie zaczął się budzić. Mężczyzna czekał pod ścianą, obgryzając paznokcie.

Po niecałych dwóch minutach Izabela uniosła zabrudzony mlecznobiały klejnot.

Elf odetchnął z ulgą.

– Już nie będzie czarować? – spytał.

– Nie powinna. – Kobieta odłożyła kryształ do leżącej obok nerki. – Pora na drugą. – Zamyśliła się na chwilę, po czym zwróciła się do Florki: – Przynieś więcej folii.

Lekko zestresowana techniczka dostarczyła cały zapas folii aluminiowej, jaki mieli w lecznicy. Do tej pory Florca nie rozumiała, po co jej aż tyle i do czego mogłaby być wykorzystana, ale właśnie zyskała odpowiedź na swoje pytanie. Opiekun został wyproszony do gabinetu, a one założyły przyłbice z pleksi i owinęły się folią tak dokładnie, jak tylko się dało. Wyglądały, jakby miały wkroczyć do czynnego wulkanu.

- Musimy znieczulić ją domięśniowo – powiedziała Izabela.
- Wspaniale – odparła cienkim głosem Florka.
- Robiłaś iniekcje ptakom?
- Parę razy...
- Dobrze. Ja ją przytrzymam, a ty kłuj.

Wręczyła technicze wąską strzykawkę tuberkulinową. Florka wzięła ją, zaciskając usta. Nie była wcale pewna, czy umie podać zastrzyk papudze, ale tego, czy utrzyma ciskające kulami ognia kakadu, była pewna jeszcze mniej. Sprawdziła, czy jej włosy nie znajdują się w polu rażenia, i odetchnęła głęboko.

Iza odsłoniła klatkę. Conk była wyraźnie podenerwowana. Chyliła głowę, stroszyła czub i rzucała groźne spojrzenia. Drzwiczki były za małe, by wyciągnąć ją ręką, więc odczekały chwilę, by zobaczyć, czy papuga nie postanowi wyjść z własnej woli, ale gdy tak się nie stało, Florka ostrożnie odczepiła plastikowe korytko, uniosła pręty i przechyliła klatkę na bok. Kakadu pokrakiwało ostrzegawczo.

Lekarka przyczaiła się, po czym błyskawicznie chwyciła ptaka w ręcznik.

Papuga wydarła się jak klakson i fragment materiału buchnął ogniem. Florka pospiesznie zrosiła go wodą ze spryskiwacza i ugasiła, nim rozszalał się na dobre. Iza poprawiła chwyt – jedną dłonią trzymała Conk mocno za szyję, drugą próbowała unieruchomić trzepoczące skrzydła. Zasłoniła jej głowę, ale nic to nie dało. Kakadu znów wrzasnęło, a potem jeszcze raz i kolejny, a wokół wybuchały małe ogniki. Plakat z reklamą środka na kleszcze stanął w ogniu, strzeliły iskry na odchodach w klatce, Florka krzyknęła, gdy płomień liznął jej owinięte folią przedramię.

- Kłuj! – poleciła Iza, odsłaniając pierś papugi.

Dłonie drżały technicze jak w febrze, ale nie zastanawiała się nad tym. Niemal nie celując, wbiła krótką igłę w mięsień i podała anestetyk.

Przez kilkanaście dramatycznych sekund Conk szarpała się, skrzeczała i ciskała zakłęciami, próbując podpalić całą poczekalnię.

W końcu zakrakała cicho ostatni raz, jakby zdarła sobie gardło, zwiotczała powoli i pogrążyła się we śnie.

– I to niby była ta grzeczna? – rzuciła Florka.

Iza bez słowa ruszyła do pomieszczenia rentgenowskiego, gdzie zostały wszystkie narzędzia. Techniczka tymczasem zerwała ze ścian płonące plakaty i zdeptała ogień. Zza drzwi do gabinetu dobiegł zaleźniony głos właściciela:

– Co tam się dzieje?

– Wszystko w porządku – odparła bez przekonania Florka. – Zaraz kończymy.

Zajrzała do szefowej. Zobaczyła tylko jej plecy, kiedy pochylona lekarka pracowała nad znieczuloną papugą. Siedząca w plastikowym pudle Bepis, już w pełni obudzona, przyglądała się zabiegowi z zainteresowaniem.

Po chwili w emaliowanej nerce stuknął drugi kryształ, opalizująco pomarańczowy. Iza poprosiła Florkę, by wyszła, a następnie zrobiła zdjęcie rentgenowskie Conk. Wewnątrz wola nie było widać żadnych ciał obcych.

Kakadu zaczęło się budzić. Techniczka ulokowała je w osobnym pojemniku i położyła oba na stole. Iza tymczasem zawołała opiekuna.

Na widok spalonych plakatów i plam sadzy w poczekalni mężczyzna złapał się za głowę.

– O bogowie, co one tu nawyprawiały?

– Mogło być gorzej – stwierdziła Izabela, uniosła nerkę i zagrzechotała kryształami. – Zalecam nie trzymać magicznych przedmiotów w ich zasięgu.

– Nie trzymałem! Łotry włamały mi się do pracowni! Nic im się nie stało? Wszystko w porządku?

– Dobrze? – zaskrzeczała z pudła Bepis.

– Dobrze, ty cholero zasrana – burknął Zbigniew, otworzył pojemnik, pozwolił papudze wejść sobie na przedramię i wręczył jej

migdała. Pogroził pupilce palcem. – Jeszcze raz mi się do pracowni dorwiecie, to nogi z dupy powyrywam.

– Bez kryształów powinny stracić możliwość rzucania zaklęć – powiedziała Iza – ale poobserwujmy je jeszcze chwilę.

– Dobrze... Dziękuję pani bardzo. Nie wiem, co bym bez pani zrobił, chyba papugi z różna. – Zaśmiał się nieco nerwowo. Po chwili dodał przeproszającym tonem: – A skoro już tu jesteśmy, możemy przy okazji obciąć im pazurki...?

Wymieniły spojrzenia i zrezygnowana techniczka oparła się bezwładnie o ścianę.

Wkrótce kakadu – ze skróconymi pazurkami – znalazły się z powrotem w klatce. Mężczyzna zostawił całkiem sporą sumę i opuścił lecznicę. Florka ogarnęła spojrzeniem bałagan. Zdążyła tylko westchnąć ciężko, bo już drzwi się otworzyły i do środka wszedł kolejny klient. Pan Mieczysław rozejrzał się nieśmiało.

– Już można...? O rety, coś tu wybuchło?

– Można tak powiedzieć – odparła Florka, szczerząc się z przekąsem. – Pan pewnie w odwiedziny do Zyzia?

– Przepraszam, ja wiem, że on musi tu się, no, hospitalizować, ale martwię się o tego gałgana...

– Jasne, rozumiem. Zapraszam.

Zaprowadziła mężczyznę na szpital. Zyzio na widok swojego pana podniósł głowę i zaczął merdać całym sobą. Od soboty przebywał w lecznicy pod czujnym okiem Izabeli. Jego stan wciąż się nie poprawiał, nadal miał słaby apetyt, a cokolwiek zjadł, zaraz wychodziło drugim końcem, zabarwione złotym wrózkowym pyłkiem. Mimo kroplówek i leków był mocno odwodniony, a kontrolne badanie krwi wykazało wciąż wysokie parametry trzustkowe.

– Żebym ja wiedział, jak to się skończy, to bym wyplenił te diabły – powiedział kościelny, głaszcząc psiaka. Spojrzał na Florkę. – Znalazłem ich gniazdo w garażu, wyobraża sobie pani? Zawołałem

straż i się go pozbyli, ale co się stało, to się nie odstanie. Och, pani doktor, co pani myśli? Wyleczymy go?

Iza, która właśnie weszła do pomieszczenia, spojrzała na Zyzia. Pokręciła głową.

– Nie mogę stwierdzić jednoznacznie. W tej chwili to najlepsze, co możemy dla niego zrobić. To, czy terapia przyniesie skutek, zależy w dużej mierze od odporności jego organizmu.

Pan Mieczysław westchnął ze smutkiem.

– No dobrze... Nie będę tu już przeszkadzać. Jakby co, to proszę do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy. No, trzymaj się, łobuzie – zwrócił się do psa i pogłaskał go ostatni raz. Potem wyszedł, kłaniając się lekarce i techniczce.

Kiedy Florka uprzątnęła wszystkie pióra i spalone resztki plakatów, zmyła całą sadzę i umyła narzędzia, zaszyła się w pomieszczeniu socjalnym z kanapką w towarzystwie Przekręt. Szczurzyca przyglądała się z zafascynowaniem kromce chleba z serem. Techniczka zaoferowała jej kawałek. Przekręt wzięła go w łapki, obwąchała uważnie podarunek, ale zamiast zjeść, upuściła go i wróciła do obserwowania jedzącej Florki. Ta zaśmiała się przez nos.

Usłyszała znajome stukanie na płytkach i po chwili do środka wszedł Bastian.

– Co tak śmierdzi w poczekalni? – rzucił zamiast powitania.

– Były papużki, co rzucały kulami ognia – mruknęła dziewczyna. – Musimy zamówić folię aluminiową.

– Kurde, aż sam nie wiem, czy chciałbym przy tym być, czy mam się cieszyć, że mnie nie było. Mam coś dla ciebie. – Pogrzebał chwilę w kieszeni, po czym wyjął z niej mały przedmiot. – Trzymaj.

Z palca zwisał mu brelok ze znajomo wyglądającym, sporym zębem oplecionym rzemieniem. Florka parsknęła i wzięła go.

– Czy to jest...?

Bastian się uśmiechnął.

– Ząb mantykory. Taka uroczą pamiątka. Patrz tutaj.

Obróciła trzonowiec i zobaczyła elegancki grawer na boku. Były to jej inicjały. Faun wyjął z drugiej kieszeni klucze i pokazał swój brelok. Na nim widniały litery BS – Bastian Szafner.

– Czemu nie Sebastian? – spytała złośliwie.

– Wtedy skrót mógłby być trochę niezręczny. Zamówiłem to u Tomka, tego z fundacji. On robi takie fajne rzeczy, rzeźbi w porożu, czaszkach i inne cuda.

– Ale fajne! Dzięki. – Uśmiechnęła się szeroko i obejrzała prezent z każdej strony. – Ciekawe, po ile chodzą. Iza mówiła, że są cenne.

– Dopiero go dostałaś i już chcesz sprzedać? No wiesz? – spytał żartobliwie.

– No co, myślę przyszłościowo, może właśnie trzymam w ręku nową konsolę.

– Potrzebuję was! – zawołała z gabinetu Iza.

Bastian klepnął Florę w ramię.

– Jedź, ja pójdę.

Wyciągnął z szafki fartuch i zniknął w toalecie, by się przebrać. Florka zauważyła, że Przekręt wciąż wpatruje się w nią z przechylnym łebkiem. Pomachała jej brelokiem przed nosem jak wahadełkiem. Szczurzyca wyciągnęła sine łapki i próbowała go złapać. Dziewczyna zaśmiała się cicho.

Kolejnej nocy Florka wyspała się jak nigdy. Wstała o szóstej tak pełna energii, że wybrała się na krótką przejażdżkę rowerem po okolicy, a w drodze powrotnej zahaczyła o sklep i kupiła świeżutkie, wciąż ciepłe bułki. Gdy wróciła do domu, zaraz za progiem natknęła się na ciocię Laurę w szlafroku.

– A gdzie ty byłaś tak wcześniej? – spytała tamta.

– Poszłam pojeździć. – Florka uniosła foliówkę z zakupami. – Mamy śniadanko.

– O, wspaniale, miałam sama iść. Zrobić ci herbaty?

Poszły do kuchni, gdzie Teresa już siedziała przy stole i próbowała odzyskać przytomność nad kubkiem kawy. Florka rzuciła klucze na

blat i wyjęła deskę do krojenia. Stojąca przy kuchence i pilnująca czajnika Laura zauważyła nowy breloczek.

– Co to jest? – spytała.

– Ząb mantykory – odparła Florka. – Bastian mi go dał.

Ciocia Teresa uniosła brew.

– Ten faun?

– Tak. Wziął dla nas po jednym i zamówił grawer. – Dziewczyna posmarowała połówkę bułki dżemem. Zauważyła, że ciocia przygląda się brelokowi z ukosa. – Co?

Teresa wzruszyła ramionami, siorbnęła kawę i zrobiła wyniosłą minę.

– Nic. Ale uważaj na niego. Fauny są chutliwe.

Florka parsknęła śmiechem.

– Tak, tak, a krasnoludy to dusigrosze, czarodzieje są szaleni, a lesbijki – rzuciła złośliwe spojrzenie obu ciociom – nienawidzą mężczyzn.

– Ja tylko mówię, jak jest – oznajmiła Teresa.

Laura spojrzała na nią z przyganą.

– Daj spokój, to miły facet. Zawsze mówi mi „dzień dobry” na ulicy.

– Rzeczywiście, dobry wyznacznik.

– Lepszy niż powielanie uprzedzeń – powiedziała Florka, usiadła przy stole i wgryzła się w bułkę.

Ciocia Teresa wzruszyła ramionami. Laura tymczasem poszła do salonu i po chwili wróciła, niosąc coś owiniętego w materiałową chusteczkę.

– Skoro jesteśmy przy prezentach... Proszę. Prawie zapomniałam.

Wręczyła przedmiot zaskoczonej Florce. Ta odwinęła materiał i ujrzała podobną do pirackiej, czarną opaskę na oko z wyhaftowaną na niej głową króliczka z małym porożem.

Dziewczyna się roześmiała.

– O ja, ale cudna! – wykrzyknęła, zdjęła opatrunek i założyła opaskę. Pobiegnęła do przedpokoju i obejrzała się w lustrze. Bez grama skromności pomyślała, że wygląda świetnie. Zamrugnęła pospiesznie,

bo łyzy wzruszenia zaczęły wypełniać jej oko. Wróciła do kuchni i cmoknęła Laurę w policzek. – Dziękuję!

– Oj, drobiazg – powiedziała ciocia i machnęła ręką.

Zachwycona Florka ponownie usiadła przy stole. Wróciła do śniadania, nie mogąc przestać dotykać opaski.

– To co ci się dzisiaj śniło? – spytała Teresę Laura.

Ta łypnęła na nią znad kubka.

– Jakieś bzdety – odparła wymijająco. – Coś, że Florkę ścigała policja, bo nosiła okulary.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– I co to oznacza? – drążyła druga ciocia.

– A czy ja wyglądam na wróżkę? Zresztą to i tak wszystko bzdury. Człowiek śni o tym, o czym dużo myśli. Martwiłam się o Florę i takie są efekty.

– Noszenie okularów – odezwała się dziewczyna, czytając informacje z internetowego sennika – oznacza przeszkody, z którymi trzeba się zmierzyć. Chociaż z drugiej strony kiedy ktoś inny nosi okulary, to znaczy, że musisz tę osobę lepiej poznać.

– O, widzisz? – Laura wskazała na partnerkę łyżeczką. – To znaczy, że musimy więcej czasu spędzać razem.

Teresa przewróciła oczami.

– Obie musicie zejść na ziemię.

Sięgnęła po pilota i podgłośniła telewizor. W programie śniadaniowym prezenter właśnie opowiadał, jaka piękna będzie dziś pogoda.

– Słońce sprzyja nie tylko nam, ale też magicznej faunie, co nie zawsze wychodzi nam na dobre – mówił. – Entomolodzy ostrzegają przed piksami, które przechodzą właśnie okres wzmożonego wylęgania, a w tym roku przeżywamy istną plagę. Dla naszego zdrowia zalecają unikać charakterystycznych błyszczących gniazd i kokonów i wyposażyć się w spraye odstraszające...

– Jednego psa strutego piksą już mamy – mruknęła Florka.

– Naprawdę jest ich dużo – powiedziała ciocia Laura i postawiła na stole dwa kubki z herbatą. – Co na dwór wyjdiesz, to się wszędzie kręć.

– Ale piękna pogoda przyciąga nie tylko wróżki – ciągnął prezenter. – Pewne rzadkie magiczne stworzenie nabrało odwagi i postanowiło wyjść z ukrycia, co prawie skończyło się dla niego tragicznie. Na szczęście są na świecie ludzie, którzy zamiast bać się i tępić mityczne zwierzęta, mają ogromne serce i chcą im pomagać. Katarzyno, jesteś z nami?

Na ekranie pojawił się widok dziwnie znajomej okolicy oraz uśmiechniętej prezenterki na pierwszym planie.

– Witam państwa bardzo serdecznie. Jesteśmy z ekipą w lecznicy weterynaryjnej w Cnotnicach, gdzie rekonwalescencję przechodzi najprawdźszy jednorozec...

Florka poderwała gwałtownie głowę. Kamera skierowała się na nikogo innego, jak Honoratę Lipowską, która stała przy niewielkim poletku obok stajenki. Pośrodku tego malutkiego padoku, otoczonego ekipą filmową, personelem lecznicy i kilkunastoma gapiami, na drżących, patykowatych nogach stał jednorozec.

– Co?! – wydarła się Florka i zerwała z siedzenia.

Ciotki podskoczyły i również spojrzały na ekran. Lipowska uśmiechała się słodko. Prezenterka zbliżyła się do niej z mikrofonem.

– Pani doktor, proszę nam opowiedzieć, jak to się stało, że pod pani opiekę trafiło to niezwykle stworzenie.

– Cóż, sam szukał pomocy i wiedział, że znajdzie tu kogoś, kto mu jej bezinteresownie udzieli... Kiedy tylko zobaczyłam jego złamaną nogę, wiedziałam, że nie mogę zostawić go na pastwę losu.

Stworzenie było wyraźnie spięte i stało w bezruchu, rzucając wokół zalęknione spojrzenia błękitnymi oczami. Lewą przednią nogę unieruchomiono w temblaku i owinięto grubo bandażem. Sierść stworzenia była przybrudzona, a róg wyglądał, jakby stracił swój wewnętrzny blask.

– Och... jaki piękny! – westchnęła ciocia Laura. – Dobrze, że ktoś mu pomoże.

– Nie, niedobrze – rzekła poważnie Florka. – Lipowska to kretyńska. Patrz na ten opatrunek, jak to wygląda?! – Wskazała na ekran. – Zgarnęła go, żeby uprawiać słodkopierdzenie w telewizji, ale założę się, że kompletnie nie wie, jak go leczyć.

– Co ty się tak uwzięłaś na tę Lipowską? – spytała Teresa.

– Widziałam, jak potraktowała martwe zwierzęta, i nasłuchiwałam się o niej od Bastiana. Ona nie wie, co robi! Zabije tego jednoroźca swoją głupotą i tyle z tego będzie. Trzeba... trzeba... – zająknęła się. – Iza będzie wiedzieć, jak mu pomóc. Muszę jej o tym powiedzieć.

Złapała klucze, wrzuciła je do plecaka i zaczęła pospiesznie zakładać buty. Laura potruchtowała za nią.

– Gdzie ty się tak spieszysz? Nie masz czasem dzisiaj na dwunastą?

– Nie mogę czekać, bo mnie rozniesie – odparła niecierpliwie Florka. Wybiegła z domu, wsiadła na rower i pomknęła na Podleśną.

Wpadła do lecznicy jak burza i udała się prosto na salę chirurgiczną. Iza była pochylona w skupieniu nad jakąś kotką, a Bastian stał po drugiej stronie stołu i przyglądał się zabiegowi z lekko znudzoną miną. Na widok Florki uniósł wysoko brwi.

– A ty co, spać nie możesz?

– Lipowska ma jednoroźca – wydyszała dziewczyna.

Iza wyprostowała się i spojrzała przez ramię.

– Co?! – wykrzyknął faun. – Jak to? Skąd wiesz?

– Była w telewizji śniadaniowej. Złapała go i niby „leczy”. – Tu narysowała palcami w powietrzu cudzysłów. – To ten sam, którego widzieliśmy w niedzielę, ma chorą nogę. Ona go trzyma na podwórku i pokazuje jak w jakimś minizoo.

– Stres zabije go prędzej od choroby – stwierdziła poważnie Izabela. – Zadzwoń do Tomasza. Może coś wskóra... choć wątpię.

Florka przytaknęła i zaczęła szukać numeru w telefonie. Bastian zacisnął usta i dłonie.

– No tak, to do niej pasuje. Ładne i medialne, to trzeba zrobić szum. Tylko co tak naprawdę możemy zrobić? – spytał. – Lipowska ma jakieś umowy na zajmowanie się dzikimi zwierzętami...

– Ja również – rzekła Iza – ale obawiam się, że nie mamy żadnych opcji. Ona pierwsza udzieliła mu pomocy i w teorii nie ma podstaw do tego, by zmusić ją do oddania go.

– Przecież to ty się specjalizujesz w magicznych zwierzętach – zauważył Bastian. – To jest bardzo dobra podstawa.

– W weterynarii nie ma czegoś takiego jak specjalizacja w zwierzętach magicznych – tłumaczyła, nie przerywając zabiegu. – Mam specjalizację ze zwierząt nieudomowionych, ale magiczne stworzenia oficjalnie się w to nie wliczają. Dlatego nie ma żadnej podstawy prawnej do tego, by przekazać jednoroźca pod opiekę mnie czy komukolwiek innemu.

Bastian pokręcił głową. Rzucił zrezygnowane spojrzenie Florce. Ta westchnęła i przyłożyła telefon do ucha.

Była zbyt zdenerwowana, by wracać do domu, więc została w pracy i zajęła się opieką nad Zyziem. Nie chciała przyjąć tego do wiadomości, ale psiak wcale nie czuł się lepiej – a wręcz było z nim coraz gorzej. Kiedy wyprowadziła go na zewnątrz, ledwo człapał. Jedynym pocieszeniem było to, że wreszcie nie załatwił się na złoto.

Wkrótce do lecznicy zawitał Tomasz. Razem z Weroniką, swoją dziewczyną, przywieźli czternaście transporterów z chorymi i rannymi jeżami. Kiedy Iza, Florka i Bastian pilnie je oglądali, ważyli, podawali leki i próbowali ich nie pomylić, mężczyzna mówił:

– Byliśmy w Cnotnicach. Trzyma tego jednoroźca praktycznie przy samej szosie, ludzie z całej wsi przychodzą, żeby go obejrzeć. Daję mu dzień, może dwa, nim padnie na zawał – stwierdził ponuro.

– Nie ma szans na to, żeby go jej odebrać? – spytała Florka, próbując podać zastrzyk zwiniętemu w kulkę jeżowi, który fukał i podskakiwał, gdy tylko dotykała jego kolców.

– Dopóki nie będzie znamion znęcania się, to nie. A choćby i były, to interwencyjne odebranie nie będzie takie proste, nawet z asystą

policji.

– Czyli nic nie możemy zrobić – mruknęła techniczka. – Najwyżej się i płakać.

Weronika westchnęła ciężko, odkładając transportery z jeżami, które już otrzymały pomoc.

– Prawda jest taka, że lepiej by sobie poradził na wolności. Piłby zaczarowaną przez siebie wodę i jakoś by się powoli podleczył.

– Nie jeśli naprawdę ma złamaną nogę – powiedział Tomek, krzyżując ręce na piersi. – Nie mówiąc o tym, że skoro nie może uciekać, to szybko by padł ofiarą myśliwych i kłusowników. Może... z dwojga złego to jest lepsza opcja.

Florka zacisnęła usta, nieprzekonana.

– Wszędzie byłoby mu lepiej niż u Lipowskiej – prychnął Bastian. – Jak dla mnie trzeba tam jechać i go odebrać, zgodnie z prawem czy nie.

– Nie można by jej przemówić do rozsądku? – spytała Weronika.

Faun parsknął śmiechem.

– Do czego? W tej kobiecie nie ma za grosz rozsądku.

– Nie przesadzasz? Wiem, że masz do niej uraz, ale chyba za bardzo ją demonizujesz.

Florka odniosła wrażenie, że Bastian zaraz wybuchnie, ale zdołał zapanować nad sobą i powiedział tylko:

– To, czego się naoglądałem w tej lecznicy, wystarczy mi, by stwierdzić, że ta baba powinna mieć sądowy zakaz zbliżania się do zwierząt. Uwierz mi.

Zgarnął puste strzykawki z blatu i wyrzucił je do kosza, aż zagrzecotało.

Po długim czasie akcja z jeżami dobiegła końca i Faunastyczni opuścili lecznicę, obiecując, że będą trzymać rękę na pulsie. Wkrótce po tym zawitała nowa klientka, która wraz z kilkuletnią córką przyniosła świnkę morską na przegląd. Florka poszła z nią na zaplecze. Uniosła wielką, dwuipółkilową, trójkolorową kawię rasy cuy, jakby była zwycięskim pucharem.

– Patrz, jaki gigant! – zawołała do Bastiana.

Faun uśmiechnął się słabo.

– Co to za tucznik?

– Żaden tucznik, tylko Ahsoka – powiedziała wesoło techniczka, trącając pacjentkę nosem. Świnka zrobiła urażone „uf, uf”. – Przydreptała na pobranie krwi. Kłujesz?

Kiwnął głową i naszykował sobie wszystko, co potrzebne. Florka pochyliła się nad blatem, trzymając kawię przodem do siebie i patrząc w jej pełne pogardy oczy.

Bastian usiadł i zabrał się do golenia tylnej łapki. Dziewczynę zmartwiło to, że ma marsową minę i nie żartuje z grubych świńskich nóżek, jak miał w zwyczaju.

– To co, układamy plan szturmu na Cnotnice? – zagadnęła.

Spojrzał na nią i westchnął.

– Sorry, po prostu... aż mną telepie, jak o tym myślę. Najpierw duchy, teraz to... Szlag mnie trafia, że tacy ludzie mogą kosztem zwierząt robić, co im się żywnie podoba, i jeszcze zbierać za to aplauz.

Spryskał nogę świnki alkoholem i ścisnął palcami, by naczynia wypełniły się krwią. Ahsoka zaczęła kwilić zaniepokojona.

– Taa – mruknęła Florka. – Ale to aż nie do wiary, że Lipowska wciąż ma dobrą renomę przy tym wszystkim, co robi.

– Jak już mówiłem: dobrze się z tym kryje. – Faun zmrużył oczy, celując igłą w żyłę. – Zebrała tak duże grono wielbicieli, że zakrzyczą każdego, kto się z nimi nie zgadza. Bo przecież „to taka dobra kobieta”, sraty-pierdaty.

Wkłuł się w świnkę, która zakwiczała głośno. Zmarszczył brwi, widząc, że krew nie leci. Poruszył igłą, obrócił ją, lekko wysunął, lecz wciąż bez efektu innego od złości Ahsoki. Świnka majtnęła nogami i igła upadła na podłogę. Bastian powoli wciągnął, a następnie równie powoli wypuścił powietrze przez nos.

– Nie szukaj żyły na siłę, jak jej nie widzisz. Wal na oślep tam, gdzie myślisz, że powinna być – poradziła Florka. – U mnie to zawsze

działa.

Faun otworzył sobie nową igłę. Świnka zadarła wysoko łebek i łypnęła na niego, jakby chciała powiedzieć „Ani mi się waź!”. Bez zbędnego filozofowania Bastian po prostu wkłuł się w jej nogę i pozytywnie zdziwił, gdy krew wprost trysnęła do próbówki.

– Wybacz, że tak marudzę... – mruknął. – Chyba muszę rozchodzić całą tę sytuację.

– Może spacer wieczorem? – zaproponowała.

Uśmiechnął się.

– Jasne. Chętnie.

Wkrótce Ahsoka – zdrowa jak ryba i dotknięta do żywego atrakcjami, jakie zapewniła jej właścicielka – opuściła lecznicę, a niedługo po niej zrobił to też Bastian, który skończył swoją zmianę. Przez resztę dnia nie wydarzyło się nic zajmującego. Pan Mietek znów przyszedł odwiedzić Zyzia i bardzo zasmucił go brak poprawy. Psiak dzielnie merdał, jakby chciał dodać otuchy swojemu panu. Później jakiś zmartwiony chłopiec w otoczeniu kolegów przyniósł wróbla, który zaliczył zderzenie z okienną szybą. Otumaniony ptaszek szybko odzyskał wigor i odleciał, ku ogólnej radości dzieci, zachwyconych, że pani doktor go zaczarowała i wyleczyła. Pani Sakowska zaś poprosiła o coś na kleszcze dla Ryśka i dobre dziesięć minut spędziła na samej rozmowie z Florką, przepraszając raz po raz.

Spokój był miłą odmianą.

– Które z was jest ze mną w sobotę? – spytała Izabela pod koniec dnia.

– Ja – odparła techniczka. – A co?

– Być może czeka nas cięcie cesarskie u buldożki. – Iza dała wyraz swojemu zniesmaczeniu przez delikatne uniesienie lewej brwi. Przejrzała kalendarz i zanotowała w nim coś. – Chciałam tylko cię uprzedzić.

– Jasne. Nie ma problemu.

Lekarka przytaknęła. Odłożyła kalendarz i wyłączyła laptopa.

– Dziękuję za twoją dzisiejszą pomoc.

Florka odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem, nieco zdziwiona tym wyrazem wdzięczności. Dźwignęła worek ze śmieciami i ruszyła w stronę wyjścia.

Nie zdążyła dojść do drzwi w poczekalni, bo te otworzyły się szeroko i do środka wpadł Bastian ze swoim psiakiem na rękach. Techniczka aż podskoczyła wystraszona.

– Och! Aż tak się nie możesz doczekać spaceru? – spytała wesoło. Wtem zauważyła jego przerażoną minę.

– Chojrak – wydyszał faun – zjadł kokony wrózek.

Florka odetchnęła z ulgą, zamykając drzwi klatki. Chojrak powoli dochodził do siebie po płukaniu żołądka – a ona po tym, jak musiała asystować przy tym zabiegu. Sprawdziła przepływ kroplówki, temperaturę psa oraz poduszki grzewczej. Kiedy zyskała pewność, że wszystko jest w porządku, zabrała się do sprzątania. Leżący w klatce obok Zyzio spoglądał na nią nieco zalekniony.

Izabela sprawdzała dawkowanie leków w jednej z wielu książek, które znajdowały się w bibliotece w pomieszczeniu socjalnym. Kiedy Florka tam weszła, by zabrać swoją opróżnioną puszkę po coli, spytała:

– Wyjdzie z tego?

Lekarka nie odpowiedziała od razu.

– Zadziałaliśmy szybko, ale kokony są najbardziej trujące. To w zasadzie kłęb czystego pyłku. Walka ze skutkami zatrucia będzie bardzo trudna... jeśli nie niemożliwa.

Florka zacisnęła usta. Wrzuciła puszkę do worka i wyszła przed lecznicę.

Zauważyła Bastiana, który siedział przy brzegu stawu ze słuchawkami w uszach, obejmując nogi. Nad wodą unosiły się ważki, a wokół świerszcze grały już wieczorny koncert.

Wyrzuciła śmieci do kontenera, otrzepała ręce i podeszła do fauna. Usiadła obok niego po turecku.

– Czego słuchasz? – zagadnęła.

Bez słowa podał jej jedną słuchawkę. Usłyszała ciężkie nuty symfonicznego metalu. Światło lampy przy drzwiach lecznicy za ich plecami rzucało faunowi na twarz cień jego rogów.

– Powinienem być lepiej go pilnować – powiedział zachrypniętym głosem.

– To nie twoja wina.

Milczeli przez chwilę. Bastian pokręcił głową.

– Nie wiem... Nie daruję sobie, jeśli... – Westchnął ciężko. – Wiem, że on z tego raczej nie wyjdzie. Patrz na Zyzia, co się z nim dzieje, a struł się dużo mniej niż Chojrak. – Wyjął słuchawkę z ucha, sięgnął po telefon i wyłączył muzykę. – Potrzeba by cudu, żeby wyzdrowiał.

Florka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie potrafiła znaleźć żadnych słów pocieszenia, bo wiedziała, że i jej w takiej sytuacji nic by nie pomogło. Wyciągnęła rękę i objęła go delikatnie. Bastian oparł podbródek na kolanach.

Przez chwilę siedzieli tak na brzegu stawu, pogrążeni każde w swoich myślach. Florka zapatrzyła się na żabę zanurzoną w wodzie po szyję. Gdzieś w oddali zaryczała krowa. Na wieczornym niebie nieśmiało pojawiały się pierwsze gwiazdy, migoczące jak magiczny pył.

Wtem coś przyszło Florce do głowy. Poderwała się i kucnęła przed Bastianem.

– Uwolnimy jednoroźca – rzekła stanowczo.

Uniósł brew.

– Co?

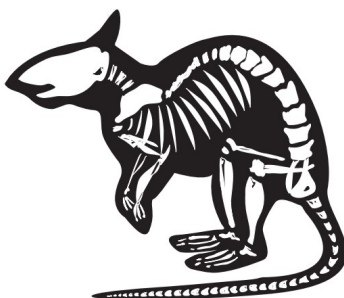
– To, co powiedziałam. Uwolnimy go. Odbierzemy tej pindzie, Iza się nim zaopiekuje i... może on też nam pomoże. Zaczaruje wodę i uratujemy Chojraka. I Zyzia też.

Faun parsknął z powątpiewaniem.

– I jak zamierzasz go do tego przekonać? Poprosisz go?

– Poproszę, zmuszę, przekupię... Nie wiem! Ale musimy spróbować. Jeśli się uda, uratujemy i jego, i Chojraka. A jeśli nic nie zrobimy, to będziemy do końca życia się tym zadręczać.

– Co za dramatyzm – rzucił, siląc się na wesołość. Zacisnął usta, zastanowił się, po czym wstał. – Dobra. Robimy to. Masz jakiś plan?



ROZDZIAŁ VII

MISJA POTENCJALNIE NIEMOŻLIWA

Samochód zajechał przed urząd poczty w Cnotnicach. Iza zgasiła silnik i wyłączyła światła. Zapadła ciemność zabarwiona żółtą poświatą stojącej kilka metrów dalej latarni. Znajdowali się blisko granicy miejscowości, w cichej i spokojnej okolicy. Przy samej szosie nie stało wiele domów mieszkalnych, otaczały je pola uprawne i las.

Bastian nerwowo zabębnił palcami o siedzenie przed sobą.

– Jeśli to się uda, obetnę sobie ogon.

Izabela zapatrzyła się w kierunku lecznicy skrytej za rzędem tui.

– Jesteś pewien, że na terenie nie ma monitoringu? – spytała.

– Na bank nie było, kiedy się stamtąd wynosiłem – zapewnił Bastian.

Obok przejechał hałaśliwie tir. W pobliżu rozległo się szczekanie psów. Florka przygryzła wargę, martwiąc się, jak stworzenie tak delikatne jak jednorozec wytrzyma noc w tym miejscu. Czy

zapewniono mu jakiegokolwiek schronienie? Może w okolicy wciąż snuły się zagubione dusze zwierząt, których się bał?

Sprawdziła godzinę. Dochodziła druga.

Czekali w napięciu nieco ponad kwadrans, nim podjechał do nich samochód terenowy. Zaparkował obok ze zgaszonymi światłami. Wszyscy troje odpięli pasy i wyszli na spotkanie kierowcy terenówki.

Tomasz skinął im głową.

– Na pewno chcecie to zrobić? – spytał po cichu.

– Chcemy – powiedziała stanowczo Florka.

Mężczyzna wypuścił głośno powietrze.

– No dobra. To jedziemy z tym koksem.

Otworzył tylne drzwi i wziął coś z siedzenia. W powietrzu uniósł się apetyczny zapach wędzonki.

– To nasza przynęta? – spytał Bastian.

Tomasz uniósł materiałowy worek.

– Mięso hippalektriona. Sam bym zjadł, gdyby nie było nam potrzebne...

– Serio? Zjadłbyś hippalektriona? – spytała nieco zde gustowana Florka.

– Ich mięso jest pyszne. I drogie. Nawet nie wiesz, z jakim bólem je oddaję.

– Ćśś – syknęła Iza. – Przygotujcie się.

Tomek wcisnął Bastianowi worek w rękę i powiedział:

– Czekajcie, pójdę na przeszpiegi.

Oddalił się ostrożnym krokiem. Faun wyjął z bagażnika duży plecak i go założył. Florka upewniła się, że ma całkiem wyciszony telefon. Po niedługiej chwili mężczyzna wrócił.

– Wszystko pogaszone. Psy biegają. – Odetchnął głęboko i ponownie wziął worek. – Dobra. Odciągnę je najdalej, jak się da. Dam wam sygnał, jak będzie bezpiecznie.

– Powodzenia – szepnął Bastian.

Bez zbędnych pożegnań Tomasz ruszył ku lecznicy. Trójka włamywaczy ukryła się za tujami, wsłuchana w oddalający się szelest trawy. Czekali w napięciu na znak, że mogą przystąpić do akcji. Iza nie odrywała wzroku od swojego telefonu.

Usłyszeli szczekanie psów, które szybko zmieniło się w zaintrygowane skomlenie. Odgłosy oddaliły się i wkrótce ucichły. Bastian wyjrzał ostrożnie zza drzewa. Ukryli się głębiej w cieniu, gdy szosą przejechało kilka samochodów.

Po paru pełnych napięcia minutach telefon Izy zawibrował. Schowała go i machnęła ręką. Całą trójką wyszli z kryjówki i ruszyli do akcji.

Florka miała wrażenie, że zaraz serce jej wyskoczy z piersi.

Zakradli się w miejsce, które wskazał im faun. Z boku posesji, niedaleko stajenki, w jednej części niewysokiego betonowego płotu brakowało górnego panelu. Jego gruzy leżały w trawie, zarośnięte i zapomniane. Kolejno przeszli na drugą stronę, starając się nie robić hałasu. Co i rusz rzucali zaniepokojone spojrzenia w stronę domu, ale światła w każdym oknie wciąż były zgaszone. Nie słyszeli psów – Florka miała nadzieję, że są daleko na łące i bardziej interesuje je wędlina z hippalektriona niż to, co działo się przy lecznicy.

Znaleźli się na niewielkim padoku, tym samym, na którym pokazywano jednoroźca w telewizji. Ruszyli wzdłuż płotu, ostrożnie stawiając kroki. Bastian miał racice owinięte grubym materiałem, by nie zostawiać charakterystycznych śladów.

Brama była uchylona. Wyszli na klepisko przed stajenką. Florka drgnęła, gdy nieopodal parsknął koń. Oba stały na drugim, dużym padoku przy korycie z wodą i przyglądały się intruzom znudzonym wzrokiem.

Z bliska stajenka okazała się wyglądać jeszcze mizerniej, niż zapamiętała to Florka. Ściany z poczerńiałego drewna sprawiały wrażenie, jakby trzymały się w pionie wyłącznie siłą woli, a wokół unosił się intensywny zapach obornika. Bastian zbliżył się do wrót, tak małych, że mogłyby uchodzić za drzwi. Po cichu odblokował

skobel, a potem ostrożnie, centymetr po centymetrze, otworzył jedno ze skrzydeł.

We wnętrzu zaszeleściła ściółka. W całkowitym mroku załśniło kilka par oczu kucyków, które kłębiły się przy wejściu. Gdzieś w głębi zabeczała cicho zaspiana owca.

Faun wsunął się do środka, a Florka tuż za nim. Podłoga była wyścielona grubą na dobrych kilkanaście centymetrów warstwą słomy. Na ile dziewczyna mogła to ocenić w bladym świetle padającym przez uchylone drzwi i niewielkie okienko po drugiej stronie, wnętrze stajni nie było większe od kuchni w domu cioteczek. Ściśnięte tu kuce i owca zostawiały niewiele wolnej przestrzeni.

– Rany boskie, pamiętam, jak zamykała tu też konie – szepnęła Bastian. – Gdzie one się mieściły?

– Pewnie musiały mocno wciągać powietrze – odparła cicho Florka. Zmrużyła oko, próbując coś dojrzeć w ciemności. – Gdzie jest jednorożec?

Kucyki zaczęły napierać na nich w próbie wydostania się na zewnątrz. Faun zamknął za sobą wrota, ale przez wysypującą się ściółkę musiał je trzymać, by znów się nie otworzyły.

– Rozejrzyj się – powiedział.

Florka wyjęła telefon i włączyła latarkę. Błyszczące w jej świetle oczy zwierząt sprawiały upiorne wrażenie. Dziewczyna przyjrzała im się, ale nie było wśród nich jednorożca. Ogarnęła stajenkę spojrzeniem, przeszła parę kroków w jedną i drugą stronę, ślizgając się na ubitej słomie, lecz nie było po nim śladu.

– Nie ma – skostatowała zrozpaczonym głosem. – Jest tu więcej boksów?

– Nie wiem, nigdy się tu nie kręciłem...

– Może jest w psiarni? Chociaż chyba nie byłaby taka głupia...

– Zdziwiłabyś się – mruknął Bastian. – Pewnie trzyma go w lecznicy. Chodźmy, póki te gnojki mnie nie stratowały.

Wyszli i po cichu zamknęli za sobą drzwi stajenki. Faun wskazał Izabeli budynek lecznicy i całą trójką przekradli się pod ścianę. Przeszli naokoło, pochylając się nisko, aż Bastian doprowadził ich pod jedno z okien. Zajrzał ostrożnie do środka.

– Jest! – szepnął.

Florka stanęła obok niego. Serce zabiło jej mocniej na widok tego, co znajdowało się wewnątrz. W pogrążonym w ciemności pomieszczeniu tlił się bladym światłem długi biały róg.

– Jak go stąd wyciągniemy? – spytała.

Iza zwróciła się do fauna:

– Podsadź mnie.

Podstawił jej dłonie splecione w koszyczek. Lekarka wspięła się do okna i obejrzała je uważnie. Było dwuskrzydłowe, z jednej strony uchylone od góry. Wsunęła chudą rękę do środka. Sięgnęła palcami do klamki drugiego skrzydła i spróbowała ją obrócić. Florka rozejrzała się nerwowo wokół, gdy z daleka dobiegło kilka szczeknięć. Wydawało jej się, że usłyszała jakieś odgłosy z domu, ale w tym samym momencie szosą hałaśliwie przejechała ciężarówka.

Klamka skrzypnęła cicho. Iza pociągnęła ramę do siebie i drugie skrzydło okienne stanęło otworem.

Jednorożec drgnął niespokojnie. Nekromantka bardzo powoli wspięła się na parapet i weszła do środka. Kiwnęła dłonią w kierunku Florki i ją też faun podsadził. Potem wyciągnął z plecaka duży koc i podał im.

– Pospieszcie się – syknął.

Techniczka powierzchownie ogarnęła pomieszczenie wzrokiem. Pod jedną ze ścian leżał rząd transporterów różnej wielkości. Były tu dwie pary drzwi, te na wprost okna zamknięte, drugie – uchylone. Jednorożec leżał na posadzce obok wieszaka na kroplówki i wlepił w przybyszki wystraszone spojrzenie. Jego błękitne oczy zdawały się lśnić w mroku podobnie jak róg. Zabeczał cicho.

– Żadnych gwałtownych ruchów – powiedziała Iza tak cicho, że Florka ledwo ją usłyszała.

Zacząła się skradać ku stworzeniu z uniesioną dłonią. Techniczka podążyła powoli za nią z rozłożonym kocem.

Wtem rozległ się odgłos kroków na schodach i w szparze pod zamkniętymi drzwiami zapaliło się światło.

Rozejrzały się błędnie wokół. Florcka w panice rzuciła się do okna i zamknęła je tak cicho, jak tylko mogła. Iza wskoczyła do sąsiedniego pomieszczenia, pociągnęła dziewczynę za sobą i przytknęła drzwi. Obie przywarły do ściany w bezruchu. Techniczka wstrzymała oddech; w głowie zaczęło jej huczeć ze strachu.

Ktoś wszedł do pokoju obok i włączył światło. Usłyszały głos doktor Honoraty:

– Czemu nie śpisz na posłanku? Chodź tu, Kuśtyk, no chodź, patrz, jak tu miękko... Co tak drżysz? Zimno ci?

Rozległ się odgłos zamykanego okna. Florce zakręciło się w nosie – zdała sobie sprawę, że znalazła się obok blatu z mnóstwem pełnych pojemników na kał i szalek agarowych, wokół których unosił się kwaśny zapach odchodów i pleśni. Przycisnęła dłoń do ust, rozpaczliwie próbując powstrzymać kichnięcie.

Lipowska jeszcze chwilę pokręciła się po pomieszczeniu, pożegnała czule z jednorożcem, zgasiła światło i wyszła.

Minęła jakaś minuta, nim włamywaczki odważyły się poruszyć. Wymieniły spojrzenia i Florcka odetchnęła z ulgą. Zajrzała do pomieszczenia obok. Jednorożec wciąż leżał na swoim miejscu i spoglądał na nie tak, jakby pogodził się z losem i czekał tylko na marny koniec.

Iza spojrzała w stronę okna. Oba skrzydła były zamknięte.

– Świetnie – mruknęła cicho Florcka. – Teraz już w żaden sposób nie upozorujemy ucieczki.

– Trudno – odparła lekarka i wzięła od niej koc. Rozłożyła go, podkradła się powoli i położyła przed jednorożcem. – Pomóż mi.

Razem pochyliły się nad nieszczęsnym stworzeniem. Florcka dotknęła jego białej, przybrudzonej sierści. Mimo napiętej sytuacji

nie mogła nie zwrócić uwagi na nieziemskie piękno jednoroźca. Grzywa była miękka i jedwabista, tak jak i kozia bródka. Racice miały opalizujący połysk, podobnie jak skręcony spiralnie róg, który wyglądał, jakby był zrobiony z masy perłowej. Dziewczyna nie wiedziała, czy było tak naprawdę, czy to sobie wymyśliła, ale poczuła dziwny, kojący spokój – jakby ta potrzebująca pomocy istota sama chciała jej udzielić i czyniła to siłą woli.

Florka otrząsnęła się i zabrała wraz z Izą do przeniesienia jednoroźca na koc. Nie protestował, co wyraźnie zmartwiło lekarkę, która zmarszczyła lekko brwi. Owinęły go na tyle delikatnie, by nie urazić rannej kończyny, i jednocześnie tak mocno, by nie wyslizgnął się i nie upadł na ziemię. Podniosły go z pewnym trudem. Wtedy nagle ocknął się z letargu, szarpnął się, zabeczał cicho i machnął głową. Róg przeciął powietrze ze świstem, niemal wybijając technicznie drugie oko. Iza objęła go mocno za szyję, gdy Florka zaasekurowała zad. Przez kilka dramatycznych sekund szamotał się w kokonie z koca, błyskając białkami oczu. Potem zabeczał ostatni raz i zwiesił głowę.

– Żyje? – spytała zaniepokojona Izabela.

Florka przypadła do niego. Drgnął i łypnął na nią, nim zdążyła mu tknąć gałkę oczną.

– Żyje. Pospieszmy się.

Otworzyła okno na oścież, wspięła się na parapet i zeskoczyła na ziemię. Bastian był blady jak ściana – nawet piegi mu zbieleły.

– Jak nie on, to ja zejść na zawał – szepnął.

Bardzo ostrożnie przejęli od Izy jednoroźca. Bastian dźwignął go sam, a stworzenie oparło mu łeb na ramieniu. Lekarka stanęła obok nich.

– Chodźmy, szybko – powiedziała.

– Zostawimy ślady? – spytał faun, wskazując podbródkiem na okno. – Nie możesz zamknąć tego czarami?

– Nie zajmuję się magią tego rodzaju. Nic z tym nie zrobimy.

Bastian owinął wokół lśniącego rogu kawałek czystego materiału. Ruszyli w drogę powrotną. Florka wyjrzała zza węgła – psów nie było w zasięgu wzroku ani słuchu. Przemknęli przez podwórko, potem przez mały padok. Przeszli przez zniszczony płot, bardzo uważając przy przekazywaniu jednoroźca z rąk do rąk. Ukryli się za tujami, by nie zauważył ich nikt w przejeżdżających szosą samochodach. Iza wyjęła telefon i puściła sygnał Tomaszowi.

Jednorożec wtulił głowę w szyję Bastiana. Ten wydawał się poruszony.

– Chyba cię lubi – szepnęła dziewczyna.

– Fauny budzą zaufanie u niektórych stworzeń – wyjaśniła Izabela. – Jedź z nim z Tomaszem, będzie spokojniejszy.

Bastian tylko pokiwał głową i objął silniej cudowne zwierzę.

Wkrótce Tomek wrócił. Psy śledziły go za płotem z nadzieją w oczach. Rozejrzał się po jezdni i zaprowadził wszystkich do swojej terenówki. Faun ostrożnie umieścił jednoroźca na tylnym siedzeniu i usiadł obok. Florka i Iza wsiadły do drugiego samochodu. Wkrótce ruszyli w drogę powrotną do Zrębek.

Potworne ciśnienie, które rozsadzało Florce czaszkę ze stresu, wreszcie opadło.

Pod osłoną nocy zajechali na posesję Tomasza i ulokowali jednoroźca w przygotowanej dla niego szopce. Złożyli go w miękkim kocu na świeżej słomie, zawiesili mu blisko głowy siatkę pełną siana i suszonych kwiatów i napełnili korytko świeżą wodą.

– Dajmy mu odpocząć – powiedziała Izabela, przyglądając się z pewnej odległości jego unieruchomionej kończynie. – Rano go prześwietlimy i zobaczymy, co się da zrobić.

– Oby Lipowska się nie domyśliła, gdzie mógł się podziać – powiedział Tomek, nerwowo stukając palcami o przedramię.

– Na dobrą sprawę nie ma powodów, by myśleć, że to my go zabraliśmy. – Florka wzruszyła ramionami, ale chciała tymi słowami przekonać bardziej samą siebie niż pozostałych. – Nas nie widziała na oczy, ty z Weroniką chyba nie daliście jej powodów do podejrzeń.

– Hm. Może.

Zapatrzyli się na leżące pod ścianą stworzenie, spokojne tylko z pozoru. Owinęło się długim ogonem jak kot szukający ciepła i unikało patrzenia na otaczających go ludzi. W końcu zgasili światło i zostawili je w zamkniętej na kłódkę szopce.

Gdy pożegnali się z Tomaszem i wsiedli do samochodu Izy, Bastian powiedział:

– Wygląda na to, że muszę sobie obciąć ogon.

Florka parsknęła śmiechem.

– Darujemy ci.

Florka pojawiła się w lecznicy pół godziny przed otwarciem. Wolała być wcześniej, jako że czekało ich przeprowadzenie badań u jednoroźca. Gdy zamyślona szła przez szpital do pomieszczenia socjalnego, o mały włos nie potknęła się o Bastiana, który leżał przy klatkach.

– Jezus Maria! – krzyknęła, robiąc nad nim susa w ostatniej chwili. – Co ty tu robisz?

Faun przetarł oczy i uniósł się na łokciach. Spoczywał na materacu stabilizacyjnym przytulony do Chojraka.

– Nie chciałem... zostawiać go samego – odparł Bastian, ziewając jak smok.

Florka kucnęła obok.

– Byłeś tu całą noc?

– Mhm. Żeby, hm, się nie stresował.

Dziewczyna pokiwała głową ze zrozumieniem. Psiak spojrzał na Florke, pacnął bez przekonania ogonem i uniósł lekko nogę, by pokazać brzuch. Pogłaskała go, a on podał jej łapę owiniętą kolorowym bandażem elastycznym, pod którym znajdował się wenflon.

– Iza wie czy się tu włamałeś? – spytała żartobliwie.

– Wie, wie. – Usiadł, oparł łokcie na kolanach i podrapał się po rozczochranych włosach. – Ech, wolałbym z nim zostać, ale ona mówi, że będę potrzebny przy jednoroźcu.

– Mogę ja zostać – zaoferowała dziewczyna, patrząc na odpoczywającego w jednej z klatek Zyzia.

– Iza mówiła, że potrzebuje nas obojga.

– Może tak mówi, bo wie, że chciałabym jeszcze popatrzeć na jednoroźca. – Uśmiechnęła się i wstała. – Chcesz coś do picia?

– Morbital – jęknął słabo faun.

– Limonkowy czy multiwitamina? – spytała wesoło. Pogrzebała w plecaku, wyjęła kolorową puszkę energetyka i podała ją Bastianowi. Kiwnął z wdzięcznością głową, otworzył i pociągnął kilka chciwych łyków. Zaśmiał się ponuro.

– W ogóle nie wierzyłem, że nam się uda.

– Szczerze? Ja też nie – powiedziała Florka. – W sumie to jestem w szoku, że tak dobrze nam poszło. Już się widziałam za kratkami.

– Serio chciałaś tyle zaryzykować, żeby uratować tego jednoroźca? – spytał Bastian po chwili.

– I jego... i Chojraka. – Pomasażowała psiakowi uszy. – To znaczy, jeśli to w ogóle możliwe... ale trzeba spróbować.

Faun pokiwał głową i pogładził psa po boku. Napił się, wstał i wyciągnął z szafki pompę infuzyjną. Florka pomogła mu podłączyć kroplówkę, potem zajęła się odwoływaniem zaplanowanych na dziś zabiegów. Jeden z klientów bardzo dosadnie wyraził swoje oburzenie i oznajmił, że w takim razie pojedzie do Cnotnic i że Izabela właśnie straciła klienta. Techniczka przewróciła okiem i odnotowała sobie w pamięci, by pomodlić się za kotkę, która trafi pod opiekę Lipowskiej.

Niedługo po tym do lecznicy przyszła Iza. Po niej jednej nie było widać ani cienia zmęczenia – choć byłoby to dostrzegalne tylko dla tych, którzy nie mieli z nią do czynienia na co dzień. W pierwszej kolejności sprawdziła, w jakim stanie są Zyzio i Chojrak. Nic nie powiedziała, a Bastian wyraźnie bał się dopytywać. Kiedy faun zaniósł dobrze zapakowany aparat rentgenowski do samochodu, Florka zagadnęła lekarkę:

– Gdyby Bastian chciał... mogłabyś, no, zrobić z Chojrakiem to, co z Przekręt?

Niespodziewanie kamienna twarz Izabeli przybrała nieznacznie smutny wyraz.

– Mogę straszyć tym ludzi, którym niespecjalnie zależy na dobrostanie zwierząt... ale nie jest to los, którego można innym zazdrościć. Jeśli Sebastian sam nie wyjdzie z inicjatywą, nie zamierzam mu tego proponować.

Florka pokiwała głową.

– To... boli? Jest nieprzyjemne? – spytała.

– Sam proces nie jest bolesny. Jest szokujący. Nie każdy to przetrwa. Większość prób wskrzeszenia kończy się niepowodzeniem – mówiła Izabela, sprawdzając zawartość apteczki. – Zwierzęta znoszą to lepiej, ale ożywianie ich jest... niejednoznaczne moralnie. Przekręt była materiałem naukowym. – Spojrzała na szczurzycę, która przyglądała jej się ze stołu. – Gdybym jej nie zabrała, skończyłaby jak wszystkie: w piecu. Długo nie potrafiła się przystosować. Nie rozumiała, dlaczego nie może jeść pożywienia, którego zapach czuje, gryzła się po łapach do gołej kości, była agresywna. W końcu przywykła, ale nie każdemu się to uda. Nie jest to stan, z którego można czerpać przyjemność.

Jej słowa miały w sobie subtelną gorzką nutę. Florka się zamyśliła.

W tej chwili w progu stanął Bastian.

– To co, jedziemy?

Wkrótce, zabrawszy wszystko, co potrzebne, wsiedli do samochodu i pojechali do domu Tomasza. Udali się do stajenki, starając się swoim zachowaniem nie wzbudzać wątpliwości u sąsiadów, którzy mogliby się zainteresować, co nowego przyniósł z lasu założyciel fundacji od magicznych stworzeń.

– Jeszcze do niego nie zaglądałem – powiedział po cichu mężczyzna. – Nie chciałem go stresować. Mam nadzieję, że żyje.

Zdjął kłódkę i uchylił drzwi. Zajrzał do środka i odetchnął z ulgą. Iza zwróciła się do Bastiana:

– Wejdz pierwszy. Postaraj się go uspokoić.

Faun zwilżył usta i wystąpił naprzód. Zniknął za drzwiami, szeleszcząc racicami na słomie. Florka schyliła się nisko i pod łokciem Izabeli podejrziała, co robi Bastian. Skradał się ostrożnie z wyciągniętą dłonią, szepcząc coś uspokajająco. Jednorożec stał w rogu i patrzył na niego z ukosa. Długi ogon schował pod siebie i sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał czmychnąć. Po chwili jednak zwrócił głowę w stronę Bastiana. Skóra na łopatkach drgnęła raz i drugi. Faun podniósł garść kwiatów, które wysypały się z siatki, i zaoferował je jednorożcowi, przemawiając do niego cicho. Ten wyciągnął nieco szyję, ale nie ruszył się z miejsca. Zagarnął miękkimi chrapami odrobinę płatków hibiskusa. Pozwolił się dotknąć, a po chwili nawet pogłaskać po boku.

Bastian spojrział przez ramię na zapatrzonych w niego Izę, Florę i Tomasza. Wyglądał, jakby bał się bardziej od jednorożca.

– Dobra robota – powiedziała Izabela. Wskazała na zostawione obok sprzęty. – Zdejmijcie mu opatrunek i zróbcie zdjęcie. Potem zobaczymy, co dalej.

– Nie zbadasz go? – spytał Tomek, wachlując się kapeluszem.

– Wolę się do niego nie zbliżać od razu. Może źle zareagować na nieumarłą.

– Aa, okej, to ma sens.

Mężczyzna pomógł Florce wyjąć aparat rentgenowski z pokrowca. Wzięła cały sprzęt, wsadziła kliszę pod pachę i powoli weszła do środka.

Z zachwytem patrzyła na to, jak faun karmi to piękne stworzenie z ręki, drugą dłonią gładząc je delikatnie po grzbiecie. Kucnęła obok i ostrożnie sięgnęła do lewej przedniej nogi jednorożca. Zerknął na nią niepewnie, a kiedy dotknęła opatrunku, podrzucił łbem i zrobił krok do tyłu.

– Ćśś – szepnął Bastian. – Wyluzuj, mały, ogarniemy to.

Florka dała jednorożcowi chwilę na uspokojenie się, potem znów spróbowała zdjąć opatrunek. Choć robiła to bardzo powoli, co

chwile wyszarpywał nogę i podrzucał głową, łaskocząc techniczkę w czoło kozią bródką. W którymś momencie machnął ogonem i smagnął Bastiana pędzelkiem po plecach, jakby chciał mu się poskarżyć. Faun zaśmiał się cicho.

Jednorożec za nic nie chciał położyć racicy na bloczku w odpowiedni sposób. Bastian próbował przytrzymać jego nogę nad stawem nadgarstkowym, żeby nie zasłonić niczego poniżej, i po kilku próbach udało się zrobić w miarę ostre zdjęcie. Izabela przyjrzała mu się uważnie, siedząc z laptopem na kolanach oparta o ścianę szopy. Florka podeszła do Izy i spojrzała jej przez ramię.

– Nie jest złamana – powiedziała lekarka.

– Uff – odetchnął Tomasz. – No ale z jakiegoś powodu kuleje. Dobrą nogę prześwietliliście?

Florka rzuciła mu urażone spojrzenie. Iza wskazała na spodnią część racic.

– Zaatakowały go skuły. Widzicie te rowki? Wgryzły się w podeszwę i przeżarły niemal do samej kości.

– Co to są skuły? – spytała Florka.

– Owady z rodziny skorkowatych – wyjaśniła lekarka. – Żyją na łąkach i czasami atakują kopyta czy racice wypasających się tam zwierząt.

Bastian zerknął na swoje nogi i odsunął się nieco od jednorożca.

– A to sukinsyny – powiedział Tomek. – No tak, to ma sens, za bardzo się zapuszczał na pola i coś złapał.

– Da się to wyleczyć? – drążyła techniczka.

– Bez problemu – odparła Iza. – Wystarczy je wyeliminować i wspomóc regenerację. To magiczne stworzenia, więc będzie potrzebne magiczne remedium, ale całą resztę można załatwić farmakologicznie.

– Świetnie! – Tomasz uśmiechnął się szeroko i zajrzał do środka. – Może dzięki temu nie zdąży się zbyt przywiązać do ludzi.

Florka popatrzyła na jednorożca, którzy ostentacyjnie odwracał głowę i zerkał w jej stronę. Bastian ponownie się zaśmiał i wyciągnął

rękę.

– Dobra, dajcie mi wszystkie strzykawki, żeby mnie też znienawidził.

Po podaniu pacjentowi leków i posmarowaniu rąk maścią, nad którą wcześniej Izabela wyszeptała kilka zaklęć, wszyscy stanęli za progiem szopki, obserwując jego poczynania. Jednorożec był wyraźnie niezadowolony z okazanej mu opieki, ale przynajmniej nie wariował ze strachu. Zrobił kilka kroków, wciąż mocno kulejąc.

– Maść będzie trochę szczypać. Zajmie to jakiś tydzień, nim ból w większości ustąpi – rzekła Iza. – Pełna rekonwalescencja dwa albo trzy.

– To i tak krócej, niż się spodziewałem – powiedział Tomasz.

– A Lipowska mu złamanie leczyła – prychnęła Florka. – No, ale temblak wygląda bardzo dramatycznie w telewizji.

– Taa... Bałem się tej akcji, ale dobrze, że z wami poszedłem. Pewnie by go nerwy zabiły w tej lecznicy.

Jednorożec obrzucił ich pogardliwym spojrzeniem i ruszył powoli w stronę korytka. Powąchał jego zawartość, a następnie zrobił krok w tył, pochylił łeb, wykonując niewielki ukłon, przymknął oczy i dotknął wody czubkiem rogu.

Wszyscy wstrzymali oddechy.

Róg załśnił, jakby wewnątrz zapłonął biały ogień. Powierzchnia wody zafalowała lekko, odbijając blask. Potem jednorożec zaczął pić.

Po chwili stworzenie machnęło biczowatym ogonem i odeszło od korytka. Iza zerknęła na nie czujnie, wyjęła z leżącej nieopodal apteczki wielką, pięćdziesięciomililitrową strzykawkę i poleciła Bastianowi, by ją napełnił. Faun podszedł, naciągnął wody i wycofał się powoli.

– Chodźmy – poleciła Izabela.

Zabrali cały sprzęt, pożegnali się z Tomkiem i wrócili do lecznicy. Za progiem gabinetu lekarka wręczyła Bastianowi strzykawkę.

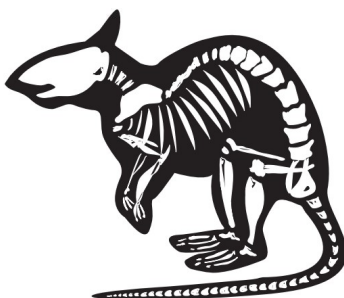
– Rozcieńcz to jeden do jednego z NaCl-ką i podłącz Zyziowi i Chojrakowi.

– Dożyłnie? – spytał zdumiony faun. – Wodę z koryta?

– Magia ją wysterylizowała. To zupełnie bezpieczne.

Kiwnął głową nieprzekonany. Florka dołączyła do niego i wyciągnęła z szafki butelkę roztworu. Spojrzała na odpoczywające w klatkach psy. Oba wyglądały na wycieńczone. Chojrak polizał swojego pana po dłoniach, gdy ten podłączał do wenflonu przedłużacz do pompy infuzyjnej. Bastian pogłaskał go czule.

– Będzie dobrze, wariacie – powiedział. – Będzie dobrze.



ROZDZIAŁ VIII

KŁOPOTY SĄ JAK KRÓLIKI

– A ty słyszałeś, że doktorce w Cnotnicach ukradli tego kozioroźca?

Florka przystanęła obok sklepowych drzwi, udając, że otworzenie opakowania lodów na patyku sprawia jej nadspodziewanie dużo trudności. Korpulentna staruszka – pani Woroniowa, pierwsza plotkara we wsi – oparła dłonie na biodrach, czekając niecierpliwie na reakcję siwego mężczyzny z rowerem.

– Co pani powie? – spytał. – Tego, co go w telewizji pokazywali?

– Tak, tak! Podobno się włamali, okno zbili i zabrali. Nikt nic nie widział! Uśpili psy, wleźli i wzięli.

– Jak uśpili, na śmierć?

– Nie, potruc je próbowali, ale doktorka je poratowała. No i płaczą tam wszyscy, bo przecież magiczne toto, rogiem leczy i w ogóle cuda robi. To wzięli się jacyś bandyci-kłusownicy i ukradli, i pewnie go umęczą i sprzedadzą gdzieś.

Mężczyzna machnął ręką.

– Jakie te ludzie podłe są. Szkoda gadać.

– No, ja pamiętam, jak za peerelu dopiero co się te stwory pojawiły, wszystko to ludzie polowali, zabijali... A co to komu szkodzi taki koziorożec albo inny tam kłobuk czy coś, niech se lata to po lesie, jak w szkodę nie idzie.

– Ale te wróżki to niech chmura zawali – mruknął mężczyzna, krzywiąc się z niesmakiem.

– A tak, tak, wróżkami to nic tylko w piecu napalić.

Florka uśmiechnęła się pod nosem, wyrzuciła papieraek i poszła w swoją stronę, delektując się smakiem lodów owocowych. Dotarła do domu cioteczek i zauważyła pracującą w ogrodzie Laurę, więc podeszła do niej i uwiesiła się na płocie.

– Nadają się do czegoś te truskawki? – spytała.

Ciocia rzuciła jej poirytowane spojrzenie.

– Wszystko szlag trafił – warknęła. – Ja nie wiem, co je tak zżera, ślimaki, robaki czy te cholerne wróżki, ale każdy krzaczek opędzlowany niemal do cna.

– Czyli w tym roku nie będzie dżemiku – stwierdziła Florka, leniwie liżąc lody. – Zawołaj czarodzieja, żeby im jakąś tarczę nałożył czy coś.

– Ta, ehe, już ja widzę, jak to się skończy. Ktoś tu we wsi kiedyś się szarpnął na takie właśnie czarodziejskie metody i owszem, zaczarowali im nasiona, żeby ptaki ich nie wydziobały, tylko z tych nasion wyrosły warzywa tak obrzydliwe, że nawet świnie nie chciały ich jeść. Nie, nie, od magii lepiej się trzymać z daleka.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Jak tam chcesz. To może jakąś siatkę na te truskawki nałóż.

Ciocia westchnęła ciężko i załamała rękę, zapatrzona na gołe krzaczki.

– Najpierw to coś tu musi znowu wyrosnąć. A powiedz mi – zagadnęła konspiracyjnie – ten wasz... wiesz kto... jakbyś wzięła trochę tej magicznej wody, żebym nią tu podlała...

– Potrzebujemy jej dla chorych zwierząt – odparła Florka, spoglądając na Laurę z pobłażliwym uśmiechem. – A on nie produkuje jej taśmowo.

– No tak, ale jakby coś wam zostało, to wiesz...

– Zobaczymy – powiedziała bez najmniejszego zamiaru szmuglowania zaczarowanej przez jednoroźca wody do podlewania truskawek. Zjadła lody do końca, weszła na podwórko i udała się po rower. – To ja będę lecieć.

– Zamierzacie znowu się szlajać po nocy? – spytała ponurym tonem ciocia.

Florka uśmiechnęła się przepaszająco.

– Mam nadzieję, że nie.

Pożegnała się i pojechała do lecznicy. Na miejscu skierowała się prosto na szpital, gdzie zgodnie z przewidywaniami znalazła Bastiana. Klęczał przy klatkach i obserwował, jak Chojrak z niepewną miną patrzy na miskę z karmą.

– Co u niego? – spytała Florka.

– Trochę lepiej. Chodzi, załatwia się... Ale jeść nie chce. – Faun potrząsnął miską, ale zapach jedzenia z saszetki nie zachęcił psiaka, który spojrzał na swojego pana tak, jakby pytał, czy uważa, że to jest wartościowy posiłek.

Techniczka zajrzała do sąsiedniej klatki. Zyzio przyglądał jej się z postawionymi uszami.

– Ten koleżka też wygląda lepiej – zauważyła.

– Iza mówiła, że ze dwie takie kroplówki i będzie zdrowy. Chojrak jeszcze trochę... ale jest nadzieja.

Bastian wstał i przysiadł na blacie. Stanęła obok niego zamyślona.

– Dostał dzisiaj drugą kroplówkę od jednoroźca? – spytała.

– Rano nie wyszło. Najwyraźniej nie chciało mu się pić i nic nie zaczarował. Tomasz powiedział, że zabierze mu wodę dwie godziny przed waszym przyjazdem i może wtedy mu się zachce. – Spojrzał

na Florkę. – Dzięki. Gdyby nie ten twój szalony plan, Chojrak nie miałby żadnych szans.

Nachylił się ku niej i lekko trącił ją czołem o czoło. Zachichotała.

– To tak fauny okazują sobie wdzięczność?

– Hm, tak... Można tak powiedzieć – odparł zakłopotany i podrapał się za uchem.

W pomieszczeniu pojawiła się Izabela, tak cicho, jakby się po prostu zmaterializowała. Bastian obrócił się ku niej.

– Nadal nie chce jeść – powiedział.

– Zobaczymy, czy wieczorem uda nam się zdobyć więcej wody. – Iza pochyliła się nad klatką z Chojrakiem. Psiak spoglądał na nią niepewnie. – Kilka pierwszych dni terapii jest najważniejszych.

Usłyszeli ruch w poczekalni. Iza udała się do gabinetu, Florka tymczasem poszła się przebrać. Usłyszała czyjś podniesiony głos i przewróciła okiem, szykując się psychicznie na spotkanie z roszczeniowym klientem... gdy zdała sobie sprawę, że ten klient brzmi znajomo.

Ubrała się pośpiesznie i przeszła przez lecznicę. Pod drzwiami gabinetu czaił się Bastian z czujnie postawionymi uszami. Na widok Florki położył palec na ustach i bezgłośnie powiedział: „Lipowska”.

Dziewczyna wytrzeszczyła oko i również zakradła się do drzwi. Z gabinetu dobiegł opryskliwy głos Honoraty:

– Och, niczego nie sugeruję, ale do kogo mógłby trafić ranny jednorozec, jak nie do rzekomej specjalistki od magicznych zwierząt?

– Nie przetrzymuję tu żadnych magicznych zwierząt – odparła spokojnym tonem Izabela. – A już z pewnością nie jednorozca.

– Może ktoś go tu przyniósł na leczenie? Nikt nie dopytywał o jakieś leki dla jeleniowatych, żeby go na własną rękę leczyć i Bóg wie co dalej z nim zrobić?

– Nikt taki wczoraj nie przyszedł, a dziś od rana zajmowałam się zabiegami chirurgicznymi, nie zdążyłam jeszcze przyjąć ani jednego pacjenta. Twoje insynuacje są bardzo nie na miejscu.

– Niczego nie insynuuję – burknęła Lipowska. – Po prostu bardzo się martwię o zdrowie i życie tego jednoroźca. Jest ciężko ranny, a ktoś się do mnie włamał i go po prostu ukradł!

– Może zatem nie trzeba było go od razu pokazywać w telewizji.

Bastian zasłonił sobie usta, by ukryć szeroki uśmiech. Doktor Honorata prychnęła jak wściekła kotka.

– Nie próbuj mnie pouczać. Jestem ciekawa, co na temat twojej działalności miałyby do powiedzenia media.

– Nie mam nic do ukrycia.

Lipowska znów prychnęła.

– Przekonamy się.

Trzasnęły drzwi i zapadła cisza. Bastian zajrzał ostrożnie do gabinetu, po czym wszedł do środka.

– Kurde, szefowa, ale jej powiedziałaś.

Wyciągnął rękę do przybicia piątki, ale Iza nie zwróciła na to uwagi. Florka nerwowo potarła dłonie.

– Mam nadzieję, że nie pójdzie go szukać u Tomka.

– Jeśli nie wpadnie tam z policją i nakazem przeszukania, to może sobie iść. Do tego czasu zdążą go gdzieś schować – powiedział Bastian.

– Oby – rzekła poważnie lekarka. – Mimo wszystko siedziba fundacji to dość oczywiste miejsce, w którym można by szukać zaginionego jednoroźca.

– Nie jeśli trzymamy się wersji, że ktoś go ukradł ze złymi intencjami – powiedział faun. – Przecież bandyta nie zawoziłby go do sanatorium.

Florka westchnęła.

– Zadziwia mnie twój optymizm.

– Inna opcja to sięść i płakać. – Bastian wzruszył ramionami. – Trzymajmy rękę na pulsie i jakoś to będzie. Nawet jeśli znajdą u Tomka jednoroźca, to nie udowodnią mu, że uczestniczył w kradzieży.

– Może ktoś nas widział...

– Ćśś, ćśś – syknął uspokajająco faun, zasłonił Florce usta dłonią i poklepał po głowie. – Nie rozsiewaj negatywnych fluidów. Wszystko będzie dobrze.

Wywinęła mu się i uśmiechnęła z przekąsem.

– Dobra, już, jestem spokojna jak kwiat lotosu i tak dalej. Mam nadzieję, że obejdzie się bez „A nie mówiłam?”.

Jednorożec był wyraźnie niezadowolony, widząc Izabelę i Florę, które przyjechały wieczorem, by podać mu leki. Czuł się na tyle dobrze, by kuśtykać z kąta w kąt i za wszelką cenę unikać smarowania racic drażniącą maścią, a gdy techniczka podała mu zastrzyk, wywinął się jak piskorz i zasadził jej kopniaka w kolano. Tomasz śmiał się, że zwierzę uznało, iż wszyscy muszą kuleć razem z nim.

Iza trzymała się z daleka, by nie niepokoić jednorożca swoją obecnością. Z odległości oceniła, że wygląda lepiej. Wciąż miał niezbyt czystą sierść, bo nie pozwalał się wyszczotkować ani nawet przetrzeć słomą, ale odzyskał wigor, a jego róg rozjaśnił się zauważalnie. Tomasz dał mu świeżą wodę i przez kilkanaście minut obserwowali go przez szparę w drzwiach, ale jednorożec nawet się nie napił.

– Będę go mieć na oku – rzekł z westchnieniem Tomek. – Gdyby użył magii, zbiorę dla was wodę i dam znać.

– Dziękuję – powiedziała Iza. – Chodźmy, Florentyno.

Techniczka zacisnęła usta. Z żalem napisała do Bastiana, że nie udało się zdobyć remedium.

Nie odpowiedział.

W drodze powrotnej coś ją tknęło i skrzyła rowerem w ulicę, przy której mieszkała. Tam stanęła przed furką i zadzwoniła. Poczekwała pół minuty, znów zadzwoniła, ale Bastian nie odpowiadał. Zmarszczyła brwi. W jednym z pokoiów paliło się światło, więc miała powody podejrzewać, że ktoś jest w domu.

Zastanowiła się chwilę, po czym przeskoczyła nad furką.

Drzwi były otwarte. Niepewnie weszła do środka. Z salonu dobiegała głośna muzyka – jakaś rockowa ballada.

– Bastian? – zawołała Florka.

Przeszła ścieżką wyłożonych na posadzce dywaników i zajrzała do pokoju. Faun leżał na kanapie z rękoma podłożonymi pod głowę, nerwowo podrygując nogą.

– Bastian? – powtórzyła.

Podskoczył, usiadł i się obejrzał. Odetchnął z ulgą.

– Jezu, nie strasz. – Sięgnął do otwartego laptopa i wyłączył muzykę. – Dzwoniłaś? Sorry, nie słyszałem.

– Przepraszam, że się tak wprosiłam, ale martwiłam się – powiedziała i usiadła na podłokietniku. – Jak żyjesz?

Wytknął język i pokazał kciuk w dół. Podniósł z podłogi butelkę piwa i odstawił ją na stolik.

– Chciałem zostać z Chojrakiem, ale głupio tak ciągle siedzieć u Izy. No i materace operacyjne nie są zbyt wygodne. – Zaśmiał się słabo. – Ale powiedziała, że będzie mieć na niego oko. W końcu nie musi spać.

– Tomasz pilnuje jednoroźca, żeby w razie czego wziąć wodę i od razu przywieźć do lecznicy. Iza mówiła, że zachowuje magiczne właściwości tylko przez jakąś godzinę.

Bastian westchnął cicho i posmutniał zauważalnie. Uszy mu zupełnie oklapły.

– Trzeba było... Nie powinienem był wypuszczać go w lesie – powiedział cicho. – Tak nadawałem na Lipowską, a wcale nie jestem lepszy od niej.

– Nie gadaj głupot – zachnęła się. Po chwili dodała, próbując brzmieć pocieszająco: – Każdy popełnia błędy, a ty masz dużo lepsze statystyki od niej.

– Ten jeden może go kosztować życie – mruknął faun. – Chojrak... Ech. Wiadomo, że to pies, nie będzie żył wiecznie, ale... On ma dopiero dwa lata. Z czego prawie rok spędził w schronisku. Miał żyć długo i szczęśliwie, pamiętać coś więcej niż siatkę boksu, zestarzeć

się spokojnie... Nie wiem, co bez niego zrobię. To mój jedyny przyjaciel.

Florka przygryzła wargę. Usiadła obok fauna i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wcale nie jedyny. Znaczy, nie chcę z nim konkurować, ale rozumiesz – dodała żartobliwie.

Bastian spojrział na nią i się uśmiechnął.

– Dzięki.

Poklepała go w ramię.

– Chcesz, żebym sobie poszła? – spytała.

– Nie, zostań. Jeśli chcesz. – Wstał. – Przyniosę coś do picia.

Udał się do kuchni, stąpając po dywanikach. W tej samej chwili Florka dostała wiadomość. Wyjęła telefon z kieszeni – to była ciocia Teresa.

„Co znowu leczyście?”

„Nic”, odpisała Florka. „Jestem u Bastiana”.

Po krótkiej chwili ciocia odpowiedziała swoim selfie, na którym mrużyła podejrzliwie oczy. Florka pokręciła głową.

Faun wrócił z dwiema szklankami i butelką coli w rękach.

– Dzisiaj po bożemu, piwo już wypilem.

– Spoko, i tak nie mogę prowadzić pod wpływem.

Bastian napełnił szklanki i usiadł obok. Zapatrzył się na bąbelki w napoju.

– Hm, więc... – odezwał się po chwili. – Tomasz się nie kontaktował?

– Nie, przynajmniej nie ze mną. Mówił, że będzie mu co jakiś czas zabierał i potem oddawał wodę, żeby nie przegapić momentu zaczarowania.

Faun pokiwał głową, wciąż ze spojrzeniem utkwionym gdzieś w przestrzeń. Przetarł twarz dłonią i pociągnął się za brodę.

– Ech, może za wcześnie się ucieszyłem. To znaczy, gdybyśmy nie zabrali tego jednorożca, to Chojrak w ogóle nie miałby żadnych szans... Po prostu... Nie sądziłem, że to się uda. I kiedy się udało, to

już sobie zacząłem wyobrażać... Sam nie wiem, po prostu, że będzie pyk, czarodziejska woda i pies jak nowy. A tymczasem...

– Hej, nie martw się – powiedziała Florka. – Prędzej czy później nam się uda, w końcu jednorożec też się sam kuruje.

– No wiem, wiem... To znaczy: mam nadzieję. Jak nie, to tam pójde i mu nagadam, co o nim myślę – rzucił, chcąc zabrzmieć żartobliwie, ale nie do końca mu się to udało. – Zresztą ta kuracja wcale nie gwarantuje, że uda się uratować Chojraka.

Pod koniec zdania głos mu się lekko załamał, więc pospiesznie sięgnął po szklankę i pociągnął duży łyk coli. Florka zastanowiła się chwilę nad tym, co powiedzieć.

– Nie będę próbować cię przekonywać, że wszystko będzie dobrze, bo wiem, ile warte jest takie pocieszenie... Ale jeśli będziesz potrzebował wsparcia duchowego albo pomocy, na przykład przy badaniu moczu, to możesz do mnie walić w ciemno.

Spojrzał na nią ze smutnym uśmiechem.

– Dzięki. Serio.

Tryknęła go w czoło. Parsknął cicho.

Jakiś czas jeszcze rozmawiali na temat jednorożca i lecznicy. Florka sprawdziła godzinę na telefonie. Dopięła colę i powiedziała:

– Zbieram się, bo ciotki mnie do domu nie wpuszczą.

– Jasne. Dzięki, że wpadłaś.

Bastian odprowadził ją do furtki. Dziewczyna wsiadła na rower i spojrzała na przyjaciela ostatni raz. Uśmiechnęła się do niego krzepiąco, pomachała mu i odjechała. Tylko myśl o kończącej się cierpliwości cioc względem jej nocnych eskapad sprawiła, że nie zawróciła.

Kolejnego dnia Florka znów zaczynała pracę po południu. Ledwo przekroczyła próg szpitala, Bastian wyszczerzył się do niej znad pudła z dostawą strzykawek.

– Zobacz, twoja nemezis przyszła.

– Jaka nemezis?

Spojrzała w stronę klatek i zobaczyła wpatzonego w nią nienawistnie Ryśka. Zmrużyła oko. Wolpertinger zadarł głowę, jakby rzucał jej wyzwanie.

– Znowu się zatkał – powiedział faun, układając opakowania w szafce. – Specjalnie na ciebie czekał z założeniem wenflonu.

– Cóż, dawno nie straciłam jakiegoś oka, najwyższy czas to zmienić. Jak Chojrak? – spytała, zwracając wzrok na klatkę, w której leżał psiak. Miał podłączoną kroplówkę.

Bastian uśmiechnął się szeroko.

– Rano Bździągwa wreszcie zaczarowała wodę.

– Bździągwa?

– To dziewczyna, więc tak ją nazwałem. – Wzruszył ramionami, rozbawiony. – Ma charakterek, pasuje do niej.

– Oj, ma – przyznała Florka, prezentując okazałego siniaka na kolanie.

Faun pokiwał głową i spojrzał na klatki.

– No, a Chojrak... szалу nie ma, ale Iza mówi, że jego szanse bardzo wzrosły.

– To super! Słyszysz, jeszcze cię Iza postawi na nogi – powiedziała, głaszcząc psa po łapie między prętami. – Kto jak nie ona?

Chojrak mlasnął jęzorem jej dłoń. Florka poszła się przebrać, po czym wróciła na szpital. Bastian już czekał z naszykowanymi przyborami.

– To co, trzymasz czy kłujesz? – spytał.

Florka obrzuciła wolpertingera ponurym spojrzeniem, sięgnęła po przyłbicę i założyła ją sobie na twarz, jakby była rycerzem szykującym się do bitwy.

– Trzymaj potwora.

Zwierzę dotkliwie pobiło fauna skrzydłami po rękach, nim udało się je położyć na stole. Bastian owinął wolpertingera ciasno w ręcznik i chwycił mocno za poroże.

– Bądź tak miła i się pospiesz – powiedział. – Nie jest to najwygodniejsza pozycja.

– Nie poganiaj, bo jeszcze ty stracisz oko. I to nie przez Ryśka – odparła Florka, spryskując brzeg wygolonego ucha alkoholem.

Wycelowwała dokładnie w żyłę. Oboje wstrzymali oddechy, gdy precyzyjnym ruchem wbiła kaniulę. Rysiek szarpnął się, ale Bastian zdołał go utrzymać w bezruchu. Florka odetchnęła z ulgą, zaśmiała się i zaczęła oklejać ucho plastrem.

W którejś chwili faun rzucił mimochodem:

– Tomek mówił, że zastanawia się, czy nie powiedzieć, że znalazł Bździągwę porzuconą gdzieś na poboczu.

Florka wypuściła powietrze z parsknięciem.

– Nie wiem, czy to taki dobry pomysł. Ktoś może stwierdzić, że należy ją oddać do Cnotnic.

– To samo powiedziałem. Nie wiem w końcu, co zrobi, ale mam nadzieję, że tak czy inaczej jednorozec już do Lipowskiej nie wróci.

Odwinął Ryśka z ręcznika i od razu dostał skrzydłami po twarzy. Z kwaśną miną wsadził stworzenie do klatki i podłączył do kroplówki. Otrzeptał ręce i wrócił do rozkładania rzeczy, które przysły w dostawie. Wtedy pompa infuzyjna, która powoli wtłaczała roztwór w ucho wolpertingera, zaczęła głośno piszczeć. Florka wymamrotała przekleństwo i kucnęła przy urządzeniu. Sprzęt był nowy, a mimo to wciąż się zacinał.

Do pomieszczenia weszła Izabela. Spojrzała na techników.

– Florentyno, w gabinecie rozlał się syrop. Bądź tak dobra i to posprzątaj.

– Jasne – odparła dziewczyna, walcząc z maszyną.

Iza kiwnęła głową. Zwróciła uwagę na nogi Bastiana.

– Racice ci się łuszczą – stwierdziła.

Faun popatrzył w dół i potarł jedną nogę o drugą.

– Aa, no, trochę.

– Jesteś pewien, że nie zaraziłeś się od krów u Paschalskich? Może powinieneś to przemyć ciecżą kalifornijską.

– Ooo nie, nie, nie – odparł stanowczo. – Nigdy więcej tego gówna.

– A co to? – spytała Florka.

– Preparat na bazie siarki. Wali jak szambo z najgłębszego dna piekła. W zeszłym tygodniu byłem z Izą u krów z grzybem i mało się nie porzygałem. Niczym się nie zaraziłem – powiedział nieco urażonym tonem, zwracając się do lekarki. – Zresztą jak chcesz, to obejrzyj.

– Pokaż – rzekła Iza.

Bastian, wyraźnie zawstydzony, skrzyżował ręce na piersi i postawił jedną nogę na krześle. Florka udała się do gabinetu, by nie peszyć dodatkowo przyjaciela.

Zobaczyła leżącą na blacie wywróconą buteleczkę oraz jej zawartość rozlaną wszędzie wokół i na podłodze. Był to uwielbiany przez zwierzęta syrop o smaku bananowym – najśłodszy, najgęstszy i najbardziej lepki w całej lecznicy. Florka jęknęła głucho, po czym urwała z rolki całą garść ręczników papierowych.

Kiedy poklejona i pachnąca bananami niemal skończyła, ktoś zapukał do drzwi i bez czekania na odpowiedź wszedł do gabinetu.

– Dzień dobry. Szukamy pani Izabeli Pokot. – Florke dobiegł czyjś twardy głos i z miejsca ją zirytował.

– Proszę chwilę pocze... kać... – zająknęła się, gdy zobaczyła, kto przyszedł.

Było to dwóch policjantów i policjantka. Jeden z mężczyzn rozglądał się uważnie po gabinecie, drugi zaś wpatrywał się wyczekująco w techniczkę. Stojąca między nimi kobieta w średnim wieku miała taki wyraz twarzy, jakby zamierzała zamachnąć się kosą i wysłać czyjąś duszę w zaświaty.

Nim Florka zdążyła powiedzieć coś więcej, do środka weszła Iza.

– W czym mogę pomóc? – spytała.

– Sierżantka Barbara Trzcina. Szukamy pani Izabeli Pokot – powiedziała kobieta i pokazała swoją odznakę i legitymację. – W związku z podejrzeniem popełnienia przestępstwa otrzymaliśmy nakaz przeszukania placówki.

Techniczka oblała się zimnym potem. Izabela uważnie przyjrzała się legitymacji, potem powoli powiodła spojrzeniem po

funkcjonariuszach.

– A co z nakazem?

– Przeszukanie ma charakter pilny – wyjaśnił jeden z mężczyzn. – Ma pani prawo złożyć żądanie doręczenia postanowienia zatwierdzającego.

– Mogę wiedzieć, jakie zarzuty mi się stawia?

Policjant spojrział w dokumenty, które trzymał.

– Padły zarzuty nielegalnego przetrzymywania uprowadzonego jednorożca, a także niezgodnego z prawem praktykowania nekromancji.

Florę zmroziło. Zaciśnęła palce na lepkich od syropu papierowych ręcznikach i nie wiedząc, co ze sobą zrobić, utkwiała spojrzenie w Izie. Ta pokiwała z wolną głową.

– Rozumiem. Florentyno, zaczekaj na szpitalu.

– Proszę się nie oddalać – przestrzegł jeden z mężczyzn.

– W lecznicy przebywają zwierzęta w ciężkim stanie – rzekła lekarka. – Wymagają stałej opieki.

– W takim razie pójdziemy z panią.

Florka uśmiechnęła się słabo, próbując wyglądać na spokojną. Ruszyła na zaplecze z policjantami podążającymi za nią jak cienie.

Gdy weszła do szpitala, Bastian już otwierał usta, by coś powiedzieć, ale wtem zobaczył funkcjonariuszy. Z jego i tak bladej twarzy spłynęły kolory. Odchrząknął i przywitał się uprzejmie.

– Panowie przyszli, ee, zrobić przeszukanie – powiedziała Florka. Siłąc się na naturalne zachowanie, wyrzuciła papierowe ręczniki i umyła ręce.

Mężczyźni zaczęli zaglądać do klatek.

– To tu trzymane są zwierzęta? – spytał jeden z nich.

– Jak widać – odparł wesoło Bastian, wskazując na Chojraka i Zyzia.

– Tylko tu?

– Jest jeszcze izolatka... Tam, pokazać?

Wraz z funkcjonariuszem ruszył w głąb lecznicy. Drugi został z Florką. Spojrzał na nią i się uśmiechnął.

– Niby leczenie magiczne zwierzęta – powiedział i wskazał na psy – ale te tutaj nie wyglądają zbyt magicznie.

– Zjadły wróżki, jeśli to się liczy – odparła żartobliwie.

Pokiwał głową i popatrzył na Ryśka, który nabzdyczył się na sianie. Potem zaczął uważniej rozglądać się po pomieszczeniu. Dokładnie obejrzał każdą z klatek, szczególnie te dla dużych psów, jakby nie prowadził przeszukania ani nawet śledztwa, a kontrolę czystości. Po kilku minutach oględzin kazał oprowadzić się po lecznicy. Florka pokazała mu gabinet rentgenowski, pokój socjalny i salę chirurgiczną. Minęli się z Bastianem i drugim funkcjonariuszem, którzy wracali z pomieszczeń dla koni. Faun uśmiechnął się krzepiąco do Florki, ale sam wyglądał na potrzebującego wsparcia.

Przez cały ten czas dziewczyna miała wrażenie, że ogłuchnie, tak mocno dudniło jej w uszach.

Wreszcie wszyscy spotkali się ponownie w szpitalu, włącznie z Izabelą i policjantką.

– Przejdźmy do krótkiego przesłuchania pracowników. Każdego z osobna – dodała, gdy technicy postąpili krok do przodu.

Bastian spojrzał na Florę. Klepnął ją w ramię.

– No dobra, to pójdę pierwszy.

Otrzepał fartuch z sierści i ruszył za policjantami w stronę gabinetu. Florka przygryzła wargi. Nie wiedząc, co robić, kucnęła przy pompie, do której podłączony był Chojrak, i zaczęła udawać bardzo zajętą. Kątem oka obserwowała poczynania policjantki. Ta właśnie oglądała wypreparowane zwierzęta i narządy na półkach. Skrzywiła się lekko i zaczęła przeglądać zapasy. Zadawała pytania o leki, przybory i narzędzia, a lekarka udzielała swoim zwyczajem jasnych i zwięzłych odpowiedzi. Dłuższych wyjaśnień wymagały przedmioty i medykamenty służące do zabiegów magicznych – różdżki, maści, kryształy, eliksiry.

– Dużo formaliny – stwierdziła sierżant Trzcina na widok zawartości jednej z szafek.

– Jest potrzebna do konserwacji mojego ciała.

Barbara otaksowała Izabelę nieco zniesmaczonym spojrzeniem.

Wcześniej, niż Florka się spodziewała, do gabinetu wrócił Bastian. Miał nieodgadniony wyraz twarzy. Kiwnął na Florkę.

– Śmigaj. Nie bój się – dodał szeptem, gdy go mijała.

Chciała coś odpowiedzieć, ale zabrakło jej słów. Odetchnęła głęboko przez nos i weszła do pomieszczenia.

Jeden z policjantów przyglądał się z zainteresowaniem plastikowemu modelowi kanału słuchowego psa. Drugi siedział przy biurku od strony klienta. Uśmiechnął się uspokajająco.

– Proszę się nie stresować, to nie jest oficjalne przesłuchanie. Chcemy tylko zadać parę pytań.

– Jasne – odparła, mając nadzieję, że nie widać po niej zdenerwowania. Usiadła za biurkiem i zacisnęła dłonie na kolanach.

Mężczyzna pochylił się nad swoimi papierami.

– Pani... Florentyna Kuna, zgadza się?

– To ja – powiedziała, siląc się na żartobliwy ton.

– Długo tu pani pracuje?

– Niecały miesiąc.

– Co panią skłoniło do podjęcia pracy tutaj?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Ciekawią mnie magiczne zwierzęta. A tutaj miałam nadzieję na dużo kontaktów z nimi.

– Czy została pani poinformowana o wynikających z tego zagrożeniach? Odbyła pani szkolenie BHP?

– Oczywiście – odparła. Chciała dodać coś więcej, ale nic nie przyszło jej do głowy.

Po chwili ciszy policjant spytał:

– A magia, nekromancja? Wiedziała pani, że będzie tu praktykowana?

– Od samej rozmowy kwalifikacyjnej. No i nawet szyld o tym wspomina... więc trudno nie wiedzieć. – Zaśmiała się nieco nerwowo.

– Czy jakieś praktyki doktor Pokot wzbudziły u pani wątpliwości?

– Nie, raczej nie. Jeśli w ogóle używała magii, to w celach leczniczych.

– Proszę mi opowiedzieć, z jakimi magicznymi stworami miała tu pani do czynienia.

Florka oblała się zimnym potem. Nie miała pojęcia, o czym mógł wspomnieć Bastian. Czy pominął najgroźniejsze zwierzęta? Czy ona powinna? I co powiedzieć, jeśli będą dopytywać o jednoroźca?

Zwilżyła usta.

– Cóż... Były żmije mlekowe, byłam w terenie na wizycie u hippalektriona... Teraz na szpitalu jest wolpertinger...

– To któreś z nich to pani zrobiło? – Wskazał na twarz dziewczyny.

Kiwnęła niechętnie głową.

– No, zdarzył się mały wypadek z udziałem wolpertingera...

– Mały? – spytał drugi policjant, śmiejąc się. – Strach pomyśleć, jaki byłby duży.

Florka uśmiechnęła się niepewnie.

– Ale wszystko już załatwione. Ot, zdarzyło się i tyle – zapewniła. – Pies też potrafi zrobić dużą krzywdę.

– No, z pewnością. Czy jeszcze jakieś magiczne zwierzęta się tu pojawiły?

– Hm... No, były papugi, które rzucały zaklęcia... Ale już przestały – dodała szybko, widząc, że policjant coś zanotował. – Są te dwa psy, które zjadły wróżki.

– Coś jeszcze? Może jakieś niebezpieczne zwierzęta?

Mężczyzna przyglądał jej się wyczekująco, jakby doskonale znał odpowiedź, ale chciał ją usłyszeć z ust Florki. Dziewczyna powiedziała z wahaniem:

– No... Była jeszcze mantykora.

– Doprawdy – odparł policjant i uniósł brwi, niejako zdziwiony. Wystraszyła się, że może jednak nie powinna była tego mówić. – Ktoś ją tu przyprowadził?

– Nie... Szukała kogoś, kto mógłby jej pomóc. Bolały ją zęby.

– I co się z nią stało?

Techniczka zerknęła w stronę drzwi prowadzących na szpital z nadzieją, że zaraz ktoś przez nie przejdzie i ją uratuje. Zwilżyła usta.

– Przeszła zabieg sanacji. Straciła prawie wszystkie zęby.

Długopis skrobał cicho na papierze w notesie policjanta. Mężczyzna podniósł wzrok.

– I co się z nią stało później?

– Nie wiem. Nie było mnie przy tym.

Pokiwał głową, po czym mruknął przeciągle.

– Zapewne słyszała pani o tym, że do lecznicy w Cnotnicach trafił ranny jednorozec.

– Hm, tak.

– Była tam pani? Widziała go?

– Nie, tylko w telewizji.

– Czy doktor Pokot rozmawiała z wami na ten temat? Może słyszała pani, by rozmawiała z kimś innym?

– No, to spora sensacja, każdy coś gadał – odparła. – Ale nie słyszałam nic podejrzanego.

– Rozumiem. – Przez chwilę pisał coś w milczeniu. Potem spytał jeszcze: – A jakie są pani ogólne odczucia względem pracy tutaj? Czy ma pani zastrzeżenia co do rodzaju odbywanych tu praktyk, etyki, stosunku pracodawcy do pani?

– Nie – odparła szybko i po sekundzie pomyślała, że może wręcz zbyt szybko. – Doktor Pokot to bardzo dobra pracodawczyni. Najlepsza, jaką do tej pory miałam.

– I mówi to pani mimo utraty oka? – spytał drugi mężczyzna.

Florka uśmiechnęła się niemrawo.

– Może z wyjątkiem tego. Ale to nie była jej wina.

– No, pracodawca odpowiada za bezpieczeństwo swoich pracowników – rzekł policjant za biurkiem. Potem zamknął teczkę z dokumentami. – Dobrze, to chyba w tej chwili wszystko. Może jest coś, co chciałaby pani dodać?

– Mam zamrużyć, jeśli grozi mi niebezpieczeństwo? – spytała żartobliwie.

Mężczyzna odpowiedział nieco ponurym uśmiechem.

– Będziemy w kontakcie. Proszę się nie wahać, gdyby było jeszcze coś, czym chciałaby się pani z nami podzielić.

– Oczywiście.

Wstał, więc Florka również. Uścisnęli sobie dłonie i techniczka wróciła na szpital, bynajmniej nie uspokojona.

W tym samym czasie kontrola zaplecza najwyraźniej dobiegła końca, bo Iza wraz z inspektorką zmierzały w stronę gabinetu. Gdy się mijaly, lekarka rzuciła Florce znaczące spojrzenie.

– Państwo chcą teraz przeszukać moje mieszkanie. Zamknijcie chwilowo lecznicę.

Dziewczynie dreszcz spłynął po plecach. Kiedy zamykała drzwi wejściowe, widziała, że jeden z policjantów stanął przed nimi, jakby pilnował, by nikt nie uciekł.

W szpitalu Bastian stał przy klatkach i stukał nerwowo racicami o posadzkę.

– I co? – spytał szeptem.

– Wypytywali o warunki pracy i takie rzeczy – odparła Florka. – Czy jest bezpiecznie i czy Iza nie robi niczego podejrzanego, i jakie magiczne stwory tu były...

– Pytali o... – tu urwał i bezgłośnie powiedział: „jednorożca?”. Dziewczyna pokiwała głową. – Hm. Szlag. Trzeba powiedzieć Tomkowi. Nie, nie pisz! – syknął, gdy ta włączyła w telefonie komunikator. – Bo będą mieć dowody! Lepiej zadzwoń, i to przez apkę.

Florka rozejrzała się po pomieszczeniu i choć nie było tu okien, uznała, że najbezpieczniej będzie, jeśli zrobi to w toalecie. Zamknęła

się w niej i skontaktowała z Tomaszem.

– Policja?! – krzyknął, gdy tylko powiedziała, o co chodzi. Zaklął paskudnie. – Dobra, ogarnę, dzięki za cynk.

Rozłączył się. Dziewczyna jeszcze przez chwilę nie wychodziła, bojąc się, że za drzwiami wpadnie na policjanta, który zrobi „aha!” i zatrzaśnie jej na rękach kajdanki. Na wszelki wypadek spuściła wodę i udała, że myje ręce, nim wróciła do Bastiana.

– Co powiedział? – spytał.

– Że ogarnie. Mam nadzieję, że skutecznie.

Zyzio zaszczekał, jakby chciał powiedzieć: „Dobra, dosyć tego, proszę się mną zająć”. Florka spojrzała na niego. Po drugiej kroplówce z magicznej wody czuł się znacznie lepiej. Chojrak zaś tylko westchnął ciężko z głową złożoną na łapach. Bastian kucnął przy nim, otworzył kłatkę i go pogłaskał.

– Spokojnie, wariacie – powiedział. – Jeszcze tej pindzie w pięty pójdzie.

Dobre pół godziny później Izabela – z miną poważniejszą niż zwykle – wróciła do lecznicy. Popatrzyła po technikach, a potem wzięła na ręce Przekręt, która wychyliła się zza wielkiego słoja, w którym pływało serce konia.

– Policja niczego nie znalazła – oznajmiła – ale nie cieszymy się przedwcześnie.

– Policję to na Lipowską należy nasłać! – warknęła Florka. – Jestem ciekawa, co by powiedzieli na to, że od Bóg wie jak dawna zakopuje zwłoki na podwórku.

– Nic, bo doktor Honoratka ma wszystkich w kieszeni – mruknął ponuro Bastian.

– Taka wojna może przynieść więcej szkody niż pożytku – powiedziała Iza. – Musimy się po prostu wybronić.

Faun westchnął, głaszcząc Chojraka.

– Pewnie tak. W sumie to nie powinno być zbyt trudne. Nie mamy nic do ukrycia, prawda?

Pompa infuzyjna zaczęła głośno piszczeć.

Bździągwa popatrzyła z ukosa na strzykawkę w dłoni Florki i położyła uszy po sobie. Odwróciła się zadem, gotowa kopnąć, gdy techniczka zrobiła krok do przodu. Zerkający do środka przez szparę w drzwiach Tomek zaśmiał się krótko.

– Teraz to już tylko Bastianowi pozwala się do siebie zbliżyć – powiedział. – A i jemu niechętnie.

– Nie żebym jej nie rozumiała, ale mogłaby ogarnąć, że to dla jej dobra – odparła Florka.

Z zewnątrz dobiegł głos Izy:

– Nie stresujmy jej. Zadzwońię po Sebastiana, niech on spróbuje podać leki.

Techniczka pokręciła głową, rzuciła jednorogini ostatnie spojrzenie i wyszła z szopki. Odłożyła strzykawkę i słoiczek z maścią do apteczki. Tomasz jeszcze raz zajrzał do środka, nim zamknął drzwi.

– Chyba całkiem nieźle się leczy, nie? – spytał.

– Wspomaga się własną magią – odparła Iza, szukając numeru w telefonie – więc rekonwalescencja przebiega szybciej, niż się spodziewałam. Może już za tydzień, góra dwa będzie gotowa do powrotu na wolność.

– Kurde, to super. Na początku się bałem, że faktycznie noga złamana i nic z niej nie będzie. No a jak te wasze psiaki? Kurują się coś?

– Jeden zostaje jeszcze na obserwacji ostatni dzień i jak będzie w porządku, to wróci do domu – powiedziała Florka. – Z drugim też coraz lepiej.

Mężczyzna pokiwał głową, zapatrzony na niebo. Słońce dopiero wychylało się zza horyzontu.

– Niesamowita sprawa. My pomogliśmy jej – tu kiwnął głową w stronę szopki – a ona nam.

– Uczciwa wymiana. – Dziewczyna się uśmiechnęła. Zawiesiła spojrzenie na Izabeli, która czekała, aż Bastian odbierze telefon.

Odetchnęła głęboko rześkim powietrzem. Nachyliła się konspiracyjnie ku Tomkowi. – Ktoś was nawiedził?

– Nie – odpowiedział po cichu. – Zaczyna mnie to niepokoić. Może naprawdę powinienem powiedzieć, że ją znaleźliśmy...

– Nie rób tego – wtrąciła się Iza. – Honorata na pewno zrobi wszystko, żeby jednorożec wrócił do niej.

– A jakie ma do niego prawo? – zachnęła się Florka. – Nie jest jego właścicielką.

– To mnie podejrzewa się o popełnienie przestępstwa. Jeśli sprawa się rozwinie, mogą chcieć was przesłuchać, ale nie sądzę, by Lipowska chciała narażać się na koszty dwóch spraw sądowych i pozwać też fundację. Nie ma żadnego interesu w psuciu sobie stosunków z wami.

Odwróciła się i pogрузyła w rozmowie telefonicznej z Bastianem. Tomek podrapał się pod czapkę.

– Może faktycznie coś w tym jest. Ech... Chcesz zobaczyć kłobuka? – spytał po chwili.

– Jasne. Skąd się u was wziął?

Zostawili lekarkę i ruszyli na tyły posesji, gdzie stało kilka woliery. Większość była pusta, w dwóch znajdowało się kilka gołębi.

– Kręcił się koło szosy i wyglądał niezbyt zdrowo, więc go zgarnąłem – opowiedział mężczyzna. – Izka go wczoraj obejrzała i powiedziała, że nic mu nie jest. Dałem już ogłoszenia na wsi i w necie, czy komuś nie uciekł, ale na razie nikt się nie zgłosił. O, popatrz, jaki głupol.

Zatrzymali się przy woliery, w której na grubym pniaku siedział kłobuk: nabzdyczone ptaszysko wyglądające jak skrzyżowanie koguta z gąsiorem. Jego ciemne pióra lśniły, jakby były pokryte olejem. Popatrzył na ludzi i zagdakał z zainteresowaniem. Tomasz otworzył drzwi woliery i przepuścił Florkę przodem.

– Wyglądają mało sympatycznie, ale to miłe ptaszyska.

– Naprawdę przynoszą szczęście?

Wzięła od Tomka połówkę jabłka i podsunęła kłobukowi. Ten znów zagadał i zaczął ochoczo dziobać, niezbyt kulturalnie brudząc sobie dziób.

– Jak dla mnie to trochę efekt placebo. Jak wierzysz, że tak jest, to wszystko dobre, co cię spotyka, przypisujesz jemu. Ale faktem jest, że z ich guana można zrobić dobry kompost.

Kłobuk otrząsnął się i ochlapał dziewczynę rozdziobanym mięszem, po czym niezrażony wrócił do konsumpcji. Florka otarła sok z twarzy.

– Ktoś jeszcze was nękał? – spytał Tomasz.

– Od piątku nie.

– To dobrze... ale takie sprawy potrafią się ciągnąć miesiącami.

– Taa... Ale czy coś udowodnią czy nie, smród pozostanie. A u Lipowskiej nawet jakby ten jednorożec zdechł, to by zebrała sławę i chwałę, że udzieliła mu pomocy – mruknęła ponuro Florka.

– Wiesz, Iza zebrała spore stadko wiernych klientów, kiedy pracowała w Łodzi. Gdyby nie to, pewnie nie dałaby rady się tu utrzymać. No i w tej chwili jest chyba jedyną specjalistką od magicznych zwierząt w kraju. Cały świat nie odwróci się od niej plecami przez same pomówienia.

– Hm. Oby.

Kłobuk skrzeknął, jakby chciał, by włączyć go do konwersacji. Florka wyciągnęła rękę i pogładziła go po śliskich piórach na skrzydle.

Czekając na Bastiana, przez kilkanaście minut rozmawiali o lokalnych zwierzętach magicznych i niemagicznych. Gdy faun się pojawił, jednorogini pozwoliła mu na podanie maści i zastrzyku z taką miną, jakby robiła to w akcie absolutnej ostateczności.

– Dobrze, że mamy cię w drużynie – powiedział Tomek. – Inaczej pewnie trzeba by do niej strzelać z dmuchawy. A te strzykawki są drogie jak jasna cholera...

– Tutaj przynajmniej łatwo je odzyskać – zauważył Bastian. – Nie to, co w środku lasu.

– Wiem, wiem, ale nie lubię ich używać, kiedy absolutnie nie muszę. Mam wrażenie, że nawet wysterylizowane szybko się zużywają. – Klasnął w dłonie. – No dobra, dzięki za pomoc. Gdyby zrobiła czary-mary, to dam znać. Zainstalowałem kamerkę z czujnikiem ruchu wycelowanym w korytko, żeby wiedzieć, kiedy coś się dzieje.

– Zmyślne – pochwaliła go Iza.

– To ja idę – powiedział faun. – Nie zdążyłem nawet zjeść śniadania. Do zobaczenia później.

Popatrzył ostatni raz na jednoroginię, pomachał wszystkim, po czym odszedł. Izabela sprawdziła godzinę.

– My też musimy iść. Gdyby udało ci się zdobyć wodę, dasz radę szybko ją przywieźć? – spytała Tomka.

Ten kiwnął głową.

– Jasne. Plusy pracy z domu – dodał ze śmiechem. – W każdej chwili mogę się rzucić na pomoc.

– To dobrze. Chodź, Florentyno.

Dziewczyna podreptała posłusznie za szefową. Gdy obie znalazły się w samochodzie, pomyślała, że łatwiej przywyknąć do jej zapachu niż zdystansowanego zachowania.

Poniedziałkowy brak zabiegów chirurgicznych oznaczał klientów od samego rana. Choć spóźniły się z otwarciem zaledwie kwadrans, pod drzwiami czekała na nich już trójka osób w towarzystwie różnych zwierzaków. Do południa nie narzekały na nudę, co Florka przyjęła z niejaką ulgą, bo mogła na chwilę zapomnieć o swoich niepokojach związanych z policyjnymi nalotami.

Jednym z kolejnych pacjentów był królik tak śliczny, że techniczka ledwo powstrzymywała piski zachwyty. Młody rex, smukły niczym gazela, o futerku rudym jak marchewka i miękkim jak plusz, zaskakująco spokojnie znosił sondę ultrasonografu ślizgającą mu się po brzuchu. Po skończonym badaniu został posadzony na stole i natychmiast wtulił się w ramiona swojej pani.

– W pęcherzu nie zalega już osad – oznajmiła Izabela.

– Uff, całe szczęście. – Niewiele wyższa od stołu niziołka otworzyła transporter i królik wszedł do niego dużo chętniej, niż chwilę wcześniej wyszedł. – To chyba jakaś klątwa, dwa poprzednie króliki też ciągle miały problemy z pęcherzem i kamieniami.

– To niewykluczone.

Opiekunka wytrzeszczyła oczy.

– Co, że klątwa? Nieee, bez żartów...

– Jeśli ma pani jakiegokolwiek podejrzenia co do tego, że ktoś lub coś mogło obłóżyć panią albo gospodarstwo klątwą, sugeruję konsultację z czarownicą. Mogę polecić odpowiednią osobę.

Parę minut później zdumiona niziołka opuściła lecznicę z transporterem w jednej ręce i wizytówką czarownicy w drugiej. Florka zaczęła porządkować gabinet.

– Pójdę zająć się moimi bliznami – powiedziała Iza, oglądając ślady po pogryzieniu przez yorka. Były już prawie całkiem zasklepione. – Zawołaj mnie, gdyby ktoś przyszedł.

– Jasne.

Techniczka została sama. Przetarła blat, po czym usiadła na krześle i z nudów zaczęła przeglądać wpisy z ostatnich wizyt. Pomyślała o Bździągwie i popadła w zadumę. Przez weekend żadne organy ścigania nie dały znaku życia, Tomek też nie mówił, by miał jakiegokolwiek problemy. Wciąż jednak dręczyły ją obawy o to, że wszystko się wyda, zostaną surowo ukarani, a lecznica zostanie zamknięta.

Dokładnie gdy wybiła dwunasta, do gabinetu wszedł Bastian.

– Cześć – powiedział. – Jak Chojrak?

– Nie najgorzej. Tomek przywiózł wodę jakąś godzinę temu, właśnie mu spływa.

– Super. – Uśmiechnął się, a jego uszy nieco się uniosły. – A poza tym nic się nie działo?

– Nie, w miarę spokojnie. Ale nie narzekam – dodała szybko.

Faun zaśmiał się cicho i zniknął na zapleczu.

Niedługo później rozległo się pukanie. Florka otworzyła drzwi.

– Poczta! – zawołał wesoło listonosz i zaczął przeglądać przesyłki. – Tutaj, to, to... O, a tu za potwierdzeniem, autograf proszę.

Wręczył dziewczynie jedną z kopert. Wzięła ją i pochyliła się nad biurkiem z długopisem w dłoni. Wtem zamarła.

W polu nadawcy widniała pieczętka Powiatowego Inspektoratu Weterynarii.

Florka zwilżyła usta. Podpisała potwierdzenie odbioru i przekazała je listonoszowi. Ten skinął jej czapką.

– Miłego popołudnia! – powiedział rażno i wyszedł z lecznicy.

Techniczka zapatrzyła się na kopertę, jakby był to jadowity wąż. Pomknęła czym prędzej na zaplecze.

Znalazła Izę stojącą przy szafce z magicznymi przyborami. Lekarka podniosła na dziewczynę pytający wzrok.

– Coś się stało?

Florka bez słowa wręczyła jej kopertę. Między brwiami nekromantki pojawiła się zmarszczka. Odłożyła różdżkę, otworzyła przesyłkę i przez chwilę czytała w ciszy. Florka miała ochotę zajrzeć jej przez ramię, ale nie chciała być niegrzeczna. Siedzący przy klatce Chojraka Bastian spytał:

– Co tam ciekawego?

– Inspektorat zapowiedział kontrolę – odparła Iza.

Faun zerwał się na równe nogi.

– Co?! Teraz?

– Za siedem dni. To znaczy: mają na to trzydzieści dni, ale sądzę, że za namową Lipowskiej przyjdą tu najszybciej, jak tylko pozwalają im przepisy.

Florka zaczęła obgryzać paznokieć kciuka. Zerkała to na jedno, to na drugie.

– Ale nie mamy się czego bać, nie? – spytała niepewnym tonem. – Przecież wszystko tu jest zgodnie z prawem i chodzi jak w zegarku...

– Na pewno będą mieć zastrzeżenia wobec moich praktyk magicznych.

Bastian skrzyżował ręce na piersi.

– Przecież sami wydali na to pozwolenie?

– Tak, ale jeśli Honorata rzeczywiście ma takie znajomości, jak twierdzi, mogą być stronnicy. – Iza popatrzyła na różdżkę leżącą na blacie. – Cóż. Mam tydzień, by się odpowiednio przygotować.

Od strony gabinetu dobiegł odgłos pukania do drzwi. Florka i Bastian wymienili zmartwione spojrzenia. Faun poszedł za lekarką, dziewczyna zaś zabrała się do chowania magicznych przyborów, których używała Izabela. Znow dopadły ją ponure myśli, a stres ścisnął trzewia. Sumienie ją nieco kąsało za tak niechrześcijańskie zachowanie, ale w tej chwili życzyła Honoracie Lipowskiej wszystkiego, co najgorsze.

Do pomieszczenia zajrzał Bastian.

– Chodź – powiedział tajemniczo. – Coś zobaczysz.

Uniosła brew i poszła za nim. W gabinecie zastała chudego jak patyczak mężczyznę w okularach, który trzymał dłoń na dużym transporterze. W środku znajdował się kolorowy ptak, który spoglądał to jednym, to drugim okiem na swojego właściciela.

Izabela skinęła na Bastiana. Ten zbliżył się do stołu diagnostycznego i otworzył transporter. Ostrożnie wyjął z niego pacjenta. Ptak był piękny; wyglądał trochę jak smukły bażant. Jedna połowa ciała była w barwie winnej czerwieni, a druga turkusowa. Pośrodku głowy miał fantastyczny, czarno-żółty czub, a pióra wokół dzioba i oczu mieniły się na złoto.

– Który jest chory? – spytała lekarka.

Florka zajrzała do transportera, spodziewając się zobaczyć drugie zwierzę, ale był pusty. Klient odparł:

– Jian, ta czerwona. Wydaje mi się, że mogła spaść z żerdzi, ale nie wiem, kiedy to się stało.

Iza sięgnęła do ptaka... i rozdzieliła go na pół. Okazało się, że były to dwa ptaki, każdy z jednym okiem i jednym skrzydłem. Turkusowy popatrzył z niepokojem na swoją towarzyszkę trzymaną przez lekarkę i gwizdnął przejmująco.

– Ćśś, Man, spokojnie – powiedział opiekun, gładząc go po głowie. – Nic jej nie będzie.

– Przytrzymaj ją, Florentyno.

Lekarka włożyła technicze w ręce czerwonego ptaka. Ta zapatrzyła się na niego w zdumieniu. Zarówno skrzydło, jak i oko miał po lewej stronie ciała. Zacisnął szpony na jej przedramieniu i zakwilił, kiedy Iza obmacywała go delikatnie.

– Co to za gatunek? – spytała Florka.

– Bi yi niao – odparł dumny właściciel. – To moja najstarsza para. Łączą się na całe życie. Tylko razem mogą latać, a samica chyba się zraniła...

Jian szarpnęła się, kiedy lekarka ostrożnie rozprostowała jej skrzydło.

– Trzeba to prześwietlić – powiedziała. – Weźmy je oba, będą spokojniejsze. Proszę tu poczekać.

Bastian podniósł zmartwionego Mana, który wciąż wyciągał szyję ku swojej partnerce. Całą trójką udali się do pomieszczenia rentgenowskiego i założyli ołowiane fartuchy. Florka i Izabela przytrzymały samicę w odpowiedniej pozycji na kliszy, a faun stanął obok, by turkusowy ptak miał swoją ukochaną na oku. Jian była wystraszona, ale zachowywała się na tyle spokojnie, że udało się zrobić wyraźne zdjęcie.

– Złamane – powiedziała Izabela, wskazując długopisem na ekran komputera. Kość była wyraźnie pęknięta, ale nie przemieszczona.

– Uda się to naprawić? – spytała zmartwiona Florka. – Będą mogły latać?

– To nie jest skomplikowane złamanie. Jeśli właściciel wyrazi zgodę na zabieg, powinna wrócić do zdrowia.

– Słyszysz? – Bastian zakołysał siedzącym mu na ramieniu Manem. – Wszystko będzie dobrze.

Hodowca zgodził się na przeprowadzenie zabiegu. Technicy przygotowali salę chirurgiczną. Oba bi yi niao obserwowały ich

poczynania z wnętrza transportera, wtulone w siebie tak, że znów wyglądały jak jedno stworzenie.

Kiedy wszystko było gotowe, Florka sięgnęła do klatki i wyjęła oba ptaki. Bastian przejął Jian, ale kiedy techniczka próbowała ponownie zamknąć Mana, ten trzepnął ją skrzydłem po twarzy i wskoczył na prawe ramię. Wypluła piórko i obróciła głowę, ale lewym okiem mogła zobaczyć tylko kuper zaniepokojonego ptaka.

– Wiem, że się martwisz – powiedziała – ale utrudniasz czynności lekarskie.

Izabela odwróciła się od umywalki z mokrymi rękami. Popatrzyła uważnie na stworzenie na ramieniu techniczki.

– Pozwól mu być obok. Więż bi yi niao jest bardzo silna, źle znoszą nawet tak krótką rozłękę.

– Czyli wygląda na to, że ja będę asystą – rzucił wesoło Bastian i otworzył lekarce opakowanie ze sterylnymi rękawiczkami.

Florka stanęła zatem beczynnym na końcu stołu. Man obrócił się przodem i wtulił w jej twarz. Turkusowe pióra przyjemnie łaskotały dziewczynę w policzek.

– Chcesz być moim prawym okiem? – spytała.

Ptak zakwilił, nie odrywając spojrzenia od swojej ukochanej.

Zamyśliła się, zapatrzona na Izę, która mierzyła długość gwoźdźcia śródszpikowego nad skrzydłem czerwonego ptaka. Jian i Man razem byli silni, ale odłączeni od siebie wydawali się kompletnie zagubieni. Każde z jednym skrzydłem, niezdolne do wzniesienia się w powietrze bez drugiego. Każde z jednym okiem...

Dostrzegła w tym metaforę, która zupełnie jej nie odpowiadała. Nie chciała się od nikogo uzależniać, by czuć się całością. Nie żeby była typem samotniczki, wręcz przeciwnie, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, że musiałyby polegać na czyjejs pomocy, by móc funkcjonować, by móc żyć. Po chwili zdała sobie sprawę, że... udało jej się to.

Przygryzła wargi, by ukryć uśmiech.

Man zagdakał z niepokojem, kiedy lekarka zaczęła majstrować przy skrzydle jego partnerki. Florka go pogłaskała.

Zauważyła, że Bastian się jej przygląda. Kiedy napotkał jej spojrzenie, powiedział:

– Wyglądacie, jakbyście byli dla siebie stworzeni.

– Ćśś, bo będzie zazdrosna – odparła dziewczyna, wskazując podbródkiem na znieczulonego ptaka.

Zaśmiał się przez nos i ponownie skupił na monitorowaniu.

Wkrótce złamana kość została złożona za pomocą gwoździa, a skrzydło unieruchomił solidny opatrunek. Technicy umieścili Jian w przestronnej klatce, by się w spokoju wybudziła. Man wskoczył do środka. Trącił dziobem łebek ukochanej, a następnie wtulił się w jej bok. Florka uśmiechnęła się na ten widok.

Obok niej stanął Bastian.

– Ciekawe ptaszyska – powiedział.

– Piękne – odparła, podziwiając przytulone do siebie mityczne stworzenia. Po chwili dodała smutnym tonem: – Nie wiem, co zrobię, jeśli przez Lipowską zamkną lecznicę.

– Czemu od razu zamkną?

– Nie wiem – jęknęła cicho. – No bo policja... Teraz ta kontrola... Tu jest tak fajnie, pomagamy magicznym zwierzakom i w ogóle, a Lipowska może to wszystko zniszczyć, bo... nie wiem, bo jest po prostu podła.

Pociągnęła nosem i wytarła łzy. Bastian ją przytulił.

– Hej, nie płacz. Damy radę. Będziemy walczyć. Gdybyś nie namówiła nas na skok na Cnotnice, ani jednorożca, ani pewnie Chojraka już by z nami nie było.

Po tych słowach sam dyskretnie otarł powieki.

– Policji też nie – mruknęła dziewczyna z przekąsem.

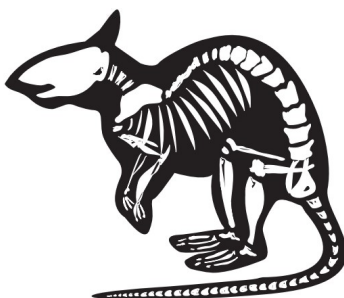
– Srał ich pies, Lipowską i jej podjazdy też. Wybronimy się.

Florka odetchnęła głęboko i smarknęła ostatni raz.

– Okej. Będziemy walczyć.

– Tak trzymaj, młoda – powiedział i klepnął ją w ramię.

Uśmiechnęła się słabo.



ROZDZIAŁ IX
WSZYSTKO SIĘ KOŃCZY
(I TO NAWET NIE NAJGORZEJ)

W dniu spodziewanej kontroli – siódmym roboczym od momentu doręczenia zawiadomienia – dyżur Florki wypadł na dwunastą. Nie spała przez większość nocy i rano była tak wykończona, że miała ochotę na śniadanie wypić tylko kilka energetyków. Mimo to z łóżka zwlekła się późno, a potem spędziła prawie godzinę w wannie, zanurzona po uszy w wodzie i ponurych myślach.

Gdy w czajniku powoli gotowała się woda na herbatę, Florka stanęła przy kuchennym oknie i zapatrzyła się na widok za nim. Na płocie usiadła kolorowa sójka, wśród liści jabłoni na podwórku sąsiadów uwijało się kilka małych ptaszków, których gatunku z tej odległości Florka nie potrafiła rozpoznać. Ulicą przejechał z wolna starszy pan na rowerze, a chwilę później jego śladem pomknęły

dwie dziewczynki na hulajnogach, zapewne cieszące się z początku wakacji.

Dziewczyna zalała torebkę herbaty owocowej wrzątkiem, posłodziła, podniosła kubek i podmuchała. Do jej świadomości przebił się odgłos maszyny do szycia. Po chwili namysłu poszła do pracowni.

Weszła do środka i oparła się ciężko o framugę. Laura przerwała pracę nad czymś, co miało oszałamiającą ilość falbanek, podniosła głowę i wyjęła dwie szpilki z ust.

– O, wstałaś wreszcie – powiedziała. – Dobrze się spało?

– Wręcz przeciwnie – jęknęła Florka. Odstawiła kubek na wiekowy stół zasłany rolkami tkanin i zapatrzyła się na rząd szpul z nićmi we wszystkich kolorach tęczy. Podniosła jedną i zaczęła obracać ją na palcach. – Tereska w pracy?

– No, jak co dzień. A co?

– Ech, nic... Może jej się przyśniło coś, co by mnie uspokoiło.

Ciocia zdjęła okulary i zapatrzyła się na siostrzenicę.

– Co się dzieje? Macie tam jakieś kłopoty?

– Cały czas te same – mruknęła dziewczyna. – Minął ponad tydzień, a od policji ani słowa poza tym, że dostali nakaz przeszukania...

– To chyba dobrze?

– Właśnie nie. Chyba... Nie wiem! – Odłożyła szpulę z głośnym stuknięciem i klapnęła na taboret. – Może szykuje się z tego jakaś grubsza afera? Albo zrobią jeszcze rajd na Faunastycznych i wszystko się wyda?

– To może ulokujcie tego jednoroźca gdzie indziej?

– Nie mamy gdzie. Iza odpada, u Bastiana i tutaj też mogą chcieć szukać, a nie możemy ryzykować i wtajemniczać w to nawet jakichś zaufanych znajomych czy kogoś takiego...

– A długo jeszcze musicie go trzymać? Mówiłaś, że czuje się coraz lepiej.

– Niby tak, ale zostało jeszcze kilka dni... A ma przyjść ta kontrola z Izby, a Lipowska tam ze wszystkimi trzyma sztamę...

– To, że tak mówi, nie znaczy, że tak jest. To urzędnicy, nie mogą niczego zmyślać, żeby kogoś udupić. Kiedy ta kontrola?

– Minimum siedem, maks trzydzieści dni od otrzymania zawiadomienia. Czyli może być już dzisiaj.

Florka oparła podbródek na dłoni i wlepiała spojrzenie w stojącą pod ścianą zabytkową maszynę do szycia Singer – najcenniejszą pamiątkę po babci Teresie. Tereska śmiała się, że Laura kocha ten antyk bardziej niż ją.

W kieszeni dziewczyny plumknęło powiadomienie z telefonu. To była wiadomość od Bastiana. Napisał, że zdaniem Izabeli stan zdrowia Chojraka poprawił się na tyle, by jego życiu nie zagrażało już niebezpieczeństwo, choć jeszcze przez kilka miesięcy będzie musiał brać leki. Florka uśmiechnęła się i odpowiedziała emotką z serduszkami.

Westchnęła.

– Mam ochotę wziąć urlop i wrócić dopiero, jak sytuacja się uspokoi.

– Żeby cię ominęły wizyty jakichś magicznych zwierzątek? – spytała Laura z zawadiackim uśmiechem.

Florka przewróciła okiem i pociągnęła ostrożny łyk gorącej herbaty.

– Tak, tak – mruknęła. – Ale wciąż... Chciałabym, żeby wszystko skończyło się szybko i dobrze.

– Chciałaś przygód, to masz – powiedziała ciocia wesołym tonem. – Lepiej było zostać w Warszawie?

– O nie, to na pewno nie.

Umilkła na chwilę. Pomyślała, że Laura ma rację: nawet jeśli ten piękny sen miał się wkrótce skończyć, nawet jeśli groziło im zamknięcie lecznicy... to wciąż była to wspaniała przygoda, której nie zapomni do końca życia.

Wstała.

– No nic... Idę się szykować. Dzięki, ciociu.

– Trzymam za was kciuki.

Laura uśmiechnęła się do siostrzenicy zza maszyny do szycia. Otoczona kłębem białych falbanek roztaczała urok wróżki chrzestnej. Florka posłała jej na dłoni całusa i wyszła z pracowni.

Do lecznicy dotarła parę minut przed dwunastą. Zwróciła uwagę na zaparkowany na poboczu samochód, w związku z czym do gabinetu weszła po cichu, by nie przeszkadzać w wizycie, ale okazał się pusty. Uniosła brew i udała się na zaplecze.

W laboratorium Bastian stał z rękami skrzyżowanymi na piersi i stukał nerwowo racicami o gumową matę. Spojrzał na Florę i szepnął:

– Babki z Izby przyjechały.

– Już?! Kiedy?

– Jakies pół godziny temu. Krążą po lecznicy. – Zauważył, że Florka przygryzła wargę i bardzo niepewnie patrzy w stronę szpitala, i wyciągnął do niej rękę. – Chodź, obronię cię, gdyby chciały cię pogryźć.

– Żebym ja cię nie pogryzła – prychnęła dziewczyna i ruszyła przed siebie krokiem, który tylko jej wydawał się stanowczy.

Faun zaśmiał się cicho i poszedł za nią.

Na ich widok leżący w klatce Chojrak zaczął uderzać ogonem o podłogę. W szpitalu nie było nikogo, ale od strony chirurgii dobiegały głosy. Florka nieco przyspieszyła, czując się, jakby miała pięć lat i próbowała przemknąć do łazienki tak, by nie zobaczyli jej goście w salonie, i razem z Bastianem zamknęli się w pokoju socjalnym. W duchu odetchnęła z ulgą.

– Będą chciały z nami gadać? – spytała, kładąc plecak na kanapie.

– A ja wiem? Izę wypytują o tyle pierdół, że chyba nie będziemy mieli nic do dodania.

– Uff. A mogę na wszelki wypadek zostać tu, póki nie pójda?

Bastian parsknął i sięgnął po cukierka – prezent od opiekuna psa, który zjadł kilogram winogron i Izabela uratowała mu życie.

– Możesz próbować. Gdyby o ciebie pytały, to powiem, że masz sraczkę – zaoferował i wsadził sobie michałka do ust.

– Jak miło z twojej strony.

Uśmiechnął się złośliwie i uniósł kciuk. Przełknął i powiedział:

– Czekam na zewnątrz. Jak zapukam trzy razy, to wejź przez okno.

Mimo stresu Florka zachichotała. Gdy Bastian zostawił ją samą w pomieszczeniu, zganiła się w duchu za bycie strachliwą bułą. To nic wielkiego, przekonywała samą siebie w myślach. A na pewno nic gorszego od policyjnego przeszukania.

Westchnęła ciężko, gdy zdała sobie sprawę, że zapomniała zabrać z domu wypranych fartuchów i został jej tylko jeden, upaprany krwią centralnie na piersi. Założyła go, włożyła telefon do kieszeni, z zaledwie lekkim zdziwieniem wyjęła z niej króliczy bobek, zaplotła ponownie warkocz, po czym wyszła z socjalu.

Na widok stojących przy szafkach elegancko ubranych kobiet po plecach spłynęła jej fala gorąca. Jedna, elfka, wyglądała na bardzo znudzoną całą procedurą. Druga zaś, z uprzejmą miną godną kasjerki, która użerała się już z niejednym klientem, trzymała książkę kontroli środków odurzających i psychotropowych. Na widok Florki obie podniosły głowy.

– Dzień dobry – powiedziała dziewczyna.

– Florentyna Kuna – przedstawiła ją Izabela, wskazując dłonią. – Nasza techniczka.

– Ach, czyli personel w komplecie – stwierdziła z uśmiechem ta z księgą w rękach.

– Gdzie przechowywane są środki odurzające? – spytała elfka, umiarkowanie zainteresowana Florką.

Iza pokazała ukryty w jednej z szafek sejf, otworzyła go i zaprezentowała zawartość. Inspektorki pochyliły się nad nim i zaczęły wypytywać lekarkę o warunki przechowywania i odpowiednie pozwolenia. Technicy spojrzeli po sobie. Bastian wzruszył ramionami. Wszedł do pokoju rentgenowskiego, Florka po chwili namysłu również.

– To co właściwie sprawdzają? – spytała po cichu.

– Na razie to takie pierdoły jak powierzchnia gabinetów, czy w poczekalni są krzesła, wentylacja, kanalizacja, bla, bla. Trochę się krzywiły na te maty dla mnie... – powiedział i przeciągnął racicami po tej, na której stał. – Że to niehigieniczne czy coś. Iza im powiedziała, że to dodatkowe środki bezpieczeństwa, ale nie wiem, na ile to kupiły.

– Zawracanie głowy – prychnęła Florka, przekonana, że to przejaw szukania dziury w całym za namową Lipowskiej. – Przecież to nie dywan, gumę łatwo umyć.

– Im to powiedz. – Wskazał podbródkiem na drzwi, krzywiąc się. – Ale chyba nie ma tragedii... Iza nie daje się zbić z pantafyku.

Od strony poczekalni dobiegły czyjeś głosy i chórek miauknięć. Chwilę później Iza zawołała techników. Gdy w gabinecie zebrali się wszyscy, włącznie z klientami i inspektorkami, sprawiał wrażenie, że nie spełnia żadnych określonych ustawowo norm.

W tej napiętej sytuacji widok kartonowego pudełka pełnego małych kotków zadziałał na Florę jak balsam. Razem z Bastianem pomogli przy badaniu, określeniu płci, obcięciu pazurków i podaniu pasty odrobaczającej. Przez cały ten czas inspektorki stały przy oknie i przyglądały się zabiegom w milczeniu. Dziewczyna próbowała ignorować ich obecność i skupić się na ślicznych kocich łapkach i łebkach pachnących piwnicą i mlekiem.

Po tym, jak klienci opuścili lecznicę, Iza została poproszona o pokazanie rejestru wizyt w programie. Technicy sprawdzili stan zdrowia Chojraka i suczki dochodzącej do siebie po zabiegu, a potem zaszyli się w socjalu, niecierpliwie wypatrując końca inspekcji.

– Ile to może jeszcze potrwać? – marudziła Florka, krążąc od ściany do ściany i raz po raz sprawdzając godzinę.

Bastian uwalnął się wygodnie na całej długości kanapy.

– Mają kilka stron protokołu do ogarnięcia, więc pewnie długo.

– Na pewno robią wszystko, żeby się tylko do czegoś przyczepić. To na pewno sprawa Lipowskiej, skoro przyszły najszybciej, jak się

dało, więc na pewno nagadała im, że tu są same nieprawidłowości i żeby...

– Florka, nie nakręcaj się – zgañił ją faun łagodnym tonem. – Iza dobrze się przygotowała. Zresztą od każdego zarzutu można się odwołać. Chyba. W sumie nie wiem.

Podeszła do kanapy i usiadła, gdy Bastian zabrał nogi i opuścił je na podłogę. Oparła podbródek na dłoniach i westchnęła.

– Mam nadzieję, że przyjrzy się temu ktoś bardziej obiektywny od koleżaneczek tej flądry.

Usłyszała odgłos kroków i wystraszyła się, że inspektorki ją usłyszały. Oboje wstali, kiedy drzwi się otworzyły i w progu stanęła Izabela. Miała minę tak grobową, że Florka już widziała zabite deskami drzwi i okna lecznicy zamkniętej z nakazu Izby Lekarsko-Weterynaryjnej.

– I co? – spytał Bastian.

Iza popatrzyła na niego.

– Oficjalne wyniki otrzymam pocztą.

– Ale wiesz coś? – drażyła Florka.

– Wedle ich słów nie dopatrzono się szczególnych uchybieñ.

Techniczka odetchnęła z ulgą tak głęboko, że prawie się przewróciła. Faun zaśmiał się i potrząsnął ją za ramię.

– No i zajebioza! – wykrzyknął. – Widzisz, mówiłem, że tak łatwo się nas nie pozbędzie.

– Na dobre uspokoję się, jak już wypuścimy Bździągwę na wolność – powiedziała ponuro Florka, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Jest tu kto? – Z drugiego końca lecznicy dobiegło wołanie.

Wszyscy udali się do gabinetu. Na ich widok Tomek uniósł pięćdziesięciomililitrową strzykawkę.

– Zgadnijcie, co mam.

– O wilku mowa – stwierdził Bastian i wziął dar od jednorogini.

– Co u was, ktoś się naprzykrzał?

– Właśnie zakończyła się kontrola z Izby – rzekła lekarka. Tomasz uniósł wysoko brwi. – Wygląda na to, że możemy być spokojni.

– Uff. Może wreszcie sytuacja się wyciszy. Lipowska próbuje mącić w mediach, codziennie wrzuca do sieci płaczliwe apele o oddanie jednorożca... Ludzie, oczywiście, nie przebierają w słowach na temat złodziei i bandytów, którzy dopuścili się kradzieży.

Uśmiechnął się z przekąsem. Florka pokręciła głową.

– Ech, aż chciałoby się ich uświadomić, jak było naprawdę.

– Trudno. Prawdziwi bohaterowie pomagają w ciszy, a pozerzy robią szum, żeby podbić własne ego. – Puścił dziewczynie oko. – Hej, może chcecie wpaść później na grilla? Robimy z Weroniką wieczorem.

– Pewnie – odparł Bastian. Był dużo weselszy niż zaledwie kilka dni temu, kiedy los Chojraka wciąż wisiał na włosku, co Florka odnotowała z radością.

– A będzie coś bezmięsnego? – spytała.

– Jasne, Weronika o to zadba – odparł Tomek.

Faun uniósł brew.

– Myślałem, że nie jesteś wege.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Bo nie byłam... Ale ta akcja z duchami dała mi do myślenia.

– A ty? – Tomasz zwrócił się do Izabeli.

Ta odparła, nie patrząc na niego:

– Nie mogę niczego jeść.

– Nie musisz. Znaczący... jak nie chcesz przyjść, to okej, ale fajnie by było spędzić razem trochę czasu w innych okolicznościach niż nad stołem diagnostycznym.

Lekarka zastygła w bezruchu i się zamyśliła. Florka przyglądała się jej uważnie, próbując odgadnąć myśli krążące za tą pozbawioną emocji twarzą. Poza tym jednym razem, gdy spytała Izę o możliwość wskrzeszenia Chojraka, ta nigdy nie zdradziła żadnych swoich uczuć. Może były pewne aspekty bycia nieumarłą, które jej

przeszkadzały i budziły żal? Czy tęskniła za rzeczami, jakich już nie mogła doświadczać, takimi jak jedzenie?

W końcu Izabela kiwnęła głową.

– Dobrze. Mogę przyjść – powiedziała.

Tomek się uśmiechnął.

– To jesteśmy umówieni.

Nie bez pewnych obaw Florca zajęła rowerem przed siedzibę fundacji po tym, jak po pracy wstąpiła do domu, żeby się odświeżyć. Samochód Izy stał na poboczu. Dziewczyna miała nadzieję, że Bastian też już jest i nie będzie się czuła zbyt niezręcznie w towarzystwie szefowej.

Na tyłach z ulgą odnotowała obecność fauna, a także – ku swojemu zdziwieniu – Chojraka. Psiak leżał pod stołem i dyszał, rozglądając się wokół i co jakiś czas węsząc z zainteresowaniem. W powietrzu unosiły się apetyczne zapachy. Dziewczyna zbliżyła się do przyjaciela, który stał obok pochylonej nad deską do krojenia Weroniki. Pomachał wesoło.

– Jesteś! – zawołał. – To mamy już komplet. Patrz, jakie paskudztwa ci Wera szykuje.

Ciemnowłosa dziewczyna prychnęła, zajęta układaniem plastrów bakłażana na folii.

– Sam jesteś paskudny.

– Nie zaprzeczam.

– Jakbyś spróbował, zamiast grymasić jak pięciolatek, to byś zmienił zdanie. Poza tym czy jako faun nie powinienes sam być weganinem?

– Hej, koza wszystko zeżre – odparł i się zaśmiał.

Z boku wyłonił się Tomek i zaoferował Florce butelkę piwa. Wzięła ją, obiecując sobie, że to jedyna, jaką dziś wypije. Pociągnęła łyk i popatrzyła na siedzącą sztywno przy ławie Izę. Lekarka miała lekko uniesioną głowę i przymrużone oczy. Techniczka wskazała butelką na psa.

– Jak z nim?

– Będzie żył – odparł uśmiechnięty Bastian. – Nadal trochę szybko się męczy, ale jeszcze ze dwie kroplówki i będzie cacy.

– To super! Dzielny psiak – powiedziała, patrząc na Chojraka. Ten nie ruszył się spod stołu, ale pomachał wesoło ogonem.

– Iza, coś do picia? – zawołał Tomek.

Lekarka pokręciła głową.

– Nie mogę.

– Mogę o coś spytać? – odezwała się Weronika, rzucając kobiecie zaintrygowane spojrzenie i celując w nią nożem. – Bo zawsze mnie to ciekawiło... Co by się stało, gdybyś coś zjadła albo się napiła?

– Moje organy wewnętrzne nie działają – odparła spokojnie nekromantka – więc wszystko by w nich zalegało i w końcu zaczęło gnić, a to przyczyniłoby się do dalszego rozkładu mojego ciała. Wilgoć prowadzi do tego samego.

– Ooo. Hm, a czujesz smaki?

– Tak.

– To może chcesz coś, hm... chcesz czegoś spróbować?

– Dziękuję za propozycję, ale nie.

– Zapachy chyba też czujesz, nie? – wtrącił Tomasz. – A papierosy ci szkodzą?

– Owszem. Dym tytoniowy niszczy nieumarłym płuca. Choć na dobrą sprawę nie robi nam to dużej różnicy, osobiście wolę tego unikać.

– Kurde, nie wiem, czy bym dał radę wytrzymać coś takiego.

Iza nie odpowiedziała, ale Florka zauważyła delikatną zmianę jej wyrazu twarzy. Zamglone oczy zdawał się przesłaniać smutek. Techniczka, chcąc odwrócić uwagę pozostałych, klasnęła w dłonie.

– No dobra, zróbcie miejsce na tym grillu, bo głodna jestem.

Tomek się zaśmiał i razem z Bastianem zdjęli z kratki kielbaski i szaszłyki. Weronika zabrała się do grillowania bakłażanów i batatów. Na widok skwierczącego, chrupiącego mięsa Florka zaczęła rozważać kwestię swojego wegetarianizmu, ale twardo postanowiła nie ulegać pokusom. Chojrak wstał i położył głowę na

kolanie swojego pana, wpatrując się w niego błagalnie. Bastian pogłaskał go czule i dał mu mały plasterek kiełbasy. Kiedy wszyscy jedli, Iza dyskretnie rozkoszowała się apetycznymi zapachami, mrużąc z ukontentowaniem oczy. Rozmawiali o zwierzętach, o najśmieszniejszych i najgorszych przygodach w pracy, o krążących po wsi plotkach. Atmosfera była przyjazna i wesoła. Wszystkie problemy zeszły na drugi plan.

W pewnym momencie Bastian lekko trącił łokciem Florę i wskazał podbródkiem na Izabelę. Wciąż siedziała dość sztywno przy stole i niewiele się odzywała.

– Wygląda, jakby nie bawiła się zbyt dobrze – szepnął.

– Trudno powiedzieć – odpowiedziała cicho. – Jej twarz chyba utrzymuje się w stanie permanentnego *rigor mortis*.

– Hm. Nie zdziwiłbym się, gdyby faktycznie tak było. Jak by do niej zagadać, żeby ją trochę rozbawić?

Florka zamyśliła się, obgryzając patyczek po szaszłyku. Potem podeszła do stołu i niby mimochodem rzuciła:

– Szkoda, że nie wzięłaś Przekręt, pewnie spodobałyby jej się te zapachy.

– Pewnie tak – odparła Iza po chwili.

– Następnym razem koniecznie zabierz ją ze sobą – powiedział Bastian, również zbliżywszy się do pozostałych.

– Trochę obawiam się o jej bezpieczeństwo poza zamkniętymi pomieszczeniami.

– Nie ma się czego bać, Chojrak będzie ją miał na oku, prawda, wariacie?

Pies popatrzył na niego spod stołu z nieco urażoną miną.

– Biorąc pod uwagę jego historię leczenia – odezwała się Iza – chyba wolałabym uniknąć zabiegu usuwania martwego szczura z przewodu pokarmowego.

Roześmiali się całą czwórką. Iza powiodła po nich spojrzeniem, jakby zaskoczona.

– No, Przekręt też mogłaby się nie spodobać wycieczka – powiedział Bastian.

– Za to poznałoby się z Chojrakiem dość dogłębnie – zauważył Tomek.

Kąciki ust Izabeli drgnęły.

– Wydaje mi się – zaczęła z niejakim wahaniem – że gastroscopia szczurem to raczej kiepski sposób na zawarcie nowej znajomości.

Bastian uśmiechnął się nieco smutno i pogłaskał Chojraka, który wiernie siedział przy jego nodze. Faun popatrzył gdzieś w bok, zamyślony. Wtedy Florka zauważyła, że zmarszczył brwi i uniósł czujnie jedno ucho.

– Co jest? – spytała.

Nie odpowiedział od razu.

– Ktoś się tam kręci – odparł cicho, jakby ktoś mógł go usłyszeć z drugiego końca ulicy. – Gapi się.

Florka spojrzała w tym samym kierunku. Na skraju lasu przechadzał się jakiś człowiek. Na pierwszy rzut oka wyglądał na zwykłego spacerowicza, który rozgląda się za grzybami lub czymś innym na ściółce, ale co jakiś czas zerkał w kierunku domu i podwórka Tomka.

Bastian dyskretnie szturchnął mężczyznę.

– Ktoś nas obserwuje – syknął. – Kręci się tu od dobrych kilku minut.

Tomasz zacisnął usta. Popatrzył z niepokojem na zamkniętą na kłódkę szopkę.

– Może coś kombinuje – powiedział. – Miejmy go na oku.

– Myślicie, że to ktoś od Lipowskiej? – spytała Florka.

Weronika, śmiejąca się z czegoś, co powiedziała lekarka, spojrzała na nich nieco rozkojarzona.

– Co z Lipowską?

– Ćśś! Ktoś nas obserwuje.

– Oż w mordę. – Wera usiadła i schyliła się konspiracyjnie. – Może ktoś wyczał, że co rano i wieczór Iza tu pielgrzymki robi.

– I wiedzą, że to do Bździągwy? – mruknął Tomek. Skrzyżował ręce na piersi. – Tak czy siak, nie podoba mi się to. Może... moglibyśmy przelokować ją na noc.

– Gdzie? Do Izy? – Bastian wskazał kciukiem na lekarkę. – Teraz, kiedy nie wiadomo, czy policja nie będzie się jeszcze naprzykrzać?

– Poza tym – wtrąciła Florka – raczej trudno byłoby ją przetransportować, kiedy ktoś może nas cały czas podglądać.

– Miejmy ją na oku – poradziła Izabela. – Jeśli chcecie, mogę jej pilnować przez noc, skoro nie muszę spać.

Tomek kiwnął głową.

– Dzięki. Teraz pewnie i tak nie zmrużę oka ze stresu – zaśmiał się słabo – ale bardzo by nam to pomogło.

– Żaden problem.

Florcka spojrzała dyskretnie w stronę lasu. Tajemniczy człowiek gdzieś zniknął.

Mimo to reszta wieczoru upłynęła w przyjemnej atmosferze. Podglądacz więcej się nie pokazał. Dochodziła północ, kiedy wreszcie wyczerpały się tematy do rozmów i wszyscy zabrali się do sprzątania i szykowania do wyjścia – nie licząc Izy, krążącej wokół i rozglądającej się.

Bastian zaoferował, że odprowadzi Florkę do domu. Wziął Chojraka na smycz i niespiesznie ruszyli poboczem, by nie forsować rekonwalescenta. Psiak był wyraźnie uradowany pierwszym spacerem od długiego czasu, który nie polegał tylko na wyjściu na lecznicowe podwórko.

– Zdrowieje w oczach – stwierdził faun. – To jest najważniejsze.

– Cieszę się – powiedziała Florcka. – Z Chojraka i Bździągwy... Bałam się, że ani ona, ani on z tego nie wyjdą.

Bastian się uśmiechnął.

– Dobrze, że nie bałaś się na tyle, by zrezygnować z namawiania nas na ten porąbany plan.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Pies na posesji, którą mijali, obszczał ich głośno, przerywając koncert wygrywany przez

świerszcze. Co jakiś czas nad ich głowami przelatywały nietoperze chwytające owady. Florka zapatrzyła się w niebo, na którym migotały gwiazdy, widoczne o wiele wyraźniej niż w oświetlonym sztucznie mieście.

– Zawsze nienawidziłam tej pory – powiedziała w którejś chwili – kiedy dzień się kończy i trzeba się położyć, żeby być w miarę wyspanym przed pójściem do roboty... Ale teraz jestem ciekawa, co się wydarzy następnego dnia.

– Ja jestem rozczarowany – odparł Bastian. – Robię tu już ponad miesiąc, a nie widziałem jeszcze ani jednego smoka. – Florka zachichotała. Faun uśmiechnął się i westchnął. – Ale szczerze... Cieszę się, że zmieniłem zawód. Inni mi mówią, że łoś, taka dobra praca, tyle pieniędzy, ale co mi po pieniądzach, jak... – zawahał się – jak nie daje to życiu żadnego sensu.

Dziewczyna przygryzła wargę. Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że nie chce zmuszać go do zwierzeń.

– Tak... Miałam podobnie. Znaczący, może nie pod kątem pieniędzy, bo hajs to dopiero teraz zaczęłam zarabiać w miarę sensowny – uśmiechnęła się z przekąsem – ale jakoś do tej pory praca nie dawała mi szczególnej satysfakcji. Głównie z uwagi na ludzi.

– Aha, czyli wystarczyło zmienić pracę na taką, w której nie ma innych ludzi.

Zaśmiali się. Florka poprawiła opaskę na twarzy.

– Nie, ale wiesz... W dzieciństwie marzysz o tym, żeby być weterynarzem, strażakiem czy kimkolwiek, różni coachowie gadają, że „jak zamienisz pasję w pracę, to nie będziesz nigdy pracować” i te pierdoły, ale jak do tej pory, to praca w zawodzie tylko mi coraz bardziej obrzydzała całą pasję. Przecież kocham zwierzęta... Ale jak robiłam w Wawie, to doszło do tego, że jeździłam do pracy z płaczem. Tutaj w końcu mam wrażenie, że robię coś, co kocham.

– Brzmi znajomo – mruknął. – Cieszę się, że tu trafiłem. I że ty też.

Spojrzał na nią z uśmiechem. Odwzajemniła go i odwróciła wzrok, zaczesując kosmyk włosów za ucho.

Z tyłu padły na nich światła reflektorów, więc zeszli z drogi. Samochód minął ich powoli i stanął na poboczu kilka metrów przed nimi. Tylne drzwi się otworzyły i z auta wysiadł jakiś młody chłopak.

Florka stanęła w miejscu. Poznała go – to był syn Lipowskiej.

Bastian również się zatrzymał. Położył uszy po sobie i schylił głowę, jakby szykował się do tego, by dzieciaka ubóść. Chłopiec podszedł do nich z rękami przyciśniętymi do boków i nieco zawstydzoną miną.

– Dobry wieczór – zaczął kulturalnie niepewnym tonem. – Macie go, prawda? Jednoróżca.

Florka poruszyła bezgłośnie ustami i spojrzała na Bastiana. Faun otaksował chłopaka wzrokiem.

– Skąd ten pomysł? – spytał groźnie.

Tamten przestąpił z nogi na nogę, wpatrzony w ziemię.

– Mama chciała dobrze, ale nie wiedziała za bardzo, co zrobić. Mówiłem, żeby zapytała doktor Pokot, ale nie chciała. Ja jej nic nie powiem... dziadek też – tu obejrzał się na samochód – ale czy z Kuśtykiem wszystko okej? Leczy się?

Dziewczyna i faun wymienili spojrzenia. Florka westchnęła cicho przez nos.

– Z nią. To samica. Czuje się dobrze. Niedługo wróci do lasu.

Twarz dzieciaka się rozjaśniła. Pokiwał głową.

– Dobra. Fajnie. To pozdrówcie go... ją ode mnie. Dzięki.

Ruszył do samochodu, ale Bastian zatrzymał go, mówiąc stanowczo:

– Hej, hola, hola. Twoja mama zamierza dalej nas prześladować i nasyłać policję?

Chłopak wzruszył ramionami, kręcąc głową.

– Nie wiem. Chyba nie. Ale ja jej nic nie powiem, słowo! – zapewnił. Zmieszał się nieco. – Hm, no, to ten... do widzenia.

Florka tylko kiwnęła głową. Chłopiec zajął tylne siedzenie, samochód odpalił i odjechał.

Bastian wypuścił powietrze z cichym parsknięciem.

– Czy to za wcześnie na triumf?

Deszcz zaczął ustępować. Florka wystawiła dłoń poza zasięg parasolki, po czym złożyła ją i przewiesiła sobie przez przedramię. Odetchnęła głęboko rześkim powietrzem. Wróble siedzące na sztachetach pobliskiego płotu otrząsały się z kropli i ćwierkały głośno.

Zauważyła idącego z naprzeciwka po drugiej stronie ulicy pana Mieczysława z Zyziem na smyczy. Ciemny kundelek maszerował wesoło, dysząc i merdając ogonem. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko do dziewczyny.

– Dzień dobry! – zawołał. – Do pracy?

– Jak co dzień – odparła. – No i jak się Zyzio czuje?

– Jak młody bóg! Pani patrzy, jak zasuwa! Ledwo nadążam za tym gałganem!

Florka zaśmiała się i pomachali sobie. Parę minut później dotarła na Podleśną trzy. Gdy szła ku drzwiom lecznicy, ramię zmoczyły jej ciężkie krople kapiące z liści winorośli.

Przemknęła przez gabinet, w którym Iza pokazywała właścicielce szynszyli przerośnięte zęby u tejże. Trzymający zwierzaka Bastian uśmiechnął się do Florki. Dziewczyna weszła na szpital i od razu zwróciła uwagę na uradowanego Chojraka w jednej z klatek.

– Cześć – przywitała się. Pies nie wstał, ale pacnął kilka razy ogonem o koc. – Jak żyjesz? Ostatnia obserwacja, co? Cieszysz się?

Otworzyła klatkę i poklepała Chojraka po bokach. Nim zdążyła się odsunąć, liznął ją po całej długości twarzy. Zachichotała.

W pomieszczeniu rozległ się stukot racic.

– Wiesz, jak smakuje mocz szynszyli? – spytał Bastian. – Bo ja już tak.

– Fuuuj, jak dokonałeś tego odkrycia?

– Nie wiedziałem, że strzelanie sikami to ich odruch obronny, i nie uchyliłem się w porę. Nie polecam. – Kucnął obok i potargał

Chojraka za uszy. – Patrz, jaki szczęśliwy, już planuje, jakie jeszcze śmieci można by zeżreć w lesie.

Wskazał na psa palcem. Chojrak spojrział niewinnie na swojego pana i mlasnął go po dłoni.

– Nie polecam żadnych – powiedziała Florka, a faun westchnął ze smutkiem i zapewnił:

– Żadnych. Dopilnuję tego. No dobra – wskazał w stronę laboratorium – tam masz parę próbek kału, których nie chciało mi się badać, baw się dobrze.

– Jakie to szczodre z twojej strony – powiedziała i dygnęła dwornie. Rażnym krokiem udała się do pokoju socjalnego.

Otworzyła szafkę. Na jej schludnie złożonych fartuchach leżała Przekręt – znowu. Nieumarła szczurzyca wlepiła we Florkę spojrzenie i podniosła się, węsząc ciekawsko z głową nienaturalnie przekrzywioną na bok.

– Czemu tu ciągle przesiadujesz? – spytała techniczka. – Lubisz moje ciuchy?

Wyciągnęła rękę ku zwierzakowi. Poczowała lodowaty dotyk małych łapek. Mdlący zapach podobny do woni świeżych trzewi uderzył ją w nozdrza. Podała Przekręt palec – ta powąchała go, a następnie dotknęła. Florka uśmiechnęła się i odłożyła szczurzynkę na krzesło. Sprawdziła godzinę i westchnęła ciężko z zawodem, zupełnie jakby od jej przyścia mogło minąć już kilka godzin. Nie wiedziała, jak zdoła wytrzymać do wieczora.

Popołudniowa zmiana nigdy tak bardzo jej się nie dłużyła. Póki był Bastian, mogli zabijać czas rozmową i wspólnym porządkowaniem zaplecza, ale kiedy pożegnała przyjaciela o szesnastej, czas jakby spowolnił dwukrotnie. Wypucowała dokładnie każdy aparat od mikroskopu po autoklaw, pomogła przy kilku wizytach, uporządkowała leki i preparaty według dat ważności, na pewnym etapie porzuciła wszelkie pozory i po prostu położyła się na stole operacyjnym i zajęła przeglądaniem głupot na

telefonie, ale wieczór zdawał się w ogóle nie chcieć nadejść. Miała wrażenie, że minęły całe wieki, nim wreszcie Iza powiedziała:

– Zbierajmy się.

Florka niemal pobiegła do pomieszczenia socjalnego, by się przebrać. Razem z lekarką wsiadły do samochodu i ruszyły w drogę do siedziby Faunastycznych.

Bastian już tam był. Razem z Tomaszem i Weroniką czekali w pobliżu szopki. Tomek uśmiechnął się i oparł dłonie na biodrach.

– Kurde, ale się cieszę – powiedział. – To zawsze niesamowite uczucie, tak pomóc jakiejś bidzie, ale tutaj... Tyle rzeczy mogło pójść nie tak, a, kurde, udało się.

– Szkoda, że sprawa tajna i nie mogliśmy założyć żadnej zbiórki. – Weronika uśmiechnęła się z przekąsem. – Na jednoroźca to zwróciliby się w pół dnia i jeszcze by na wszystkie długi starczyło.

– Oj tam, pierdoły. Ważne, że Bździągwa żyje i ma się dobrze.

Wszyscy zebrali się przed szopką. Iza ostrożnie zajrzała do środka. Potem zwróciła się do Tomka:

– Wiecie, gdzie ją wypuścić?

– Tak, sprawdziłem jedno dobre miejsce, daleko od cywilizacji. Jeśli znowu nie zawędruje za blisko ludzi, będzie bezpieczna.

Florka zapuściła żurawia do wnętrza szopy. Jednorogini dreptała od jednego kąta do drugiego, jakby wiedziała, co ją czeka, i dręczyła ją niecierpliwość. Lśniaca grzywa przy każdym kroku falowała jak zanurzona w wodzie.

Bastian zatarł dłonie.

– To co, chyba nie ma co tracić czasu – powiedział. – Jak się do tego zabierzemy?

– Cóż, większość jest na twojej głowie – odparł Tomek.

Iza wyjaśniła:

– Tobie ufa najbardziej, więc musisz spróbować ją unieruchomić.

– Ha – mruknął faun. – Jasne. Zero presji.

– Nie zmieści się do transportera – ciągnęła lekarka – więc musi wystarczyć zawinięcie jej tak, żeby nie mogła się uwolnić

w nieodpowiednim momencie.

Weronika wyłoniła się z boku i wręczyła Bastianowi złożony w kostkę wielki, gruby koc. Florka poklepała przyjaciela po ramieniu. Spojrzał na nią z krzywym uśmiechem.

Po dłuższej chwili ustalania planu faun odetchnął i powoli wszedł do środka z kocem pod pachą. Wyciągnął ku jednorogini dłoń, oferując jej płatki kwiatów. Spojrzała na nie z wyższością, obchodząc go dookoła, jakby była księżniczką na balu oceniającą partnera do tańca. Florka w zachwycie obserwowała ich poczynania, niemal leżąc przy drzwiach pod resztą drużyny również zaglądającą do środka.

Bździągwa machnęła lekko ogonem i wyciągnęła szyję. Bastian rozsypał płatki u jej nóg. Jednorogini zgarniała je pojedynczo delikatnymi ruchami miękkich, różowych warg. Faun tymczasem rozłożył obok koc i usypał na nim ścieżkę z kwiatów. Jednoroga pannica się nie spieszyła. Powoli, kroczył za kroczkiem weszła na materiał.

Bastian wyciągnął dłoń i dotknął jej łopatkę. Drgnęła, ale nie przerwała jedzenia.

– Chodź, mała – powiedział. – Zabierzemy cię do domu. Położysz się?

Spojrzała na niego jasnoniebieskim okiem. Pogładził ją delikatnie. Cofnął się nieco, uniósł dwa rogi koca i pokazał jej.

– Widzisz? Nic złego się nie dzieje – ciągnął łagodnym głosem. – To nie gryzie.

Kiedy uniósł materiał trochę wyżej, Bździągwa spięła się i zrobiła krok do tyłu. Opuścił koc, a kiedy wróciła do jedzenia, znów go uniósł. Powtarzał tę czynność bardzo powoli, stopniowo podnosząc koc coraz wyżej, aż jednorogini zupełnie przestała na to reagować.

Wszyscy wstrzymali oddechy, gdy ostrożnie założył go jej na grzbiet.

Zdziwiona Bździągwa zrobiła krok w tył i spojrzała na faunę urażonym wzrokiem. Ten machnął dłonią ku czającej się za

drzwiami drużynie. Florka wstała i wślizgnęła się do środka. Złapała koc z drugiej strony i powoli założyła jego połę na jednoroginię.

Ta się zirytowała. Chciała się cofnąć, ale tylne nogi zaplątały się w materiał. Machnęła łbem i w tym momencie Bastian szybkim ruchem owinął ciasno jej przednie kończyny. Bździągwa zabezpieczała cienko. Florka podtrzymała jej zad i po chwili pełnego napięcia szamotania Bastianowi udało się ją ciasno opatulić.

– Dobra! – powiedział. – Mamy ją.

Drużyna otworzyła szeroko drzwi. Bastian poprawił chwyt i wyszedł na zewnątrz. Długi, lśniący róg stuknął o framugę. Faun pospiesznie wsiadł do czekającej obok terenówki i ułożył Bździągwę na siedzeniu obok.

Tomasz wydał z siebie krótki, triumfalny okrzyk.

– No to jedziemy!

On i Weronika zajęli miejsca w terenówce, a Florka i Izabela wsiadły do samochodu lekarki. Jedno za drugim ruszyli w drogę.

Jechali długo – daleko i powoli, by nie ryzykować urazu u jednorogini. Przejechali przez las, koło rozległych łąk, potem przez kolejny las. Zmieniający się krajobraz wydawał się Florce podwójnie magiczny dzięki myśli o tym, co czekało na końcu tej wycieczki.

Słońce zniknęło za drzewami, barwiąc puszyste chmury kolorami od fioletu, przez róż, do złota. Samochody zatrzymały się na dużej polanie w środku sosnowego lasu. Florka wysiadła z pojazdu i rozejrzała się wokół, podziwiając zwyczajność tego miejsca, które okoliczności zmieniały w zupełnie nadzwyczajne. Tomek popatrzył na trzymającą się z boku Izabelę.

– To co – zagadnął – wypuszczamy?

– Tak. Ale powoli. Chcę zobaczyć, czy wszystko z nią w porządku.

Mężczyzna kiwnął głową. Otworzył tylne drzwi. Z niejakim trudem ze środka wyłonił się Bastian, obejmując opatuloną w koc jednoroginię. Ta popatrzyła na niebo, potem na las, a na końcu na polanę i wydeła różowe nozdrza.

Faun odszedł od samochodów tam, gdzie wskazała mu Izabela. Kucnął i ostrożnie złożył zwierzę na trawie. Iza przyjrzała jej się z pewnej odległości. Po chwili kiwnęła głową.

– Dobrze – powiedziała. – Uwolnij ją.

Bastian zaczął niespiesznie odwijać koc. Bździągwa wydawała się oszołomiona. Kiedy faun skończył, cofnął się o kilka kroków i wraz ze wszystkimi zapatrzył się na jednoroginię.

Ta jakby nie od razu zdała sobie sprawę, że nie jest już spętana materiałem. Patrzyła przed siebie, leżąc z przednimi nogami wyciągniętymi do przodu jak na średniowiecznym gobelinie. Wiatr poruszył jej jedwabistą grzywą. Wstała, ze wzrokiem zwróconym przed siebie. Wydawało się, że zupełnie zapomniała o otaczających ją ludziach.

Widok lśniącej bielą jednorogini na tle skąpanego w świetle zachodzącego słońca lasu wzbudził we Florce zachwyt tak wielki, że poczuła, jak wzruszenie ściska jej gardło.

Wreszcie Bździągwa zrobiła nieśmiały krok. Potem następny. Zastrygła czujnie uszami. Ruszyła powoli przed siebie, nie oglądając się. Po chwili przyspieszyła, a w następnej sekundzie puściła się biegiem i po kilku susach zniknęła między drzewami.

Florka dyskretnie otarła łzy. Tomek i Weronika zakrzyknęli radośnie i przybili sobie piątkę. Uśmiechnięty Bastian odwrócił się ku towarzyszom.

– Dobra robota – rzekła Izabela. – Dziękuję wam wszystkim za całą akcję.

– Jeśli mogę to powiedzieć, to uważam, że przeszliśmy samych siebie – powiedział Tomasz, odetchnąwszy głęboko. – Właśnie dla takich chwil założyliśmy tę fundację.

– Uff! – Weronika otarła czoło dłonią. – Żałuję, że nie zrobiłam żadnych zdjęć.

– To by było ryzykowne – zauważyła lekarka. – Policja wciąż szuka winnych włamania.

– No wiem, wiem, dlatego tym bardziej żałuję.

Przez chwilę rozmawiali wesoło. Florka nie odzywała się, zapatrzona tęsknym wzrokiem tam, gdzie zniknęła Bździągwa. Wkrótce wszyscy wsiedli do samochodów i ruszyli w drogę powrotną.

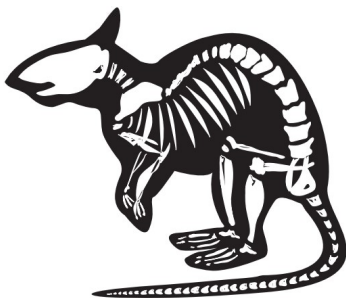
Bastian spojrzał na przyjaciółkę.

– Udało się, młoda – powiedział. – Cieszysz się?

Przygryzła wargi. W wyobraźni znów stanął jej obraz fauna klęczącego przy śnieżnobiałej jednorogini na tle skąpanego w świetle zachodu słońca lasu. Była pewna, że to coś, czego nigdy, przenigdy nie zapomni.

Uśmiechnęła się.

– No raczej.



EPILOG

Chojrak pomknął za rzuconym przez swojego pana patykiem, rozbryzgując wodę na wszystkie strony. Florka zaśmiała się, zanurzona po szyję.

– Chodź! – krzyknęła. – Woda jest świetna!

– Nie, dzięki – odparł stojący na brzegu Bastian.

– Oj, no weź, po co być nad rzeką i nie wejść do rzeki?

Faun skrzyżował ręce na piersi, zrobił duży krok naprzód i stanął w wodzie po pęczyny.

– Zadowolona? – spytał.

– Nie. Nie liczy się.

Chojrak przydreptał do Bastiana z patykiem w zębach. Faun poczochnął go po mokrej głowie i razem z nim wrócił do swojego plażowego koca.

Florka popłynęła do brzegu, slalomując między innymi pływakami i dziećmi na kolorowych materacach. Podeszła do swoich kłopotów, wzięła ręcznik i zaczęła wycierać sobie włosy,

rozglądając się po okolicy. Bastian miał rację – kąpielisko nad rzeczką było cudowne. Czysta woda, piasek niemal tak biały jak nad morzem, piękny widok na las. Od strony pobliskiego baru dolatywała muzyka i zapach frytek.

Florka usiadła na kocu obok przyjaciela. Sierść na jego nogach połaskotała ją w łydki.

– Nie lubisz pływać? – spytała.

– Nie umiem – przyznał, uśmiechając się z przekąsem.

– Dawaj, nauczę cię. Szkoda, żeby taka fajna woda się marnowała.

– Nieee, daj spokój. – Odchylił się i oparł na łokciach, wystawiając blady, obsypany piegami tors na słońce. – Wolę poleżeć.

– Leżeć możesz wszędzie, a rzekę masz tylko tu i teraz.

– Przestań męczyć, bo cię ubodę.

Zachichotała i zapatrzyła się na Chojraka. Ten podbiegł do jakiejś starszej kobiety, oferując jej patyk, ale gdy chciała mu go zabrać i rzucić, pogalopował w drugą stronę, cały w zachwycie.

Bastian zaśmiał się przez nos.

– Patrz go, jaki szczęśliwy. Wie, że musi się wybiegać, bo po lesie już mu nie pozwolę.

– Może jakby znalazł i zjadł bobki Bździągwy, toby sobie wyrobił odporność.

Odłożyła ręcznik, wyjęła z plecaka dwie puszkę coli i zaoferowała jedną faunowi. Wziął ją, ale nie otworzył od razu, zapatrzony przed siebie. Migocząca w promieniach słońca rzeka wyglądała, jakby płynęło w niej złoto.

W kieszeni kąpielówek Bastiana rozdzwonił się telefon. Wyjął go i spojrzał na wyświetlacz.

– Iza – powiedział. – Co obstawiasz?

– Krowa ze wzdęciem żwacza – odparła i pociągnęła łyk coli. Faun odebrał.

– Halo, szefowo. Nad rzeką, a co? No. Mhm... – Po chwili uniósł wysoko brwi i spojrzał na Florke z zaintrygowaną miną. – Smoka, powiadasz?

Dziewczynie szczęka opadła. Chojrak przypadł do niej, próbując wylizać jej twarz. Zaśmiała się cicho i odsunęła go, próbując podsłuchać Izę w telefonie, ale hałas wokół był zbyt duży. Bastian pokiwał głową.

– Dobra. Zbieramy się. Do zobaczenia. – Odłożył telefon. Dźwignął się do pionu, otrzepał z piachu i wyciągnął do Florki rękę. – Wstawaj, młoda. Robota czeka.

Uśmiechnęła się i chwyciła jego dłoń.

Necrovet. Usługi weterynaryjno-nekromantyczne

Copyright © Joanna W. Gajzler 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Redakcja – Magdalena Stonawska

Korekta – Magdalena Świerczek-Gryboś, Anna Strożek

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc, Natalia Patorska

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Ilustracja na okładce – Piotr Sokołowski

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN mobi: 9788383300528

ISBN epub: 9788383300535



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekań, Małgorzata Pokrywka

finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędzia

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

NAUKA NA MAGICZNYM WYDZIALE UJ WCALE NIE JEST TAKA PROSTA

W trzech opowieściach z uniwersum Polanii studenci wydziału magicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego muszą uporać się z problemem tajemniczej anomalii w niewielkiej wiosce, odkryć, dlaczego jeden z czarowników z roku zaczyna podejrzanie się zachowywać oraz dowiedzieć się, jakie sekrety skrywa wiekowy czarodziej z gór świętokrzyskich.



**ODWIEDŹ Z NAMI WYDZIAŁ MAGII PRAKTYCZNEJ
I TEORETYCZNEJ UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO**

Szukaj w dobrych księgarniach



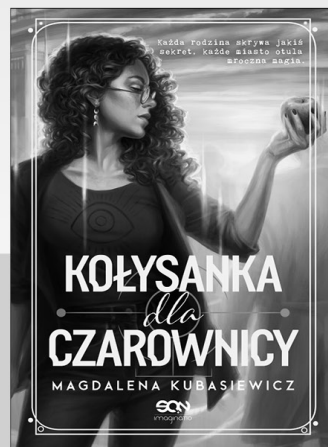
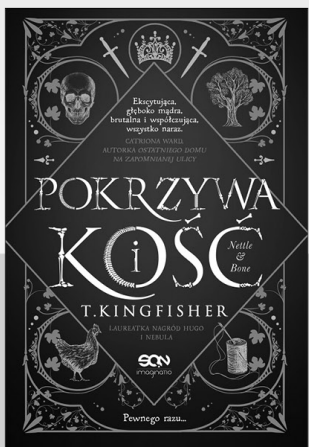
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL

labotiga.pl